

# Terminator 2: Dzień sądu

Randall Frakes



calibre 0.9.27

**RANDALL FRAKES**

**TERMINATOR 2: DZIEŃ**

**SĄDU**

**( Przełożyli : Piotr Słaby, Dorota Szandurska )**

**Dzień sto dwudziesty szósty**

**BUENAVENTURA, MEXICO**

19 czerwca 1984 roku

czwartek - 8:58 rano

Sara Jeanette Connor jechała przez rozległy i opustoszały krajobraz, pełen kaktusów i piasku, w kierunku wylaniającego się łańcucha gór ocienionego nabrzmiałymi deszczem chmurami. Błyskawice rozbłyskiwały poza nimi jak gigantyczna lampa stroboskopy. Burza wisiała w powietrzu.

W pewnym sensie Terminator mnie zabił - "pomyślała Sara", sprawdzając ładunki w kolcie Python 0,357 i wsuwając go z powrotem do futerału schowanego pod tablicą rozdzielczą swego odkrytego jeepa. Z pewnością nie była już, jak jeszcze kilka miesięcy temu, naiwną dziewiętnastoletnią kelnerką. Tamta umarła, kiedy dwie osoby, które kochała bardziej niż własne życie - jej matka oraz ojciec dziecka rosnącego w jej łonie - zostały brutalnie zamordowane. Ich śmierć ciągle ją prześladowała, pomimo że nauczyła się tak ukrywać swoje uczucia, żeby nie mogły zagrozić jej utrzymaniu się przy życiu. Ponieważ przeżyć musi. Sara Connor była obecnie najważniejszą istotą ludzką na świecie.

Podniosła do ucha walkmana i przesłuchiwała to, co nagrała kilka minut temu, kiedy zatrzymała się, żeby zatankować paliwo. *Czy powinnam ci opowiedzieć o twoim ojcu?*

Popatrzyła w dół na swój nabrzmiewający brzuch. *Czy to zmieni twoją decyzję wysłania go tutaj na śmierć?*

Spróbowała sobie wyobrazić moment w przyszłości, kiedy ten wybór mógłby być dokonany i wzdrygnęła się. *Ale jeśli nie wyślesz Kyle'a, nigdy nie będzie ciebie.*

Ta szalona myśl oszołomiła ją. Kyle Reese, młody żołnierz, który na ochotnika był wysłany poprzez czas dla ochrony jej przed Terminatorem, i z którym poczęła syna po to, żeby syn mógł wysłać go z powrotem, żeby ... Łańcuch zdarzeń sam się wikłający. Przypomniała sobie, co jej nauczyciel w szkole średniej, pan Bowland, zwykł mówić o paradoksach: *Wszechświat jest jednym wielkim pytonem pożerającym swój własny ogon.* Poczuła się jakby była marionetką w rękach Przeznaczenia, jedynie ogniwem w łańcuchu przypadków. Z drugiej strony jej wola przeżycia zdawała się determinować przebieg wypadków. A może ludzka wola była jedynie częścią w założonym z góry scenariuszu? Niewykluczone, że reszta jej życia da odpowiedź na to pytanie.

Jej głos nadal dobiegał z magnetofonu: *Sądzę, że powiem ci o twoim ojcu. Jestem mu to winna. Być może wystarczy ci wiedzieć, że przez parę godzin, kiedy byliśmy razem, kochaliśmy się miłością, dla której warto poświęcić życie.*

Wyłączyła z trzaskiem magnetofon. Słowa brzmiały zbyt banalnie, zbyt blado w porównaniu z jej żywymi wspomnieniami. Sara chciała, żeby pewnego dnia jej syn pokochał swojego ojca tak, jak ona go kochała. Ale sama nigdy nie była zbyt wymowna. Sfrustrowana, wyciągnęła kasetę wrzucając ją do schowka na rękawiczki, na rosnącą stertę identycznych C-90. Nazywała je "książką". Nagraną dźwiękową kroniką, która będzie potrzebna jej synowi, żeby przeżyć. Tego ranka Sara zarejestrowała opowieść o przyjściu Terminatora sto dwadzieścia sześć dni temu. O tym, jak został "zabity" trzy dni później, i jakie zmiany zaszły w jej życiu w ciągu tych dni. Gdy chodziła do college'u, marzyła o poślubieniu miłego mężczyzny i o prostym, wygodnym życiu gdzieś na czystym, zielonym przedmieściu. To marzenie zostało zabite przez chodzącą śmierć, której na imię Terminator. Mordując tych, których kochała,

nauczył ją nienawidzić ponad granice możliwości. Sara zemściła się miażdżąc cyborga hydrauliczną prasą. Jednak myśli o tym nie sprawiała jej przyjemności. Bo kiedy nacisnęła przycisk uruchamiający prasę, spadającą w dół jak żelazna pięść Boga - Sara umarła także. Odrodziła się wśród krwi i smutku w świecie, który był skazany na masową zagładę i ogromne cierpienie. Wiedziała coś, czego jeszcze nie wiedział nikt: że pewnego dnia komputer zaprojektowany do kontroli amerykańskich sił uderzeniowych stanie się "żywy", i że pierwszą decyzją Skyneta będzie, iż rodzaj ludzki ma być wytępiony. Sam komputer, bezpieczny w podziemnych, świetnie chronionych kompleksach w Górach Cheyenne, wykona pierwsze uderzenie pociągające za sobą ognisty odwet. Na powierzchni zaś ludzie będą się zwijali w śmiertelnych bólach. Zmiażdżona cywilizacja zamrze, gdy nastanie nuklearna zima. I niedługo maszyny Skyneta, wybudowane żeby być jego oczyma, uszami i bronią, rozprzestrzenia się po całej Ziemi zgarniając swój łup. Komputer chceć będzie, żeby świat został pokryty wyłącznie niezliczonymi mechanicznymi odbiciami jego samego - całkowity egoista z bezpośrednimi połączeniami z automatycznymi fabrykami realizującymi ten schemat. To była przyszłość, o której opowiedział jej Kyle Reese. I w którą uwierzyła po przybyciu Terminatora. Sara wyciągnęła rękę i podrapała za uszami psa.

Lśniący, muskularny owczarek niemiecki rozciągnięty na miejscu dla pasażera zwrócił na nią na moment swoje czujne, brązowe oczy, by po chwili powrócić do obserwacji wąskiej drogi i horyzontu. Gdyby ktokolwiek inny próbował go dotknąć, miałby poważne kłopoty, o ile Sara nie rozkazałaby inaczej. To zwierzę nie było zwykłym psem. Został wyszkolony przez ekspertów na żywą broń. Nie było to zbyt tanie. Sara opróżniła swoje konto w banku i zrealizowała polisę na życie swojej matki, aby kupić psa obronnego, jeepa i broń. Kierując się na południe - nawet na sam koniec kontynentu jeśli to byłoby konieczne dla ukrycia się przed nadciągającą burzą Przeznaczenia - wykonywała Plan. Miała bezpiecznie wychować syna,

ochroniać go przed tysiącem możliwych wypadków, które mogłyby pozbawić świat swojego zbawiciela zanim nadejdzie jego czas. To właśnie stanowiło teraz treść jej życia oraz jedyną nadzieję dla reszty ludzkości.

Miała wystarczającą ilość jedzenia i wody na pięć dni, pełny bak benzyny i słownik hiszpańsko-angielski. Odjechałaby tak daleko jak by mogła, aż do wyczerpania zapasów, żeby tylko znaleźć jakiś sposób na zabezpieczenie siebie i dziecka. Nie obawiała się. W ciągu tych trzech straszliwych dni odnalazła w sobie ukryte siły, o istnieniu których nigdy nie wiedziała. Olbrzymią odwagę, którą przejawiała walcząc przeciw ogromnej przewadze. Straty były przytłaczające, ale to ona wygrała batalię. I nawet jeśli byliby inni Terminatorzy, wysłani aby skończyć to, czego nie mógł zrobić pierwszy, ona przygotowuje się do walki z nimi. Bowiem żadna maszyna nie skrzywdzi jej syna. Bolesna, tęskniąca miłość, którą do niego czuła, dała jej straszliwą nauczkę, żeby nikomu nigdy nie ufać. Ponieważ każdy mógł być Terminatorem, zaprogramowanym przez Skyneta tak, żeby przekroczyć wieczność i rozerwać jej duszę.

Tej paranoi nauczył ją Kyle Reese, doświadczony przez lata podchodów w powojennych ruinach, lata zwalczania cyborgów i renegatów. Jak twierdził, był żołnierzem przez większość swojego życia. To był jedyny sposób, żeby przeżyć tam, w przyszłości. "Potem", jak ją nazywał. Przeżyć tam, gdzie potężne maszyny wojny przewracały kości milionów, martwych, o ciałach spalonych lub napromieniowanych. Ale John Connor zebrał żałosne szczątki tych, którzy przeżyli, w łachmaniarską armię oporu, i powoli ludzkość zaczynała odbierać teren metalowym władcom. Aż pewnego dnia losy bitwy się odwróciły i Skynet desperacko, w przebłysku geniuszu wynalazł maszynę do poruszania się w czasie, pierwszą taktyczną bron czasową. I wysłał śmiertelnośnego emisariusza w podróż przez czas, aby ten wyeliminował Sarę i John Connor nigdy się nie mógł narodzić. Siły Johna przejęły kontrolę nad urządzeniami do poruszania się w czasie i John wysłał Kyle'a po to, żeby, jeśli to

możliwe, zatrzymał Terminatora. To była w gruncie rzeczy misja samobójcza, ale on zgłosił się dobrowolnie. Był prostym żołnierzem i zdecydował się poświęcić w tym zamęcie historii, ponieważ kochał Sarę.

Z początku Sara nie mogła pojąć, jak mogła być obiektem tak nieopanowanej namiętności. Była wszak zwyczajnie wyglądającą dziewczyną, o brązowych oczach i włosach, o rysach wystarczająco przyjemnych, ale nic nadzwyczajnego. Jednakże Kyle ją uwielbiał. No, może niezupełnie ją. On adorował w niej tę, którą miała się stać: matkę Johna Connora, tygrysięcę, która ochraniała go przed kataklizmem. Więc Kyle przybył przez burzę czasu do niemożliwego świata, cały i tryskający życiem. Do świata, który mógł sobie tylko na pół wyobrazić, gdy był jeszcze dzieckiem, na podstawie opowieści starszych ludzi. Wyrwał ją z zasięgu Terminatora i kochał się z nią w łagodnym uniesieniu. I w czasie tego gorącego momentu, kiedy byli w swoich ramionach, Sara połączyła swoje ciało i duszę z Kyle'm, i dopiero wtedy uwierzyła, że jego miłość jest prawdziwa. Oni dali jej poczucie rzeczywistości. Dając życie Johnowi Connorowi, który pewnego dnia, gdy dorośnie, wyśle swojego ojca poprzez czas, Sara mogła przeżyć Terminatora i począć Johna Connora, który... pyton znowu się skręcał.

Kiedy jeep wszedł w zakręt, coś spadło na kolana Sary. Zdjęcie z polaroidu. Na zapuszczonej stacji benzynowej, kilka mil temu, meksykański chłopiec podbiegł i zrobił je żądając pięciu dolarów. Litując się nad nim dała mu cztery, a zdjęcie rzuciła na deskę rozdzielczą samochodu. Popatrzyła teraz zdziwiona na starszą kobietę patrzącą na nią ze zdjęcia. Jej twarz była nadal kremowo gładka młodością, nawet z lekkim zaczerwienieniem spowodowanym ciążą, ale oczy były stare, tak stare, jak pomarszczony był pracownik na stacji. Stare, ponieważ patrzyły w bolesną przeszłość i przerażającą przyszłość. Ale to, co dodawało jej lat, to był ukryty uśmiech Mony Lizy. Gdy chłopiec robił zdjęcie myślała o Kyle'u. Dopiero

dużo później dowiedziała się, że to właśnie zdjęcie John Connor dał mu dawno temu, gdy razem kryli się w jakiejś brudnej dziurze, podczas gdy nocne niebo huczało od armady Skyneta. Kiedyś, w przyszłości, Sara da je Johnowi, a ten da je Kyle'owi. I Kyle zakocha się w jej enigmatycznym, tęsknym spojrzeniu, zastanawiając się i nigdy nie dowiadując się, że ten uśmiech był spowodowany miłością i żalem za nim. I to chyba będzie początek koła, choć oczywiście koła nie mają ani początków, ani końców. Ale teraz nie mogła myśleć o nim. Musiała myśleć o drodze przed sobą i znalezieniu bezpiecznego schronienia przed burzą i nadchodzącą nocą.

Zaczęło padać. Gorąca, przenikająca wszystko ulewa, która zmoczyła jej oczy.

Wyskoczyła z wozu i naciągnęła plandekę. Ale kiedy wsiadła z powrotem, jej oczy nadal były wypełnione łzami. Zawziętym gestem starła je i skierowała swojego jeepa wyżej w góry.

## **Nowy świat**

LOS ANGELES, CALIFORNIA

11 lipca 2029 roku

środa - 9:01 rano

Księżyc właśnie wzeszedł, ale gęste warstwy lekko radioaktywnych, czarnych jak żelazo kumulusów nie przepuszczały żadnego światła. Samochody, zatrzymane w zardzewiałych rzędach, nieruchomo zderzak przy zderzaku, wyglądały jak zamrożona rzeźba, którą ktoś mógłby nazwać "Ostatnia godzina szczytu". Budynki, wznoszące się kiedyś nad drogami szybkiego ruchu, zostały rozsypane przez jakąś niewyobrażalną siłę, jak kopnięte zamki z piasku. Przenikający na wylot wiatr wiał przez pustkowie. Pędził śnieg w zaspę, całkowicie białe wobec zwęglonych rumowisk. Tu i tam leżały stosy spalonych ogniem ludzkich kości, a poza nimi rozległa tundra czaszek wśród pogruchotanego betonu. Na pobliskim boisku intensywny żar na wpół stopił zestaw przyrządów gimnastycznych, podmuch

przewrócił huśtawki na bok, przekrzywił karuzelę. Nikłe hieroglify linii do gry w klasy, wtopione w asfalt, były nadal widoczne. A obok nich ciemne sylwetki małych ciał wypalone w betonie, w mgnieniu oka, w trakcie gry. W pobliżu wypalonego i zardzewiałego trzykołowego roweru malutka czaszka jego właściciela rzuca straszne oskarżenie...

Trzy miliardy ludzi zakończyło swe istnienie 29 sierpnia 1997 roku. Ci, którzy przeżyli nuklearny ogień, nazwali tę wojnę Dniem Sądu Ostatecznego. Przetrwali niewyobrażalny ogień piekielny, a potem arktyczne zimno, tylko po to, żeby stanąć przed nowym koszmarem...

Metalowa stopa zdeptała czaszkę dziecka jak porcelanę gdy pochromowany szkielet obciążony masywnym karabinem bojowym, zatrzymał się na chwilę w zimnym podmuchu powietrza. Zrujnowane miasto odbijało się w hydraulicznie poruszonym szkielecie cyborga będącego bojową wersją Terminatora serii 800, nieupiększonego, zwykłym pokryciem ze skóry dla kamuflażu. Była to prymitywna przeciwludzka broń kontrolowana przez Skyneta i przeznaczona do penetrowania zakamarków i ukrytych dziur w mieście, w których gromadził się ludzki łup. Jarzące się oczy szkieletu lustrowały martwy teren bez emocji. W trakcie polowania cała jego inteligencja skupiała się w optycznych i termicznych sensorach, Nagle dostrzegł cel.

Na cyfrowej, geometrycznej mapie pokrywającej jego skanery zobaczył odległą, biegnącą figurę. Symbole i znaki graficzne gwałtownie pojawiały się na centralnym wyświetlaczu, a cyfrowy mózg maszyny projektował szereg możliwych trajektorii do celu.

Najbardziej prawdopodobna trasa została podświetlona. Endoszkielet szybko podniósł swój czterdziestowatowy,

fazowo-plazmowy

pulsacyjny

karabin



M-25.

Skondensowany błysk wystrzelił z lufy. Figura młodego chłopca w łachmanach została przebita centralnie. Jego klatka piersiowa wyleciała na zewnątrz, wyparowując w postaci czerwonych kryształów w mroźnym powietrzu. Zwalił się na tłącą kupę szlamu.

Partyzant trzymający wyrzutnię rakiet RPG wyrósł za endoszkieletem nagle. Kiedy cyborg zaczął się odwracać, żołnierz odpalił raketę, która ze świstem poleciała w kierunku człękokształtnej maszyny i jaskrawym wybuchem organicznej energii oderwała jej górną część. Endoszkielec zrobił kilka niepewnych kroków i przewrócił się, kopiąc konwulsyjnie nogami śnieg. Żołnierz przechodząc splunął na coś, co było teraz tylko bardzo kosztownym kawałkiem złomu i podszedł do kogoś kucającego w cieniu. Była to drżąca, dziesięcioletnia dziewczynka, nieomal zamrożona w swoim podartym pulowerze. Z wahaniem podeszła do ojca. Popatrzyła ze strachem na endoszkielec na śniegu. Żołnierz położył uspokajająco rękę na jej ramieniu i powiedział:

- Mówiłem ci, że się nie skończy, dopóki się nie skończy.

Potaknęła poważnie. Było to powiedzenie, którego John Connor używał jako sloganu w swojej armii. Dawało ono ludziom siłę do kontynuowania walki.

Dla Skyneta ludzki upór nie miał sensu. Walczyli, choć logika jego sztucznej inteligencji mówiła, że zostali pobici. Nieugięcie wylewali się z rumowisk, jak bakteryjna plaga. Schematy ich kontrataków były sprytne i trudne do przewidzenia. Do tego ludzie rozmnażali się na alarmującą skalę. Ich żądze seksualne rozpały się w sytuacji zagrożenia całkowitym unicestwieniem. Chociaż przynajmniej ośmiu lat trzeba było, aby młodzi ludzie byli zdolni do walki, zaczęli mimo to wyprzedzać możliwości produkcyjne Skyneta. I szybko uczyli się znajdować czułe miejsca w metalowej straży przedniej dziesiątkując jego armię

maszyn do zabijania.

Wkrótce wśród żołnierzy byłoby więcej ludzi niż nie-ludzi. Hiperkomputer poważnie pomylił się w sprawie, którą gwałtownie analizował: ludzkiej woli. Do tej pory nie doszedł do niczego. A wojna wtaczała się w swój trzydziesty pierwszy rok.

Narastający dźwięk ryczących turbin sprawił, że mężczyzna złapał córkę i rzucił się poprzez nierówny teren do kryjówki. Reflektory oświetlały teren, gdy patrolowa formacja latających Myśliwych-Morderców przeleciała nad głową poruszając się w kierunku postrzępionego horyzontu, rozświetlonego przez sporadyczne błyski i grzmot odległej burzy.

Na skrzyżowaniu tego, co nazywało się kiedyś ulicami Pico i Robertson, szalała desperacka walka. Łachmaniarska powstańcza armia była złożona z młodych mężczyzn i kobiet. Pochodzili z krajów Południowej Hemisfery, głównie z Afryki i Południowej Ameryki, a kilkoro było z Australii. Większość tych, którzy przeżyli wojnę pomiędzy supermocarstwami Północnej Hemisfery, mieszkała na południe od równika. Pod dowództwem Johna Connora przybyli do zrujnowanych miast, aby odebrać je stalowemu legionowi Skyneta.

Wybuchy energii krzyżowały się na polu bitwy ukazując w koszmarnych błyskach zastępy atakujących maszyn. Siły komputera składały się z podobnych do czołgów ruchomych, urobotwionych platform z działami nazywanymi Myśliwymi-Mordercami; czworonożnych, biegających pęków dział zwanych Centurionami; latających Myśliwych-Morderców; pełzających bomb typu Silverfish, które eksplodowały wślizgując się do ludzkich siedlisk, oraz człekokształtnych Terminatorów o różnym stopniu kamuflażu.

Grad pocisków wypalał w niszczących wybuchach budynki, ziemię, metal oraz ciała.

Na otwarty teren z łomotem wypadła otwarta ciężarówka ze zwyczajowym uzbrojeniem. Tylny strzelec celował do lecącego Myśliwego-Mordercy ręcznie odpalonym pociskiem Stinger.

Wieżyczka strzelnicza zakręciła się ze złością, kiedy człowiek odpalił raketę. Pocisk przeciął

nieboskłon jak gorący nóż, uderzając w jedną z turbin Myśliwego-Mordercy. Niebo rozblysnęło płomieniem, gdy potężna maszyna spadła na pole bitwy. Jedna z części rozplaszczyła to, co kiedyś było budynkiem, a druga rozbiła małą grupę Centurionów. Strzelec wrzasnął zwycięsko, ale szybko się odwrócił, gdy usłyszał za sobą grzmot, od którego zadrżała ziemia. Potężny czołg Myśliwy-Morderca sprzątnął stertę rumowiska i potoczył się w jego kierunku niczym ściana żelaza. Żołnierz miał czas tylko na to, żeby krzyknąć nim gąsienice trzasnęły w ciężarówkę i rozgniotły ją jak puszkę po piwie. O kilka przecznic dalej, w ciemnych kątach i pęknięciach, które kiedyś były deptakiem zakupowym Pawilonu Westside, szalał gwałtowny ogień rozpętany przez Terminatorów endoszkieletowych.

Większość żołnierzy w armii Johna Connora była do siebie podobna: krwawiąca, przemrożona i owinięta w łachmany ... To było drugie Valley Forge, tyle że z lepszym uzbrojeniem. Cowan, siedemnastoletni partyzant, wychylił się z ukrycia i strzelił z ręcznego granatnika prosto w grupę atakujących Terminatorów zwalając je z nóg. Leżały nieruchomo z podziurawionymi czaszkami. Chłopiec gwałtownie zaczął manipulować przy swojej broni próbując ją ponownie załadować.

Jakiś mężczyzna wyszedł z cienia:

- Daj, pomogę ci - powiedział spokojnie sięgając po granatnik.

Cowan instynktownie poczuł, że coś jest nie w porządku. Owszem, obcy nosił opaskę partyzanta, ale był to kolor z zeszłego tygodnia. Cowan wpakował potężny pocisk do komory i pociągnął za spust. Siła eksplozji odrzuciła go do tyłu, na wielką kupę rozbitego betonu. Tył czaszki osmaliło mu gorąco fali uderzeniowej. Usiadł otumaniony czując piekący ból i krew wyciekającą z lewego ucha. Zdał sobie z przerażeniem sprawę z tego, że nie słyszy tą stroną. Ale uśmiechnął się z satysfakcją, gdy zobaczył co granatnik zrobił z "człowiekiem": leżał na ziemi nieomal przecięty na pół, odsłaniając wewnętrzną warstwę chromowanego metalu. Jego

“kręgosłup”, czy też wiązka neuronów, został przecięty, iskrzący koniec wystawał z porozrywanego ciała. Terminator ciężko oddychał, jak umysłowo chory, po chwili jego silnik wykonawczy zatrzymał się, a oczy zmrużyły. Cowan nie miał czasu napawać się swoim zwycięstwem, bowiem zajął się powtórным ładowaniem broni. Tymczasem ze stosu gruzów ześliznęła się Silverfish i zatrzymała pomiędzy jego nogami. Chłopiec spojrzał w dół i krzyknął. Gwałtownie obrócił się i skoczył w tył. Silverfish wybuchnęła rozrzucając po całym terenie ostre jak brzytwa i skwierczące z gorąca odłamki. Cowan błyskawicznie przybrał pozycję kuczną ładując równocześnie kolejny granat.

Teren był gęsty od dymu i kurzu. Cowan podniósł się i chwiejnym krokiem przeszedł nad stertą gruzów do korytarza. Oczy piekły go od ostrego, gryzącego dymu. Teraz już na pewno nie słyszał zbyt dobrze. Do tego jeszcze kawałek skóry i mięśnia miał wydarty z przedramienia przez odłamek. Za moment przyływ bólu będzie zbyt silny. Nadal jednak uważał się za szczęściarza. To, na ile było to prawdą, miało się okazać za chwilę.

Kiedy dotarł do skrzyżowania, coś nagle wychynęło z dziury w podłodze. Był to Terminator endoszkieletowy. Jego stalowa pięść uderzyła jak potężny młot. Granatnik potoczył się po korytarzu. Chłopiec gwałtownie wciągnął powietrze. Po bólu poznał, że co najmniej jedno z żeber ma złamane. Cyborg podniósł się i stanął nad nim. Uniósł swój karabin bojowy i skierował w głowę Cowana. Tym razem nie było ucieczki. Czarny otwór lufy karabinu Terminatora wskazywał nieskończoność zakończenia. *To jest śmierć* - pomyślał chłopiec. Za sekundę maszyna wystrzałem zmiecie jego głowę i wtedy ... wydało się, że czas gwałtownie zwolnił. Cowan popatrzył na twarz Terminatora. Jego usta bez warg odsłoniły emaliowane, tytanowe zęby. Lśniaca czaszka wydawała się śmiać z niego. Wysokiej technologii kostucha przychodząca po jego duszę. Błyszczące demonicznie czerwone oczy były w nim utkwione. Nie mógłby nie trafić. A jednak nie wypalił. Chłopiec ze zdziwieniem wciągnął powietrze,

zdmiony tym, że jeszcze może to robić. Wydawało się, że minęło już wiele sekund. Nagle zdał sobie sprawę, że Terminator się nie rusza. I rzeczywiście, oczy maszyny zgasły.

Chłopiec z wielkim bólem podciągnął się po ścianie, żeby stanąć na chwiejnych nogach. Cyborg nadal wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą siedział. Z wahaniem podszedł do pochromowanego szkieletu i pchnął go w klatkę piersiową. Terminator zakołysał się, a następnie przewrócił na bok z głuchym łomotem.

Jakiś partyzant pokazał się na końcu korytarza.

Cowan spojrzał. To była Bryn. Wielokrotnie razem walczyli. Teraz nie mógł nic mówić tylko gapił się. Jego zmysły otępiały z powodu szoku i pulsującego bólu w ranach. W końcu zdołał wyksztusić kilka słów:

- On się po prostu ... zatrzymał.

Bryn ostrożnie podeszła i spojrzała na nieruchomy endoszkielec.

- One nigdy się nie zatrzymują - powiedziała.

Objęła go ramieniem i łagodnie poprowadziła w kierunku tego, co pozostało z ich oddziału. Za kilka minut mieli się oboje dowiedzieć dlaczego endoszkielec w korytarzu rzeczywiście po prostu się zatrzymał.

W miejscu prowizorycznego ustawienia dział, na skraju pola bitwy, stał pewien człowiek - zbyt ważny, żeby mógł ryzykować życie na linii ognia - i obserwował bitwę przez polową lornetkę. Stał nieruchomo jak posąg pomiędzy krzyczącymi technikami i oficerami. Miał na sobie mundur generała partyzantów. Posępnie opuściwszy lornetkę odsłonił rysy czterdziestopięcioletniego mężczyzny żyjącego w wielkim stresie. Lewa strona jego twarzy była ciężko pokiereszowana. Lecz nadal robił wrażenie mężczyzny zaprawionego w ogniu trwającej całe życie walki. Na jego bluzie wyszyty był napis "CONNOR".

Connor słyszał za sobą trzaski łączności radiowej, głosy podniesione pod wpływem

wzrostu poziomu adrenaliny w ogniu walki, raporty padające ze stanowisk. Pochodzący z innych pól walki - państw i miast: San Francisco, Seattle, Albuquerque, Chicago (Nowy York został opanowany przez maszyny wiele lat temu). Głosy mówiły w różnych językach; po hiszpańsku, w suahili, po japońsku, angielsku. To była pierwsza prawdziwie międzynarodowa armia. Ochotnicy pochodzili z krajów najmniej zniszczonych przez wojnę. Przybyli, żeby razem przeżyć.

Dzisiaj walki przeciwko siłom Skyneta toczyły się na całym świecie. Ale najważniejsze były te w Górach Cheyenne w Colorado, gdzie był umieszczony główny komputer. Druga co do ważności bitwa toczyła się tutaj, na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie najważniejszym celem był drugi z największych i najlepiej strzeżonych podziemnych kompleksów Skyneta. Obszerny teren był otoczony śmiertcionośną koncentracją maszyn obronnych i w ciągu ostatnich dwu dni było coraz więcej ofiar śmiertelnych, ale John wiedział, że w końcu wygrają. Mieli teraz dużą siłę ognia i, co ważniejsze, wolę zwycięstwa. Jednak śmierć tylu ofiar ciążyła mu. Tak wiele młodych mężczyzn i kobiet desperacko chciało rozpocząć nowe życie, kiedy już wyschnie krew po bitwie. To, że widział żołnierzy walczących wraz z nim od tylu lat i dziesiątkowanych przez metalowych skurwysynów teraz, pod sam koniec walki, doprowadzało go do wściekłości. Wszechświat nie był ani sprawiedliwy, ani miły. Jeżeli istniał Bóg, to jego miłość połączona z czterdziestopięciocentówką mogłaby przydać się na kupno kawy. Nie wydawało się, żeby ktokolwiek w Kosmosie coś kontrolował. Każdy człowiek odpowiadał za siebie dopóki istniał Skynet i wypełniał pustkę pozostawioną przez pozornie niezainteresowanego Boga. Wizja Skyneta była ideałem kontroli. Zasadniczym marzeniem człowieka było eliminowanie złych ludzi. A Skynet miał kłopot z wydzieleniem tych złych. Więc cała ludzkość w swoim biologicznym nieporządku stała się mu niepotrzebna. Dla tej maszyny-Boga przebaczenie po prostu się nie liczyło. Tylko chłodna zemsta za grzechy przeszłości.

John zmierzał do zakończenia tej wojny i do rozpoczęcia życia na nowo, aby poprawić błędy historii. Ale, jak inni generałowie z przeszłości, nie był pewien, jaki rodzaj świata byłby możliwy. Miał jedynie czas na strategiczne planowanie wojny. Nie dochodziło do niego, że po zakończeniu konfliktu będzie także życie. Zawsze wydawało mu się to takie odległe. Jak horyzont będący zawsze poza zasięgiem, nieważne jak długo dąży się do niego.

Coś się działo nad skrzyżowaniem Pico i Robertson. John podniósł swoje szkła ponownie i przybliżył obraz latającego Myśliwego-Mordercy. Gwałtownie wirując i tracąc panowanie jak frisbee, ciągnął w dół, aby wybuchnąć potężną kulą ognia rozświetlającą spustoszony teren dokoła. Ktoś właśnie zrobił dobre morderstwo. Jeżeli przeżył, John by go udekorował. Ale inni dwaj Myśliwi-Mordercy także nagle pochyłili się i pod szalonym kątem spadły na ziemię nie będąc wcześniej trafionymi. W jaskrawym płomieniu palących się resztek John zobaczył dziwaczny widok: oddział endoszkieleatów stał w pobliżu nienormalnie zatrzymany w miejscu, jak żołnierzyki-zabawki. Ich metalowe powierzchnie błyszcząły w płomieniach. Odgłosy wybuchów cichły, aż niewytłumaczalnie umilkły wszystkie naraz. Armia Johna zaczęła ostrożnie wychodzić z ukrycia i podchodzić do znieruchomiłych maszyn. Inny latający Myśliwy-Morderca w odległości około mili od miejsca walki rzucił się w dół po śmierć w płomieniach. John był zdziwiony widząc niebo wolne od bojowych maszyn. Przeleciał wzrokiem pole bitwy. Żadna z broni Skyneta się nie ruszała! I wtedy zdarzyła się rzecz niesamowita - wszystko ucichło. Wszystko, co John teraz słyszał, to szum wiatru wysoko w górze. Żadnych dział. Żadnych eksplozji. Żadnego jęku turbin czy warkotu silników. Nawet radiodbiorniki za nim zamilkły. Nagle jeden głos zaczął głośno, z przeraźliwą emocją wyczuwalną pod opanowanym głosem, mówić:

- Tu Dywizja z Nowego Orleanu. Oni się nie ruszają! Oni... po prostu się zatrzymali !

Inny głos wszedł na linię:

- Tu Chicago! Mordercy się przewracają... Mój Boże, oni się wszyscy rozbili!

Nałożył się inny głos:

- Donoszę z San Francisco! Nie wiem co się dzieje! Terminatorzy po prostu tam stoją!

Inny:

- Nikt nie wyszedł nas zatrzymać. Jesteśmy teraz wewnątrz fabryki. Wszystkie radiostacje zaczęły na raz paplać wiadomości. Ale John już wiedział co się stało. Wiedział to przez większość swojego życia.

Porucznik Fuentes zbliżył się i stojąc obok Johna przypatrywał się scenie poniżej.

Mówił tak cicho, że John nieomal go nie słyszał:

- Właśnie dostaliśmy potwierdzenie... Skynet został spenetrowany i zniszczony.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli na siebie. Ich twarze były blade z wrażenia i świadomości, jak całkowicie puste mogą się wydawać.

- Wojna się skończyła, John. Wygraliśmy.

Fuentes wciągnął powietrze, wydawało mu się, że pierwszy raz w tym stuleciu. Wraz z tlenem przyszła emocja. Zaczęła jakby kapać. Narastające napięcie buchnęło z jego płuc jak triumfalny okrzyk. To był krzyk, który przeszedł w grzmiące owacje powtarzane długo w ciągu dnia i następnej nocy, gdy zwycięzcy podnosili oczy w niebo pozbawione maszyn i wiedzieli, że długa wojna skończyła się naprawdę.

Teraz John Connor mógł jedynie upaść na kolana. Ale było jeszcze coś do zrobienia.

Dużo więcej, zanim naprawdę będzie mógł swobodnie oddychać. I zacznie to robić w samym wnętrzu Bestii. Wziął do ręki mikrofon radiostacji i zaczął wydawać rozkazy. Rozkazy, do wydawania których się urodził...

## **Kapłan Przeznaczenia**

Oni nie weszli tak po prostu. Pomimo że główny komputer w Colorado został



zniszczony, były jeszcze setki autonomicznych Terminatorów nie będące pod bezpośrednią kontrolą ośrodków dowodzenia i nadal mogące wyszukiwać i unieszkodliwiać ludzkie cele.

Wewnętrzne baterie mogły podtrzymać ich śmiertelność przez setki lat. John zdawał sobie sprawę, że ofiary, pomimo tego, że wojna się skończyła, będą się zdarzać do czasu, gdy wszyscy Terminatorzy zostaną wyeliminowani.

Musieli się przebić do wnętrza kompleksu przez tuziny niezależnych Terminatorów.

Dopiero trzy godziny później miejsce było czyste. Specjalna formacja saperów stworzyła ochronę dla ekipy technicznej, kiedy wjeżdżali potężną windą towarową do wnętrza budynku.

Byli małymi figurkami na otwartej platformie, gdy zjeżdżali pod kątem czterdziestu pięciu stopni betonowym tunelem, będącym małą plamką na rozbudowanym ponad miarę przemysłowym krajobrazie.

Kilka minut później winda się zatrzymała i ludzie wkroczyli w nieznaną świat zaprojektowany przez maszyny dla maszyn.

Architektura była obca, kompletnie pozbawiona ludzkiej estetyki, nawet bez takich podstawowych w ludzkim świecie elementów jak gałki do drzwi i oświetlenie. Ale Johnowi wydawało się, że był tu w swoich snach wiele razy. "Całe moje życie - myślał z bólem w piersi - próbowałem sobie wyobrazić jak to wygląda i teraz naprawdę tutaj jestem".

Przeprowadził niespokojnych mężczyzn obok podobnych do pomników Terminatorów, unieruchomionych

podobnie

do

tych

na

powierzchni.

Przechodzili

obok

techników, poruszających się po nieskończonych korytarzach jak owady we wnętrzu nieżywego już Skyneta. Kiedy mijali zespół Johna uśmiechali się i salutowali, mimo że John nie nosił żadnych oznak stopnia. Wszyscy go znali.

Był jednym z nielicznych dowódców we wszystkich stoczonych wojnach, który prawdziwie zasłużył sobie na szacunek swoich oddziałów jako człowiek. Kiedy większość z tych, co przeżyli, kurczyła się ze strachu przed cieniem kolosa, jakim był Skynet, John Connor wyszedł z ukrycia i granatami wysadzał gąsienice jeżdżących Myśliwych-Morderców. Zamiast z powrotem rzucać się do ukrycia, on stał przy płonącym wraku przepompowując nie spalone paliwo do swojego wozu bojowego. Nie było takiej rzeczy z tych, które kazał wykonać swojej armii, jakiej by wcześniej sam nie wykonywał. I, co ważniejsze, z nieodgadnioną pewnością wiedział co trzeba było robić. To stworzyło taką lojalność i zaufanie, jakiej nie mogłaby wywołać żadna maszyna. Lecz mimo to trudno było tak naprawdę go poznać. Fuentes, który walczył ramię w ramię ze swoim dowódcą przez ostatnie pięć lat, czuł tę różnicę pomiędzy nimi. Byli towarzyszami broni, którzy mogli sobie powierzyć własne życie, ale nie byli przyjaciółmi.

John był bardziej charyzmatyczny i przystępny przed laty, kiedy tworzył swoją armię budując poczucie więzi pomiędzy sobą i rosnącym legionem obcych ludzi. Można by odnieść wrażenie, że było to częścią techniki rekrutacyjnej: serdeczność wynikająca bardziej z potrzeby niż chęci. Ale kiedy miał dwadzieścia parę lat osobista tragedia kazała mu się z powrotem głębiej wycofać do szarego więzienia odpowiedzialności, w którym tkwił od zawsze.

Wiadomość przyniósł Fuentes. John tkwił w kraterze po wybuchu dając końcowe wskazówki nastoletnim żołnierzom. Byli pogodni, chętni i posłuszni. Wszyscy mieli zginąć w

zmiennych kolejach bitwy, która doprowadziła do końcowego zwycięstwa. Widział jak wyczołgują się z ruin oświetlonych światłem księżyca. Fuentes zwrócił się do Johna próbując zachować spokój przy zdawaniu nocnego raportu z pola bitwy: konwój z dostawami z Meksyku został wciągnięty w zasadzkę przez oddział Myśliwych-Morderców, nikt nie przeżył. John wysłuchał i tylko kiwnął głową, W tej wojnie pełnej porażek była to po prostu jedna porażka więcej. Dostawa była ważna, ale posiadali jeszcze zapasy, które mogli wykorzystać. John uodpornił się na straty w czasie tych lat. Ludzie zawsze umierali w tej wojnie. Tacy jak właśnie wysłany na patrol oddział nastolatków. Nawet groza śmierci może zobojętnieć jeżeli zdarza się wystarczająco często.

To wszystko Fuentes doskonale wiedział. I w innych warunkach nie uważałby tej reakcji za dziwną. Kiedy jego obecność nie była potrzebna, generał pograżał się w myślach, szczególnie wtedy, gdy wysyłał setki ludzi na beznadziejną walkę tylko po to, żeby zyskać na czasie dla stworzenia armii. Ale przechodził nad tym szybko do porządku, gotów do kontynuowania walki, prowadzony przez pewność końcowego zwycięstwa. Ta ilość ofiar była niezbędna. Ale Fuentes wiedział także to, co wiedział John...

Tym konwojem dowodziła Sara Connor. Wprawdzie została już wyłączona z działań, ale Sara zawsze postępowała po swojemu i niewielu ludzi miało rangę lub odwagę wystarczającą, by ją zatrzymać. Nawet John się jej obawiał. Była nie tylko doskonałym żołnierzem, lecz także ekspertem w sprawach taktyki. Ale w końcu kiedyś nawet najlepszy żołnierz może być pokonany przez przeważającą siłę ognia. Tak jak w tym przypadku. Więc Fuentes uważał za dziwne, że John jedynie pokiwał głową, kiedy powiedział mu, że jego matka nie żyje. Kiedy wieści rozejdą się szerzej, ludzie, którzy znali ją i szanowali tylko sądząc po opinii, będą szlochać. Sara Connor była nieomal tak legendarna jak jej syn. John podziękował Fuentesowi za informacje i odszedł. To było wszystko, co zrobił.

Później Fuentes natknął się na Johna zgiętego nad swoim łóżkiem, łkającego. Cicho wycofał się. To był jedyny raz, gdy widział tego wielkiego człowieka płaczącego. Od tego czasu John nigdy nie mówił o swojej matce. Wydawało się, że jego duszę przykrojono na miarę munduru.

Fuentes przepadał za Johnem Connorem, ale nie czuł się zbyt pewnie w jego towarzystwie, a na pewno już nie chciałby być w jego skórze. Kiedy przyglądał się uważnie, widział smutek w oczach Johna, tak jakby cena zwycięstwa była zbyt wysoka, a rany zbyt bolesne, żeby mogły być szybko wyleczone. W rzeczywistości im dalej wchodził do wnętrza, tym bardziej Connor wydawał się przygnębiony. Tak jakby tam, na dole, było coś, czego się obawiał.

Podeszli do dużych, otwartych drzwi podziemnych. W rozległej sali panowała ożywiona krzątanina. Miała rozmiary sali gimnastycznej, całkowicie zastawionej nie wiadomo do czego służącymi maszynami. Technicy klękali jak kapłani przed ołtarzem maszyny-boga, aż po brzegi wprowadzając sondy do układów scalonych podobnych do drapaczy chmur terminali. Szybko odczytywali dane ze zbiorów porównując je z tymi, które wcześniej odkodowali.

Podwójnie sprawdzali informacje podane przez Johna i dziwnym trafem mu znane.

John i jego ludzie zbliżyli się do grupki techników, którzy powyciągali wiele dolnych paneli i bezpośrednio wczytywali się we wnętrza używając przenośnych terminali przyciągniętych na kółkach. W wojnie przeciw maszynom wielu żołnierzy było specjalistami od techniki. Dzieci-geniusze, które zdobyły swoją wiedzę w bombardowanych bibliotekach i na polu bitwy. Ludzie, którzy musieli myśleć nie tylko na stojąco, ale także w biegu. John zgromadził najlepszych, żeby złamać kod maszyn Skyneta, przestudiować jego plany, myśli i przeanalizować dane. "Ogień zwalcza się ogniem" - pomyślał John, kiedy dumnie patrzył jak poruszają się z błyskawiczną pewnością. Byli jednym z filarów zwycięstwa.

Technik-specjalista Winn obejrzał się. Był to nadpobudliwy typ człowieka, który wykazał się olbrzymią energią i inteligencją dowodząc oddziałem chrono. Nerwowo przywitał Johna i powiedział mu, że są nieomal gotowi.

- Czy on tu jest? - zapytał John nieswoim głosem.

Winn potaknął i wskazał głową grupę techników na drugim końcu sali. Pomiędzy nimi stał młody żołnierz obsługiwany jak członek rodziny królewskiej. John zamknął oczy i powstrzymał emocje. To był Kyle Reese.

John ruszył w jego stronę mając intensywne uczucie *déjà vu*. Jego ciało wydawało mu się nienamagalne, unoszące się nad morzem ciężkiego smutku. Tęsknił za tym dniem słodkiego zwycięstwa i obawiał gorzkiego ostrza tego, co miał, co musiał zrobić.

Kyle skończył ściąganie munduru. Technicy zaczęli smarować jego ciało kwaśno śmierdzącą galaretą.

Fuentes zmarszczył nos:

- Co to jest?

Winn odwrócił się i odpowiedział:

- Galareta przewodząca, po to, żeby pole czasowe szło za jego konturami.

Fuentes nie wiedział co on mówi i co ten cały numer z podróżą w czasie ma oznaczać.

John próbował mu wytłumaczyć, ale brzmiało to jak jakaś techniczna abrakadabra. Fuentes nienawidził bycia tutaj, w otoczeniu maszyn, z którymi walczył tak ciężko, aby je pokonać.

Nienawidził wszystkich maszyn z wyjątkiem jednej, prostej, wiszącej na jego ramieniu. Broń to jedyne dobre maszyny. Wiedział, że jego nienawiść jest irracjonalna. John mu cierpliwie tłumaczył, że maszyny nie są ani dobre, ani złe. Tylko ludzie. Skynet został zbudowany przez ludzi. Ludzi, którzy obawiali się siebie ze swoją bronią. Więc zbudowali urządzenie, które podniosło ich paranoję do n-tej potęgi.

Wszystko dobrze, ale Fuentes nadal chciał się stąd wydostać. Tam, na górze, jego oddział świętował zwycięstwo przy samogonie i nowej partii puszkowanego jedzenia, które odkryli kilka dni temu. Także jego kobieta czekała tam na górze. John powiedział, że jest jeszcze coś do zrobienia. Fuentes się zgodził. Ale nie tutaj, lecz tam, na górze, przy gorących ogniskach zwycięstwa. Lecz Fuentes bardziej niż ktokolwiek inny doświadczył mądrości Johna, więc próbował zwalczyć rosnącą klaustrofobię.

John obserwował twarz Kyle'a. Dziwnie jest patrzeć na gładką twarz młodszego od siebie mężczyzny i wiedzieć, że jest on twoim ojcem. Kyle oddychał głęboko i powoli, okazując opanowanie podczas szykowania się do tego, do czego nie można się przygotować: podróży w czasie. Tylko John wyczuwał ukryty strach pod zawziętym wyrazem twarzy, gdy technik wstrzykiwał mu w żyłę syntetyczną adrenalinę przysposabiającą jego mięśnie do walki. Technicy odeszli i nagle John znalazł się obok Kyle'a. Mężczyźni popatrzyli na siebie.

Nie byli przyjaciółmi. Gdyby mieli więcej czasu, na pewno by nimi zostali. Ale do tego dnia John widział Kyle'a tylko pięć razy. Dopiero za drugim razem John usłyszał jego nazwisko i zdał sobie sprawę z tego, kim on naprawdę jest. Wtedy nic nie powiedział. Pomimo że matka powiedziała mu o ojcu i o tym, co było mu przeznaczone, John tak naprawdę nie chciał tego zaakceptować. W rzeczywistości przez pewien czas John buntował się przeciwko całemu pomysłowi z "jego Przeznaczeniem". Aż przyszła wojna i maszyny zaatakowały. Wtedy wszystko, co Sara Connor mu powiedziała, przerażająco zaistniało. Każdy straszny moment, jak tyknięcie kosmicznego zegara wybijającego kolejną historię ze ślepego posłuszeństwem. A teraz zegar wybijał to, co było dla niego najstraszniejsze. Było tak dużo do powiedzenia. Nie było na to czasu. Ani potrzeby. Zmieszałoby to tylko Kyle'a w momencie, kiedy musiał się najbardziej skupić. I to Kyle w końcu przemówił, niepewny w obecności Johna Connora:

- Czy wiedział pan, że będę tym, który się zgłosi na ochotnika?

John przytaknął, zmuszając twarz do uśmiechu dla dodania żołnierzowi odwagi:

- Zawsze wiedziałem. Sara mi powiedziała.

Młody żołnierz zamarł ze zdumienia. Zaczynał zdawać sobie sprawę, dlaczego jego nazwisko zostało wybrane z listy bardziej doświadczonych ochotników. Dlaczego, kiedy po raz pierwszy powiedział Johnowi, jak się nazywa, ten zareagował tak dziwnie. Kyle był częścią historii, która jeszcze się nie wydarzyła, a którą John od dawna znał. To może dlatego przeniesiono go do oddziału Johna. Dlatego był tak blisko niego. I jednocześnie tak daleko. Kiedyś Kyle znalazł się obok dowódcy stojąc na czatach. Ten sięgnął, impulsywnie, jak się zdawało Kyle'owi, do swojego pokrytego krwią munduru polowego i podał mu wyblakłą, poskręcaną fotografię swojej matki. Potem bez słowa oddalił się na obchód oddziałów. Kyle pamiętał, jak wpatrywał się w mały, wyblakły obraz Sary Connor. Wielu mężczyzn nosiło jej portret jak relikwię przy sobie, ale były to marne kopie. Ta - była oryginałem. Był to dziwny gest ze strony dowódcy, który z wyjątkiem dekorowania nie wyróżniał nikogo. Od tego czasu John prawie nie odzywał się do niego, poza wydawaniem rozkazów. Wyglądało to tak, jakby chciał go przy sobie zatrzymać unikając jednocześnie. Po co? Tak musi być. Gwałtownie dumy i wzruszenie napłynęły falą.

John zapytał:

- Czy oni ci streścili?

- Tak, proszę pana. Wiem co robić, ale nie jestem pewien dlaczego.

John powiedział:

- Wiesz tyle, ile potrzeba, aby wykonać zadanie. Kyle zeszywniał:

- Yes, sir.

Wtedy John zrobił coś, co zaskoczyło Fuentesę swoją poufałością. Wyciągnął rękę, przyciągając Kyle'a w braterskim, mocnym uścisku. Kyle zmieszał się, John dodał:

- I tobie się uda. - Było to powiedziane z nieprawdopodobną, olbrzymią pewnością.

John zdawał się opanowywać i dalej mówił spokojniejszym tonem: - Zakładając, że nie odłożysz swej broni ani na chwilę.

- Nie odłożę, sir.

- Czy zapamiętałeś, co kazałem ci jej powiedzieć?

Z subtelnej zmiany w tonie głosu dowódcy Kyle zrozumiał, że było to bardzo osobiste i niezmiernie ważne. Wziął oddech i powiedział:

- Każde słowo, sir.

John zamknął oczy i odwrócił się. Kyle spostrzegł jednak głęboki wyraz smutku na twarzy dowódcy. To nie był wyraz twarzy, który miał zobaczyć. Zakłopotało go to, ale zbliżył się Winn i powiedział:

- Gotów, sierżancie?

Kyle skinął głową i został przeprowadzony przez kilka prowizorycznych barier, które przeniesiono do dwóch potężnych, pochromowanych pierścieni generatora podróży w czasie. Te dwa pierścienie, zawieszony jeden wewnątrz drugiego nad okrągłą dziurą w środku podłogi, swobodnie unosiły się w polu elektromagnetycznym.

Kyle z wahaniem wszedł na pierwszy pierścień. Nieznacznie zabalansował ciałem.

Potem ostrożnie przesunął się na wewnętrzny pierścień i, wstrzymując oddech, zajrzał do dziury. Poniżej leżała rozległa i przeraźliwa ciemność. Obejrzał się na Johna. Jego mesjasz czekał, aż wejdzie w tę czeluść.

John powiedział: *Czasami musisz zaufać maszynie.* Kyle zaufałby tylko jednej osobie - swojemu dowódcy. Dziewiętnastoletni wojownik nabrał tchu i wszedł w otwartą przestrzeń. Wszyscy zamarli.

Zdziwiony Kyle spojrzał w dół. Poruszał się w powietrzu unoszony przez niewidoczne



pole siłowe w środku pierścieni. Winn zwrócił się do techników i nakazał rozpoczęcie operacji przesunięcia w czasie. Kilku z nich wpisało dane do swoich przenośnych terminali.

Pierścienie zaczęły wirować powoli wokół siebie na różnych osiach, jak jakiś skomplikowany żyroskop. Natężenie pola siłowego wzrosło i ich dźwięki zaczęły się nakładać tworząc dziwną harmonię. Wszyscy cofnęli się kiedy podłoga otworzyła się, pękając jak ciasto rozchodzące się na boki. Pierścienie kręciły się coraz szybciej nad rozstępującą się podłogą. Następnie zeszły się zabierając Kyle'a ze sobą.

Jego oczy odszukały Johna i zatrzymały się na nim na chwilę. Jednocześnie opuszczał się w niewiarygodnie rozległą przestrzeń... Generator pola czasu.

John zbliżył się do brzegu i patrzył jak staje się małą figurką i znika. Pierścienie kręciły się teraz tak szybko, że nieomal zniknęły tworząc obręcz wirującej stali. Harmoniczne dźwięki podniosły się o kilka tonów, rycząc niezamierzoną melodię, która szarpała trzewia.

Małe iskry elektryczne zaczęły wyskakiwać ze ścian generatora. John pochylił się nad brzegiem pozornie zhipnotyzowany. Czujny Fuentes pochwycił go zanim, przesunawszy swój środek ciężkości, wpadł. Błyski wystrzeliwały z generatora i w postaci smug przelatywały nad głowami zgromadzonych w sali techników. Winn pochylił głowę wdychając silny zapach ozonu. Kondensowała się potężna porcja energii. Wszyscy skryli się za prowizoryczne zapory i gwałtownie naciągali okulary ochronne. To miało być potężne, a Kyle Reese był dokładnie w środku tego.

Sala poniżej stała się piekielnym centrum energii z młodym żołnierzem w środku.

Brzęczenie i trzaski generatora tworzyły ogłuszający grzmot. Serce Johna biło jak młot. Sala była wypełniona gorącym, białym światłem. Bez okularów ochronnych zostaliby oślepieni.

Kiedy oślepiające światło osłabło, zobaczyli puste pierścienie. Stopniowo zatrzymały się, dymiące i wypalone. Kyle rozplynał się w tej wiecznej podróży w czasie. Co dziwne, w

jego miejsce pojawiła się kula wypełniona

wirującymi odpadkami: zgniecionymi puszkami po piwie, wyblakłymi gazetami z 1984

r. i innymi śmieciami. Fuentes powoli opuścił swoje okulary:

- Madre di Dios!

Winn ostrożnie zbliżył się do brzegu i spojrział w dół. Iskry tryskały gasnąc

momentalnie. Odpadki przestały wirować.

- To działa - powiedział z podnieceniem Winn. - Przestrzeń z teraźniejszości została

zastąpiona przestrzenią z 1984 roku!

John odszedł zdejmując okulary. Jego oczy nadal przystosowywały się do braku

światła. Fuentes zapytał go:

- Co się stanie z sierżantem Reesem, sir? Mam na myśli, co się z nim stało!

Spojrzenie Johna zdawało się błędzić w innym czasie i miejscu.

- On wykona swoje zadanie i... umrze. Fuentes kiwnął głową:

- On jest dobrym żołnierzem.

- Oraz moim ojcem... - dodał uroczyście John z rozpaczą w oczach.

Fuentes otworzył oczy ze zdziwienia. Teraz wiedział, czego tu na dole tak bardzo

obawiał się John. I dlaczego nie był w stanie w pełni docenić ich zwycięstwa. Cena była zbyt

wysoka.

John, gwałtownie postarzały, odwrócił się od dymiącego pomieszczenia. Wsparł się na

ramieniu Fuentesesa. Ten zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi swego dowódcę tracącego

siły. Widział go już zmęczonego, samotnego, przestraszonego, ale nie takiego. Wydał po

hiszpańsku rozkaz zespołowi saperów:

- Szykujcie ładunki, wysadzimy to piekielne miejsce w powietrze!

John z trudem starał się odzyskać siły. Pokręcił przecząco głową:

- Jeszcze nie. Jest jeszcze coś, co musimy zrobić.

Zwrócił się do Winna:

- Jaki jest odczyt?

Winn popatrzył na miernik wielkości dłoni, kołyszący się przy pasie. Podniósł wzrok na Johna i ze zdziwieniem odrzekł:

- Dokładnie taki, jak przewidziałeś.

John wstrzymał oddech czując jak koła Przeznaczenia przetaczają się przez pokój.

Zebrawszy odwagę gwałtownie wyszedł z sali. Tuż za nim ruszył Winn. Fuentes, cały zmieszany, chwycił technika za ramię:

- Jaki odczyt? O czym wy mówicie?

Winn wskazał na miernik:

- To jest miernik sygnału wysyłanego przez pole przeniesienia w czasie.

Zarejestrowałem dwa inne, identyczne impulsy, kiedy się tu przebijaliśmy.

- Dwa?

Winn niecierpliwie szedł dalej. Fuentes do niego dołączył:

- O czym ty mówisz?

- Pierwszym musiał być Terminator przemieszczający się w rok 1984.

Fuentes był dalej zdziwiony:

- Tak?

Winn skierował się na korytarz i przyspieszył, żeby dogonić dowódcę. Fuentes dalej pytał:

- A kim był drugi?

- Prawdopodobnie kolejnym Terminatorem.

Kroki Johna odbijały się echem, kiedy szedł po twardej posadzce wzdłuż podziemnego

tunelu. Wraz z nim Fuentes i Winn. Przeszli obok wielu galerii pełnych ciężkich maszyn, teraz zimnych i nieruchomych; rozległa biblioteka technologii strategicznej, którą zaprojektował i wybudował Skynet. Nawet technicy Johna będą potrzebować lat na przestudiowanie wszystkiego. I kiedy rozszyfrują funkcję danej maszyny, John będzie musiał zdecydować, czy zniszczyć ją, czy też zaufać, że nowe społeczeństwo, powstałe z popiołu, będzie używać jej odpowiedzialnie. Nie miał żadnych informacji, które mogłyby mu w tym pomóc, żadne wspomnienia z przeszłości nie korespondowały z przyszłością. John nie miał pojęcia, co zdarzy się po dzisiejszym dniu. Ale kiedy podszedł do masywnych stalowych drzwi, wspomnienia z przeszłości napłynęły. John wiedział, że patrzy na Drzwi Przeznaczenia. Wiedział, że za nimi w końcu znajdzie odpowiedź na pytanie, które dręczyło go całe życie: “Czy to wszystko było naprawdę? Nawet to ostatnie?”

Winn zbliżył się i przyłączył sondę do pulpitu kontrolnego przy drzwiach. Podał sekwencję kodu, który uzyskali z wewnętrznego terminala uszkodzonego Myśliwego-Mordercy, po czym gwałtownie się odsunął. Bolce blokujące schowały się i drzwi z trzaskiem otworzyły się ze świstem wypełniającej się nagle próżni.

John wszedł kierując swoją latarkę bojową na koniec pomieszczenia i zapatrzył się. Fuentes i Winn podeszli do niego, dołączając swoje światła. Patrzyli na potężną prasę, która zajmowała pomieszczenie aż do sufitu. Jeszcze ciepłe rury zasilające wychodziły ze ścian i kierowały się do środka, tworząc pewien rodzaj piasty czy też łoża. Przeszli pod spodem, do miejsca, gdzie dwie dwudziestotonowe płyty spotykały się, i oświetlili wnętrze: mała przestrzeń, jakby matryca w kształcie człowieka. John wypatrzył coś błyszczącego w miejscu, gdzie był otworek prowadzący do szyi. Sięgnął po to końcem karabinu. Mała kropla, błyszcząca i wyglądająca jak rtęć, przesunęła się swobodnie na metal lufy i wydawała się zlewać, wtapiać weń znikając. John przyciągnął lufę bliżej, żeby wszyscy mogli skierować na

to latarki.

- Gdzie to poszło? - zapytał Fuentes.

Winn oglądał koniec karabinu Johna z miną człowieka, który ma zobaczyć Boga.

Zauważył małą grudkę może o dwa milimetry wyższą niż powierzchnia lufy, nieznacznie zwiększającą jej obwód:

- Jest dokładnie tutaj - powiedział.

- Gdzie?

- Wydaje mi się, że związało się z metalem lufy i ukryło niezauważalnie.

Zastanawiające...

Ostatni fragment niepewności w myślach Johna został rozstrzygnięty. Teraz był czas na ostatni ruch w tej partii szachów, którą chcąc nie chcąc grał ze Skynetem od piętnastu długich lat. Wiedział co się wydarzy, ale co do pewnych punktów nie miał pewności wyniku. Jak nóż, wycinający na drewnianym stole słowa NIE MA PRZEZNACZENIA, podzielił historię na tę, co się zdarzyła i na tę, co się zdarzyć mogła. Całe jego istnienie mogło być wymazane. Albo wszystko byłoby takie same. Albo ... co?

Po raz pierwszy odkąd był chłopcem, John nie miał gotowej odpowiedzi. Z rosnącym lękiem podał karabin Winnowi, wziął sondę i podszedł do ciężkich stalowych drzwi, pokrytych cienką warstwą topiącego się lodu. Wprowadził kod i czekał...

Lód rozprysnął się jak szkło, gdy drzwi z odbezpieczonym zamknięciem otworzyły się do środka. Fuentes wszedł przed niego z karabinem, gotowym do strzału. W obawie przed możliwym atakiem przeczesywał pomieszczenie. Oddychając wydychali kłęby pary. Byli w chłodni. Fuentes wzdrygnął się, gdy światło latarki padło na rząd nagich ciał umieszczonych na zwisających z sufitu półkach.

Setki kobiet i mężczyzn. W rzędach po dziesięć, W każdym rzędzie ciała całkowicie

identyczne.

- Terminatorzy - wyszeptał Fuentes z palcem niespokojnie zaciśniętym na spuście.

John szybko przeszedł wzdłuż rzędu syntetycznych ciał i zawahał się. Przebiegał wzrokiem twarze. Nie, nie tutaj. Popatrzył na drugi rząd. Nieznajome. I wtedy... Zatrzymał się przy kolejnym rzędzie. Był pełen identycznych, znajomych twarzy. Szerokie, brutalnie przystojne rysy wywołały wspomnienia.

To był on.

Dawno temu i daleko stąd, jeszcze przed Dniem Sądu, gdy świat był całkiem zdrowy i kolorowy. Oczy Johna płonęły z emocji. W pewnym sensie było to równie niedobre jak z Kyle'm.

Fuentes podszedł do niego, jego poważny głos przywołał Johna do rzeczywistości:

- Zamierzam wysadzić to wszystko. Wtedy zauważył wyraz twarzy Johna:

- Co to jest?

John stał obok najbliższego Terminatora. Oczy cyborga były zamknięte. Ale on nie spał. On czekał. John odwrócił się do Fuentesa i powiedział przenikliwym szeptem:

- Problem z podróżami w czasie jest taki, że się nie kończą... Nawet jeśli się skończą.

Podszedł do stojącego przy wejściu Winna. Fuentes zobaczył jak pokazuje na jednego z Terminatorów i wdaje się w kilkuminutową rozmowę na tematy techniczne, których on sam nie rozumiał. Przecież to nie miało sensu. Wszak wygrali.

Lecz, czy naprawdę?

# Zwiastun burzy

ACTON, CALIFORNIA

Teraz

3:14 rano

Dana Shore marzył o młodszej siostrze swojej żony.

Było to wyjątkowo niebezpieczne nie tylko ze względu na to, co mogłyby takie myśli spowodować, ale także dlatego, że właśnie kierował dużym kenworthem, ciągnikiem siodłowym z przyczepą, po niebezpiecznym zjeździe w gwałtownie gęstniejącej mgle. Drażnił się wyobrażając sobie jak wyglądają piersi Denis, kiedy nagle błysk czerwonych tylnych świateł samochodu pojawił się w osiadającej mgle. Dana rąbnął nogą w pedał. Hydrauliczne hamulce zapiszczały i zasyczały zamykając obwód. Ciężarówka błyskawicznie przetoczyła się po drodze, opony zdarły asfalt z niewiarygodną siłą potęgowaną przez trzydzieści osiem ton zamrożonego w chłodniach przecieru. Skręcając niezdarly samochód zdarł metal i skrzywił się, gdy ładunek zmienił mu kierunek jazdy.

Po nagłym zastrzyku adrenaliny Dana miał wyraźną wizję swojej ciężarówki robiącej salto niczym wściekły skorpion. Niosącą ze sobą z niewiarygodną siłą jego kabinę poprzez pobocze głównej drogi Numer 14 tylko po to, aby rozbić się na Skałach Vasqueza.

Ale tej nocy miał szczęście. Opony trafiły na suche miejsce i wóz zatrzymał się na dobre. Ciężarówka zadrżała i skręciła, ale nie wypadła z drogi, mijając w ostatniej chwili powolny samochód. Dana chwycił kurczowo kierownicę. Oddychał krótko i nieregularnie. Stwierdził, że ani chybi był to znak od Boga. Przestań myśleć o zdradzaniu swojej żony z jej osiemnastoletnią siostrą, bo inaczej...

Westchnął, kiedy zauważył wystający z mgły niczym latarnia morska znak wskazujący zjazd z autostrady do Sierra. Jego noga parę razy dotknęła delikatnie hamulca, zmuszając

olbrzyma do zwolnienia, a następnie zjechania na pobocze, na parking należący do The Corral. Przy zajeździe dla ciężarówek było zaledwie kilka wolnych miejsc. Nietypowa letnia mgła zmusiła nocne hordy kierowców z autostrady Antelope do szukania schronienia w starych i rozlatujących się domkach. Dana zatrzymał się swoim gratem wzdłuż podobnego trucka, po czym zeskoczył na dół, przemęczony, z obolałym tyłkiem. Zatrzasnął drzwi i powłókł się w kierunku jaskrawo oświetlonej baro-restauracji, rozpinając mokrą od potu koszulę.

*Jezu - pomyślał, rzucając okiem na ścianę mgły leżącą ponad autostradą - myślałby kto, że ochłodzi się trochę.*

Ale oddychać było coraz trudniej. Gęste powietrze wydawało się przybierać na wadze kiedy zmierzał do wejścia. Było duszno, jakby zaraz miało padać. W rzeczy samej, otwierając drzwi dostrzegł błysk światła odbity w szybie. Spojrzał w niebo. Mógł zobaczyć tylko mgłę zabarwioną na zielono i pomarańczowo od neonówki nad drzwiami. Wzruszył ramionami i wszedł do środka.

Gdyby został chwilę dłużej, i spojrzeł w kierunku swojej ciężarówki zamiast w niebo, zobaczyłby następny błysk, przesywający przestrzeń między jego gratem a tym obok.

Pomyślałby, że to ogniki św. Elma; i nie miałby racji.

Uliczne lampy zamigotały i na chwilę zgasły. Mgła zaczęła odpływać w kierunku ciężarówek, formując wirujące pole burzy między nimi. Dzikie błyski niebiesko-białej energii tańczyły wściekle w stalowym kanionie zbudowanym przez ciężarówki i ciągniki, trzeszczące w rytmie gnących się powłok. Trąba powietrzna zawirowała wciągając papiery i pety do maślanego powietrza. Niskie mruczenie wzrosło do szczytowego wycia, jak gdyby niewidzialne radio tranzystorowe zmieniało fale szukając stacji. A następnie znalazło ją. Tutaj.

Dziwne światło skreśliło się w wirującą sferę energii wystrzeloną na wskroś



ścierających się prądów. Lusterka boczne ciężarówek zgięły się w dół i rozleciały na kawałki.

Blask - jakby tysiące kamer wysiadło naraz. Potem napięcie wyładowało się w głośnym trzasku, niczym bomba wodna zrzucona z dużej wysokości. Światło szybko wygasło i chmura pary przeniosła się dalej, odsłaniając przedmiot stojący w miejscu, gdzie przed chwilą była pustka. Był to nagi mężczyzna.

Jego masywne ciało pokrywał biały popiół, który odpadł jak delikatna mąka kiedy wstał i przeciągnął swoje doskonale ukształtowane ciało. Jego włosy, obcięte krótko jak u szeregowych, dymiły. Jego twarz pozbawiona była emocji. Oczy miał kobaltowo-niebieskie, żywe lecz martwe, rejestrujące wszystko dookoła, lecz niczego nie zdradzające.

Ramiona były studium mocarnej symetrii - wściekły łuk bicepsów zwężających się z precyzją przy łokciu, a następnie rozprzestrzeniających z matematyczną równowagą w żyłaste przedramiona, które wpływały w niemal wdzięczne nadgarstki.

Człowiek prometejski. Wciągnął głęboko powietrze i wypiął klatkę piersiową wahajaco delektując się nim. Zanotował wysoką zawartość wilgoci bez żadnej ciekawości. Był to jedynie fakt bez znaczenia, tak długo, dopóki nie zostanie połączony z tuzinem innych, a wtedy wszystkie dadzą szybki przegląd miejsca i czasu. Za nim został wycięty z tylnego zderzaka ciężarówki płat, którego boki zostały dotknięte kulą przemieszczenia czasowego, ciągle żarzącą się od napięcia. Łuk ten ciągnął się do asfaltu tworząc okrągły krater pod jego nogami.

Mężczyzna stał w środku czegoś, co było kulą energii. Wystąpił spomiędzy ciężarówek aby przejrzeć parking i zatrzymał się obok trzech motocykli marki Harley-Davidson, wypolerowanych jak prosto ze sklepu. Stały obok wejścia oświetlonego neonówką, opierając się niepewnie na chromowanych stojakach wyciągając swoje ramiona niczym metalowe rzeźby psów z wyprostowanymi przednimi łapami. Przytłumiona muzyka z szafy grającej skończyła się z trzaskiem. Mężczyzna zajrzał przez okno. W środku byli ludzie, śmiali się, kłócili i głośno

zamawiali drinki i jedzenie.

Mężczyzna skręcił i skierował się do wejścia. Wiedział, że właściciela jednego z motocykli znajdzie wewnątrz.

Dana dopiero co usadowił się w spelunie. Miejsce wyglądało jak wizerunek piekła, ale przynajmniej żarcie było dobre. Obok niego siedzieli dwaj tędy kierowcy nad swoimi paprykarzami, spychając czapki na tył głów. Trzech facetów ubranych w obdarte wycieraki grało na automatach, puste puszki po piwie stały na krawędzi maszyny. Właścicielem kajpy był Lloyd, tłusty, starzejący się gbur w poplamionym fartuchu, który stał nadąsany za barem. W dalekim końcu sali trwała zaimprovizowana gra w karty pomiędzy gadającymi kierowcami, którzy chcieli przecześć mgłę.

Dana podniósł wzrok, gdy podeszła kelnerka. Natychmiast zlustrował jej rysy z zainteresowaniem. Za dużo makijażu. Może pięć stóp i trzy lub cztery cale. Przepuszczalnie dwadzieścia funtów nadwagi. Ale dźwigała je w większości z przodu i to całkiem nieźle.

Dana lubił to co widział. I to bardzo. I żuła gumę z tym sennym wyrazem twarzy, który wskazywał na to, że chyba oglądała za dużo kiczowatych seriali w telewizji. Łatwa zdobycz. Jego gatunek kobiety.

Gdyby jeszcze nie miał kobiety. Poczucie winy wzrastało i starał się opanować rosnące pożądanie myślą o swojej żonie. Carla była kobietą religijną, która brała przysięgę małżeńską bardzo poważnie. Zwłaszcza część o wierności. Gdyby odkryła, że ją zdradził, zabiłaby się. Ale był żonaty z Carlą od sześciu lat. Znał każde wgłębienie i wypełnienie na jej ciele, i - co gorsza - znał każdy gest i słowo, które wypowiadała w łóżku. Życie seksualne z Carlą stało się jak oglądanie powtórki "I love Lucy" po raz dwudziesty: wygodne i nudne. Ostatnio myśl o nowym "terenach" wprawiała go w obsesję na każdym kroku. Stał się boleśnie świadomy, że połowę rasy ludzkiej stanowią kobiety. Obce kobiety. Rozkosznie obce kobiety. Jak na

przykład ta kelnerka.

Na jej wizytówce było imię Claudia. Powitał ją, kiedy wręczyła mu wybrudzone menu.

Oddała mu uśmiech z lubieżnym mrugnięciem oka i potoczyła się z powrotem do kuchni. Dana zatrzymał wzrok na jej tyłku, który toczył się i falował, kołysząc kokardą fartucha jak kołyską.

Westchnął, pozwalając swej wyobraźni nasycić się tym obrazem. Jego świadomość potępiła początek spisku na miarę Machiavellego, który miałby ukryć wymarzoną zdradę przed Carlą, a jednocześnie jego dusza napawała się zmysłowym obrazem jego prywatnego filmu porno. Był tak pogrążony w owocach swej pracy, iż nie zauważył, jak otworzyły się drzwi wejściowe i wtoczył do środka goły facet.

Wszyscy inni ujrzeli, jak facet spokojnie przespacerował przez pomieszczenie, wzrokiem bez wyrazu omiatając klientów z pozornie niewielką ciekawością.

To, co widział “mężczyzna”, było cyfrowym zapisem sali, składającym się z czterdziestu tysięcy punktów, pokrytym alfa-numerycznymi danymi, które zmieniały się szybciej niż ludzkie oko by je zauważyło. Twarze gapiących się kierowców, zdumiona kelnerka, właściciel z szeroko otwartymi oczami, były elektronicznie podzielone na fragmenty i każdy sektor zanalizowany, aby zinterpretować ich stan emocjonalny i przewidzieć możliwe wrogie zachowanie.

Nikt się nie poruszał, z wyjątkiem jednego z motocyklistów. Robert Pantelli zjadał śmierdzące sprawy na śniadanie i wypluwał kłopoty na lunch. Większość rzeczy w życiu nie dziwiła go. Z wyjątkiem tego, na co patrzył teraz. Przestał się zaciągać swoim śmierdzącym cygarem, powoli opuścił je i ciemny uśmiech rozchylił jego wilgotne usta.

Nagi człowiek ujrział pulsujący elektroniczny zarys formujący się wokół ciała Roberta.

Tysiące szacunkowych pomiarów błyskawicznie pojawiało się i znikało w wewnętrznym ekranie radaru. Ubranie motocyklisty zostało natychmiast zanalizowane i skojarzone ze

współczesnym motocyklowym ekwipunkiem...

Dla Roberta trwało to tylko dwie sekundy. Pokazał swoje ohydne zęby, poza kilkoma brakującymi z przodu. Pod wpływem alkoholu jego mowa była niewyraźna:

- Ten facet wie, jak pokonać upały.

Dwaj kumple zaśmiali się nerwowo. Mężczyzna z pozoru nie reagował przez moment, potem powiedział pustym, neutralnym tonem, który nie wskazywał na żadną emocję:

- Potrzebuję twojego ubrania, twoich butów i twojego motocykla.

Robert zwęził oczy, potem zerknął na kumpli. Spoglądali na niego wyczekująco. Robert zdecydował się. Pokaże im, co potrafi. Zaciągnął się cygarem, rozżarzając końcówkę do czerwoności, po czym zwrócił się do obcego:

- Zapomniałeś powiedzieć: proszę.

Kumple Roberta zachichotali znowu, głośniejsze i z większą swobodą tym razem.

Wyczuli, że ten facet nie podejmie walki. Mimo swojego rzucającego się w oczy, potężnie rozwiniętego ciała, stał głupio w tym samym miejscu, z pustym spojrzeniem na gębie. Chyba urwał się z czubków, czy co.

Robert nie lubił czubków. Przypominali mu o jego kretyńskim ojcu. A poza tym chciał prowadzić dalej swą grę. Podniósł więc cygaro i wcisnął je w pierś przybysza. Delikatnie zaskwierczało, jak bekon smażący się na ruszcie. Potem - gęsta cisza...

Wytrąciła ona Dane z rozmarzenia. Spojrzał przed siebie i zauważył ze zdumieniem nagiętego klienta. W jego piersi dymiła jeszcze dziura. A mimo to nie okazywał żadnych oznak bólu. Dana prawie nie wierzył w to, co widział.

Nagle nagi człowiek wyciągnął rękę i chwycił miękkie ramię Roberta w mocarny, hydrauliczny blok. Motocyklista czuł, jak jego ciało gniecione jest przez niewiarygodnie silne palce niczym stalowymi obcęgi i wrzasnął z całych sił. Jeden z jego kumpli chwycił kij

bilardowy za cieńszy koniec, niczym wybijak do palanta. Cięższy koniec zaświstał i pękł na dwie części na potylicy przybysza.

Niesamowite, ale golas chyba tego nawet nie zauważył. Nie zwalniając Roberta z uchwytu, wystawił rękę do tyłu i chwycił Bilardowego Palanta za przód jego kurtki, a następnie wywalił masywnie zbudowanego motocyklistę przez najbliższe okno. Szkło posypało się, kiedy szybował na chodnik, padając ciężko jak wołowina z haka.

Następnie przybysz podniósł Roberta, dwieście trzydzieści funtów żywej wagi, nad barem i przerzucił przez okno w ścianie kuchni, gdzie ten wylądował na dużym, płaskim grillu. Para zasyczała, gdy gorący metal przeszył momentalnie jego skórę. Robert zawył, drgając i podskakując, dopóki nie stoczył się na podłogę; dymiąca masa.

Trzeci motocyklista wy dobył nóż o sześciocalowej klindze i zamachnął się mierząc w twarz olbrzyma. Ale obcy chwycił tnący metal nagą ręką i, trzymając za koniec ostry jak brzytwa, wyszarpnął z ręki napastnika. Podrzucił go w powietrzu i błyskawicznie pochwycił za rękojeść. Niczym wiatrak zwałił motocyklistę na bar, twarzą w dół, i przyszpilił mu ramię do kontuaru jego własną stalą.

Dana zamrugał trzy razy i było po wszystkim.

Tak jak inni klienci był tak zdumiony, że po prostu siedział na miejscu, patrząc jak nagi człowiek przeszedł na drugą stronę baru, odepchnął Lloyda i wszedł do kuchni. Nie chodzi o to, że wydarzyło się to tak szybko. Ani o to, że przestępca był najwidoczniej o wiele groźniejszy niż trzej niebezpieczni faceci. Ale o to, że nie było żadnego racjonalnego motywu, żadnego dopuszczalnego wyjaśnienia, co znaczyło, że pewnikiem jest szaleńcem. A wiadomo, że z kimś tak szalonym, tak gwałtownym, nie powinno się pieprzyć.

Meksykański kucharz myślał mniej więcej podobnie, kiedy odsunął się od obcego, który podszedł do Roberta, leżącego na podłodze i przeklinającego z bólu. Warcząc niczym

zranione zwierzę, usiłował wydobyć swego wojskowego kolta '45, wciśniętego pod zwęgloną skórzaną kurtkę. Ale popalone palce nie mogły nacisnąć na spustu. Ramię obcego wyskoczyło naprzód i chwyciło pistolet jak ktoś polujący na muchy.

Przerażenie ogarnęło Roberta, kiedy ujrzał, jak mężczyzna podnosi broń. Jednak zamiast wycelować w niego, nagi człowiek pieczołowicie sprawdził pistolet. Przez elektronicznie długi moment analizował jego kaliber i stan techniczny. Pomysł, aby wymierzyć spluwę w motocyklistę dla odmiany, nigdy nie wpadł mu do głowy. Cel był chwilowo unieszkodliwiony. Strzelanie do niego byłoby niekoniecznym użyciem siły. Jedynym celem mężczyzny było to, czego żądał na początku. Zwrócił swoje oczy bez wyrazu na Roberta.

Motocyklista zatrzęsł się, jego komórki mózgowy pracowały panicznie szukając rozwiązania. Dalsza walka nie wchodziła w grę. Nie miał już więcej narzędzi pracy.

Zwariowany nudysta łatwo zabrał mu nawet spluwę. Robert nie miał żadnego wyboru. Powoli włożył rękę do kieszeni, krzywiąc się z bólu, który powodowała puchnąca ręka, i wyciągnął kluczyki od motocykla. Puścił je po podłodze do stóp czubka. Potem, stękając z bólu spowodowanego pękniętym zębem, zaczął ściągać swoją kurtkę.

Dana przemykał się chyłkiem do drzwi, kiedy obcy wyszedł z kuchni, odziany teraz w czarną skórę, skórzane spodnie do jazdy i ciężkie podkute buty. Pewnym krokiem podszedł do tłumu zebranego wokół jęczącego motocyklisty, ciągle przygwożdżonego do blatu stołu.

Rozstąpili się pospiesznie niczym Morze Czerwone. Bez zwolnienia kroku wyszarpnął nóż.

Krwawiący mężczyzna o szalonych oczach zwałił się na podłogę. Kiedy obcy szedł do drzwi, nikt nie ośmielił się stanąć na jego drodze. Kiedy przeszedł, Dana, trzęsąc się ze strachu, wybąkał:

- ..... branoc...

Mężczyzna obrócił się - nie, raczej okręcił swoją głowę. Jego martwe oczy skupiły się

na Danie na mikrosekundę, która trwała całe życie. Potem stanął przed drzwiami i przepchnął się przez nie, pozwalając się im zatrzasnąć.

Dana zatrząsł się i wytarł swoje wilgotne czoło odwróconą dłonią:

- Chryste, to było blisko.

Zbliżył się do okna na niepewnych nogach. Inni dołączyli do niego cicho, obserwując w przerażeniu obcego, który przeszedł parking do stojących harley'ów. Z wyjątkiem Lloyda, który zerknął na zewnątrz, a potem w dół, na zranionego motocyklistę na podłodze. Rosnąca kałuża krwi wsiąkała w dywan. Lloyd zrzucił swój fartuch i pobiegł za bar sięgając po coś do schowanej szafki.

Na zewnątrz obcy podszedł do trzech motorów. Zatykając czterdziestkę piątkę za pasek, włożył kluczyki do pierwszego. Nie pasowały. Bez wahania zwrócił się do następnego.

Kluczyk wszedł. Przerzucił więc jedną nogę przez masywnego harley'a 1380 (nazywanego "Tłuscioszkiem") ze standardowym siodełkiem i pomalowanego na ciemnowiśniowy kolor.

Każdy normalny, znający się na rzeczy motocyklista chętnie zapłaciłby niezłą sumkę za taki motor jak ten. Przybysz znał się na rzeczy aż do przesady - był w stanie przypomnieć sobie szczegóły o każdej części składowej motoru. Ale nie był normalnym mężczyzną. Wybrał ten rodzaj pojazdu ze względu na jego niezawodność, zwrotność i szybkość - wszystko ważne przy misji, którą miał właśnie rozpocząć.

Wpuścił sztylet do buta i kopnął raz, z mocą. Motor zapalił od razu, z gardłowym terkotem, który zatrząsł jego metalową karoserią. Obcy rozejrzał się dookoła, penetrując szybko gęstniejącą mgłę i wcisnął bieg z hałasem.

Zanim zdążył puścić sprzęgło, Lloyd pojawił się w drzwiach z obciętą dubeltówką marki Winchester. Wystrzelił w powietrze. Załadował i zmierzył w plecy obcego.

- Nie możesz zabrać motoraka tamtego gościa, synu! A teraz zjeżdżaj albo rozwalę cię na

miejscu!

Mężczyzna obrócił się i zimnym wzrokiem zmierzył Lloyda. Sekundę później zmienił bieg na jałowy. Opuścił motor na podpórkę. Przerzucił nogę przez siedzenie i podszedł spokojnie do właściciela. Lloyd nie cofnął się, wciekłość i strach walczyły w nim o lepsze, kiedy mężczyzna podszedł prosto do niego, patrząc dokładnie w lufę strzelby. Lloyd starł pot z oczu, starając się zdecydować, czy zabije z zimną krwią człowieka o kawałek złomu, który nawet nie należy do niego. Oczywiście nie mógł dopuścić, aby ten facet nie miał zapłacić za terroryzowanie jego klientów i kradzież ich własności. To miejsce było jego własnością. I potrzebował lojalności każdego, kto wkroczył w te drzwi. Z drugiej jednak strony...

Ręka obcego wystrzeliła niczym atakująca kobra i nagle trzymała strzelbę. Jeden gładki, płynny ruch i lufa była teraz o cale od twarzy Lloyda.

Lloyd gapił się z rozdziawioną gębą. Właśnie zaczynał myśleć jakie się ma uczucie, kiedy czyjaś głowa jest rozwalona z krótkiego dystansu przez obrzyn, gdy mężczyzna, trzymając spluwę w jednej ręce, wyciągnął drugą z wyprostowanymi palcami...

- O, cholera...

Ale obcy wyciągnął tylko parę okularów przeciwsłonecznych z kieszeni koszuli

Lloyda, założył je na nos, obrócił się gwałtownie i wrócił do harleya. Przerzucił karabin przez kierownicę, sprzęgło i kable hamulcowe, i odjechał w grzmocie i deszczu żwiru.

Lloyd oparł się o framugę drzwi, szczęśliwy, że pozostał przy życiu.

Dana patrzył jak motocykl znikał we mgle i zauważył, że dwukrotnie tej nocy był bliski śmierci. To musiał być znak. Przysiągł sobie solennie, że nigdy w życiu nie będzie więcej marzyć o cudzołóstwie.

Carla była tylko pierwszą z wielu niewinnych istot których życie zostanie niespodziewanie i na zawsze zmienione przez przyjście drugiego Terminatora.



Terminator przewalił się z grzmiotem autostradą kierując na zachód, na autostradę Nr 5 wiodącą w kierunku Los Angeles. Zimne zielono-białe światła ponad głową sporadycznie odbijały się w chromie pędzącego motocykla i rozpraszały nad okularami przeciwsłonecznymi cyborga niczym świetlne tory wyścigowe.

# Policjant Austin

LOS ANGELES, CALIFORNIA

4:58 nad ranem

W głębokich cieniach pod Mostem na Szóstej Ulicy, pomiędzy twórczym rozgardiaszem graffiti, ktoś starannie wysikał sprayem, małymi, precyzyjnymi literami: HISTORIA UMARŁA. Był to niezwykle przykład jasnowidztwa, zważywszy co się zaczynało dzieć wokół. Słowa były wysikane w kilku innych miejscach dookoła miasta. Najwięcej we wschodniej części LA, obok stadionu Dodger i na ścianie przy Obserwatorium Griffitha na szczycie Wzgórz Hollywoodzkich.

Nikt nie zauważył.

L.A. było po brzegi pełne proroków, którzy przewidywali różne scenariusze masowej destrukcji, z przyczyn naturalnych i spowodowanych przez człowieka. Byli oni częścią krajobrazu, wraz ze smogiem i drzewami palmowymi. Ale ktokolwiek namalował te słowa w mieście - wiedział. Może nie wiedzieli, że wiedzieli, ale... Oni wiedzieli.

Policjant Joe "Szczęściarz" Austin, jeżdżący pod Mostem z szybkością 10 mil na godzinę i patrolujący pustą ulicę, na pewno ani nie zauważył, ani nie wiedział, ani go to obchodziło. Jego uwaga była skupiona na ruchomych cieniach wywołanych przez światła jego wozu, które przenikały przez rdzewiejące płoty przed udekorowanym graffiti budynkiem. W tym sektorze nie cierpiał pracy samotnej. Ale jego partner zatrał się jedzeniem w czasie odprawy i nie było czasu, aby znaleźć zastępstwo. Ostatnio nasiliła się działalność gangu Biały Blok. Trzynastolatka i jej czteroletni brat zostali zranieni w najeździe wczoraj rano i wszyscy poszukiwali kilku znanych podejrzanych. Oczywiście byli oni lepiej uzbrojeni niż policja i nie palili się do poddania. Austin więc wcale nie był tej nocy w nastroju do psychologizowania. Robił w gacie ze strachu.

Nie mógł jednak odgadnąć, że bał się niewłaściwej rzeczy. Tym razem nie miał to być naćpany maminsynek dzierzący MAC-10, z którym mógłby stanąć twarzą w twarz. Tego ranka miał natknąć się na coś, co nie zostało zrodzone z kobiety. Na coś, co zrodzi się w burzy światła walcząc o byt i zostanie wyrzucone przez konwulsję dwóch sfer czasowych, które zamieniły się miejscami w ciągłości.

Błysk niebiesko-białego światła rozlał się między budynkami o sto jardów z przodu. Austin przyspieszył. Ale i tak przybędzie za późno, aby ujrzeć perłową kulę światła unoszącą się kilka stóp nad ziemią. Pasma energii wirowały tuż przy powierzchni gruntu, wstrząsając ścianami otaczających budynków jak gdyby były one pijakami, którzy chcą stać prosto i bez chwień. Luźne śmieci i papierosy, zostały uniesione wirem w górę, płasząc jak dwuwymiarowe duchy, pojawiające się i znikające w pulsujących świetlnych blaskach. Drabina schodów przeciwpożarowych oraz podest żarzyły się przytłumioną czerwienią wchłonawszy szybko ciepło wydzielane przez świetlną burzę. Ton chrapliwego dźwięku wzrósł gwałtownie. A potem jaskrawa światłość. Austin zaklął i nacisnął gwałtownie hamulec, dokładnie przed polem elektromagnetycznego zniszczenia. Gdyby wjechał swoim samochodem kilka stóp dalej, światła czołowe rozsypałyby się na kawałki, a motor zgasł. Ale gliniarz był zamroczony dziwnymi światłami tańczącymi na ścianach dookoła niego. Szybko wygasły. Kiedy zaczął gramolić się z samochodu, było spokojnie, z wyjątkiem dalekiego wycia bezdomnego psa. Odetchnął głęboko. Ozon.

Serce waliło Austinowi w piersi. Czuł się jak po przebiegnięciu mili. Do diabła, za nic w świecie nie miał ochoty wyjść na tę ścieżkę w pojedynkę. Z drugiej strony miał na sobie mundur. Był wykwalifikowanym zawodowcem. I był uzbrojony w automatyczną 9-milimetrową berettę z piętnastoma nabojami w magazynku. A jeśli to było tylko zwarcie gdzieś w transformatorze? Mogłoby spowodować pożar. Austin westchnął i przeklinając ruszył

ostrożnie w kierunku cienia pomiędzy budynkami.

Rozejrzał się dookoła, szukając jakichś zarysów w ciemności - bez sukcesu. Nie było tutaj żadnych latarni. Albo zostały porozbijane, albo wygaszone przez... przez to, co się zdarzyło przed chwilą. Szerokie, betonowe łuki Mostu na Szóstej Ulicy wylaniały się z ciemności nad głową. Był teraz pod nim i zmierzał w kierunku ślepego końca zamkniętego przez druciany płot. Dalej były już tylko tory kolejowe, a jeszcze dalej - betonowe kanały LA. River.

Jakaś dziwna była ta siatka. Policjant zmarszczył czoło kiedy światło latarki padło na wykrojoną w niej doskonale symetryczną dziurę. Podszedł jeszcze bliżej i zauważył, że końce ciągle dymią, czerwone od żaru. Instynktownie, wolną ręką rozpiął kaburę i dotknął broni. Opuścił wzrok. Po drugiej stronie siatki zobaczył gładko wycięty sferyczny krater. Wyglądało to tak, jakby ktoś łyżką wybrał kawałek asfaltu. Austin usiłował pohamować pragnienie ucieczki. Szkoda, że mu się to udało, może żyłby dłużej.

Ktoś wysliznął się z ciemności za biurowcem. Dziwna, rozmazana, jakby jaśniejąca plama wpadła Austinowi w oko. Odwrócił się czując czyjąś obecność. Zabłyśło nagle. Jakby ktoś wyciął jeden z jego strumieni świadomości. Jego pamięć zatrzymała się na moment i zdał sobie mgliście sprawę z tego, że spłaszczyła mu się twarz. Tępy ból promieniował z lewej strony twarzy - złamał kość policzkową padając na zimny bruk. Jego munduru dotykały czyjeś ręce. Coś wilgotnego płynęło mu z nosa. Nic nie było tak jak trzeba. Czuł miazdzący ból w szyi, jakby obracała się dookoła własnej osi. Kiedy świadomość zaczęła go opuszczać, zdziwił się leniwie, dlaczego członek Białego Bloku chciałby mieć jego mundur. Jakikolwiek były to przyczyny, nie mogły być uczciwe. Ale to nie było już jego zmartwieniem. On miał inne rzeczy do zrobienia...

Na przykład umrzeć.

Na alejkę zawędrował kot i spojrzał w jej daleki koniec. Zobaczył nagiego mężczyznę dotykającego munduru leżącego przed nim policjanta. Koci mózdzek nie był w stanie pojąć, co się działo, ale kocie oczy wszystko zarejestrowały. Ciało nagiego mężczyzny zaczęło się zmieniać. Srebrna odznaka pokazała się na piersi. Przerażony kot rzucił się do ucieczki. Kilka minut później napastnik podszedł do samochodu policyjnego, mając na sobie mundur Austina i jego odznakę. Wśliznął się za kierownicę czarno-białego wozu. Skontrolował wnętrze patrolówki, kontrolki i instrumenty. Były mu dobrze znane, zakodowane głęboko w pamięci, nawet jeśli osobiście nigdy ich przedtem nie widział. Po stronie pasażera znajdował się ciemny monitor komputera Electro-Com MDT-870, podłączonego do sieci policyjnej. Chwilę się zastanawiał. Widział to pierwszy raz, ale pamiętał każdy milimetr obwodów ogólnego modelu. Wyciągnął rękę i nacisnął klawisz. Na ekranie ukazała się informacja. Zadowolony mężczyzna włączył stacyjkę, potem spojrzał w lusterko wsteczne. Była to przystojna twarz, z silnymi rysami, zwieńczona ciemnymi, krótko obciętymi włosami. Jego pewne siebie szaro-niebieskie oczy zwęziły się w skupieniu. “Nowy” policjant Austin, odznaka policyjna nr 473, dodał gazu i rozplynął się w nocy. Było to w zasadzie w porządku, że przybrał tę szczególną osobowość. W sumie był tutaj po to, aby chronić i służyć.

## **Przywódcą**

RESEDA, CALIFORNIA

sobota - 10:58 rano

Przebój zespołu The Ramones *Chcę być uwiedziona* buchnął z kolumny głośnika stojącego w otwartym garażu w nieco zaniedbanej okolicy. Trawniki przed domami były właśnie podlewane. Dzieci jeździły na rowerach po skomplikowanych trasach, przeciskając się między ludźmi myjącymi swoje samochody na podjazdach pokrytych mydlinami. Niebo było lekko niebieskie, delikatny wiatr wiejący od przełęczy przeganiał smog z powrotem do San

Bernardino. Wewnątrz garażu John Connor, nieuważnie słuchając zniekształconej muzyki, fachowo regulował gaźnik w swoim zabrudzonym motorze honda 125. Jego długie włosy okalały ponurą twarz. Usta i oczy zdradzały zaskakującą, jak na dziesięciolatka, inteligencję. Ubrany w wyciętą koszulkę Wroga Publicznego i pobrudzone, artystycznie porwane levisy, z pewnej odległości nie różnił się od Tima, swojego przyjaciela stojącego obok, leniwie podrzucającego śrubokręt w górę i łapiącego go jedną ręką. Gdybyśmy jednak podeszli bliżej, zobaczylibyśmy w oczach Johna wiedzę i wspomnienia zbyt skomplikowane i zbyt surowe jak na takiego młodego człowieka.

Trzydziestojednoletnia kobieta ukazała się w drzwiach wejściowych do garażu. Janelle Voight zawsze była sprytna. Nigdy nie miała problemów z umawianiem się na randki, kiedy była w starszych klasach szkoły średniej. Ale nigdy też nie była uważana za szczególnie bystrą. Szare i monotonne życie codzienne przynosiło rozczarowania i jej naturalna odporność została zniszczona przez przykre przekonanie, że życie wcale nie ma zamiaru być lepsze niż zawsze było. Nie miała pojęcia dlaczego tak miało być i to ją martwiło. Janelle stawiała się w miarę upływu czasu coraz bardziej drażliwa. W międzyczasie jej spryt roztopił się, pozostawiając stały, okrutny wyraz ust i tępotę spojrzenia, która przypominała Johnowi krowę pasącą się na zboczu wzgórza.

Jedno z jej rozczarowań dotyczyło bezpłodności. To właśnie dlatego zapisała się do programu rodzin zastępczych. Teraz była opiekunką Johna.

Z początku John Connor wydawał się wystawionym na ciosy, nieśmiałym dzieckiem rozpaczliwie szukającym podstawowych uczuć. Jeżeli to była prawda, to był on także uduchowiony, nastrojowy, i samodzielny aż do przesady.

Podczas ostatnich kilku miesięcy cierpliwość Janelle już się wyczerpała. Ten dzień był przełomowy. Problem polegał na tym, że jakkolwiek bardzo pragnęła dziecka, była źle

przygotowana do wychowywania. I oczywiście nie miała pojęcia o tym, kim ten wzrastający obok niej chłopiec był, czy też będzie: przywódcą ogromnej, wielonarodowej armii obejmującej ludzi w większości takich jak ona. Ale to będzie w Dalekiej Przyszłości.

Musiała przekrzyczeć muzykę:

- Chodź tutaj i posprzątaj ten swój bałagan!

Tim usłyszał, lecz John zachowywał się tak, jakby to do niego nie dotarło.

- John! - wrzasnęła Janelle używając całej siły swojego głosu, ostrego,

wyposażonego we wszystkie niewypowiedziane groźby, które tylko dorośli znają.

Ale odpowiedzią Johna było podkręcenie głośności na wzmacniaczu. Tim ukrył w dłoni szyderczy uśmiech.

- Wiem, że mnie słyszysz! Wyłącz tę muzykę i chodź tutaj!

Ale John odpalił tłumik silnika. Janelle zauważyła wyraz twarzy Tima i zwięzła oczy:

- A ty z czego się śmiejesz?

Tim pochylił się bliżej do Johna, chowając za bakiem motoru. Janelle ze złością

poddała się i odchodząc trzasnęła frontowymi drzwiami. Tim upewnił się, że na pewno odeszła i powiedział:

- Ona musi być dzisiaj wkurzona.

John nie zareagował, tak jak gdyby ta sprawa go w tej chwili nie interesowała. Odłożył ją do późniejszego rozpatrzenia.

- Daj mi ten śrubokręt - to było wszystko co powiedział.

Tim podał mu go instynktownie. Pomimo że był dwa lata starszy od Johna,

podporządkowywał się mu. John miał w swoich oczach, w tonie głosu, coś takiego co, poza znajomością rzeczy, czyniło go naturalnym przywódcą, bez względu na to jak by się ktoś temu opierał.

Janelle wtargnęła do pokoju. Todd Voight, jej mąż, rozwalił się na tapczanie spokojnie oglądając mecz baseballa w TV. Jego blada, szczupła twarz była nabrzmiąta od snu, a włosy rozczochrane. Wyglądał na zmęczonego całym światem i pokonanego. Nawet nie było jeszcze południa. Tak bardzo pragnął spokoju, żeby móc przetrwać śniadanie. Ale ta krucha nadzieja wyparowała.

- Przysięgam, że mam dosyć tego cholernego dzieciaka. On mi nawet nie odpowiada!

Todd nie mógł tak do końca winić Johna, bo przede wszystkim to on jej nie odpowiadał.

Janelle miała denerwujący nawyk pakowania się w czyjeś sprawy i ogłaszania swoich frustracji tak, jakby ktoś jedynie czekał z zapartym tchem na jej najnowsze skargi. *Jezu!*, pomyślał z oczami nadal wlepionymi w telewizor.

- Todd? Czy zamierzasz siedzieć na dupie, czy też jednak coś zrobić?

Todd powstrzymał się od odpowiedzi tak długo, jak tylko mógł i, zanim zdążyła się bardziej zezłościć, powiedział z westchnieniem w głosie:

- Czego od niego chcesz?

- On nie posprzątał swojego pokoju od miesiąca !

- No tak, to jest wypadek nagły - zamruczał. Rozejrzał się po zabałaganionym saloniku i dodał przez zęby: - Szczególnie tutaj.

Na szczęście Janelle nie usłyszała tego ostatniego. Trzymała ręce na biodrach. Kiedyś uwielbiał całować te biodra. *Radość szybko wyciekła z tego małżeństwa* - pomyślał. A kiedy John wszedł w ich życie, jedność ich małżeństwa stawała się coraz bardziej iluzoryczna. Odrzucił pilota od telewizora i skierował się do garażu.

John usłyszał, jak drzwi się zamykają. Szybko skończył dokręcanie śruby i rzucił śrubokręt do otwartej skrzynki z narzędziami. Todd wszedł akurat w momencie, kiedy John kopniakiem przesunął skrzynkę po brudnej betonowej posadzce.



- Popatrz na ten olej! Mówiłem ci, żebyś nie pracował nad tym tutaj.

- Bierz moją torbę - warknął John do Tima.

Chłopiec wśliznął się na motor za Johnem chwytając nylonową torbę. John doprowadził silnik do wysokich obrotów. Poprzez mechaniczny łomot Todd wrzasnął z wściekłością:

- John, zabieraj swoją dupę i zrób, co ci matka każe!

John przyspilił Todda wyzywającą odzywką:

- Ona nie jest moją matką, Todd!

Zwolnił sprzęgło i wystrzelił z garażu nieomal gubiąc siedzącego z tyłu Tima. Todd podskoczył, kiedy przejechali obok niego kierując się w dół podjazdu.

- Trzymaj się z dala od ulicy, dopóki nie dostaniesz prawa jazdy! - wykrzyknął, kiedy odjeżdżali coraz szybciej, zmuszając kilku swoich kolegów do ucieczki z drogi.

Stojąc tam Todd poczuł się jak idiota. Ten mały kutas uwielbiał go upokarzać wobec swoich przyjaciół. Ale w pewnym sensie poczuł ulgę. John odjechał i przyszła konfrontacja została odłożona do czasu, kiedy wróci późno w nocy. Do tego momentu Todd mógł oglądać telewizję. I może trochę się zdrzemnąć. Jeżeli tylko Janelle zasznurowe swoją buzię.

John czuł się na motorze tak, jakby się na nim urodził. Łagodnie pochylał się wchodząc w zakręty, przygotowany na to; że dziecko lub samochód mogą nagle wejść w zasięg jego wzroku, jednakże chętnie podejmował to ryzyko tylko dla zwyczajnej radości. Przejechał przez ciche uliczki i skręcił przez pusty teren na drogę, która biegła obok ogrodzonego kanału powodziowego. Przedostając się przez dziurę w płocie dodał gazu. Tim odruchowo podciągnął nogi, kiedy przejechali koło brzegu. Tylko John robił to w ten sposób. Tim z determinacją nie pokazywał jak się boi. Nie mógł jednak powstrzymać rozbieganych oczu, kiedy John z rykiem pędził betonowym nabrzeżem, tak jakby nigdy nie mieli się zatrzymać. Jechali zakosami wzdłuż drogi, której John używał jako prywatnej, aby uniknąć kontroli policji. Omijając o cale

pionowe betonowe ściany o wysokości 13 stóp, rozchlapując skażone olejem kałuże. Tim podskakiwał. Udawał, że nie dostrzega tych igraszek z życiem. Klepnął Johna po plecach:

- Dobry ruch, stary!

Wpadli w małą kałużę. Pośliznęli się lekko, ale John, niedbale odbijając się nogami od podłoża, natychmiast wyprostował motorower. Tim opanował przerażenie i próbował się zaśmiać, ale zabrzmiało to nieszczerze. Aby zatuszować to wrażenie, zapytał nagle:

- Hej, ty, a tak w ogóle, to gdzie jest twoja mama?

Kiedy John nie odpowiadał, wpadając w jeden z tych swoich ponurych nastrojów, Tim, odrobinę zirytowany, nacisnął:

- No, ona nie żyje, czy co?

- Tak jakby - odpowiedział John tak cicho, że Tim nie był pewien, czy w ogóle coś mówił. Czasami dzieci potrafią się bardzo zawziąć. Wtedy nic nie może ich przełamać. Tim miał zamiar kontynuować, ale John nagle przycisnął gaz do dechy. Gwałtownie ruszyli dalej. Tim zamknął się, dał sobie spokój.

# Pacjent nr 82

TRZY MILE ZA CHINO, CALIFORNIA

10:59 rano

Nie można było go zauważyć z głównej drogi. Trudno było go dostrzec nawet jadąc wzdłuż ulicy pomiędzy osiedlami małych bloków - reprezentacyjnej ulicy Szczęśliwego Osiedla. Trzeba by uporczywie szukać, żeby dojść do wąskiej, ubitej drogi, która kręciła się wokół kopulastego wzgórza usianego rosochatymi dębami. Za wzgórzem można było się w końcu natknąć na znak z napisem:

PESADERO - SZPITAL STANOWY DLA KRYMINALISTÓW

Był on przyśrubowany do drucianej siatki zwieńczonej drutem pod napięciem.

Uzbrojony strażnik siedział w stróżówce po drugiej stronie ciężkiej, masywnej bramy. Dalej ciągnęło się dwanaście dużych budynków. Wszystkie okna były zakratowane. Prywatne wozy patrolowe kontrolowały teren. Miejsce to wyglądało tak przytulnie, jak kwatery główne KGB. W środku było jeszcze gorzej. Chirurgicznie czyste więzienie dla umysłu. Aseptycznie białe ściany. Sanitariusze w białych lnianych fartuchach popychali pacjentki wzdłuż przygnębiająco nieudekorowanych korytarzy; jedyne ćwiczenie jakie miały, to Aleja Wózków. Tak się nazywała.

W odległym końcu korytarza, na lewo, znajdował się niedostępny, mniejszy korytarz z drzwiami elektronicznymi po obu końcach. Drzwi były solidne, przeciwpożarowe. Dwaj masywni sanitariusze siedzieli przed nimi, rozmawiając leniwie i zerkając na ścianę monitorów video na konsolcie naprzeciwko. Dzięki nim mogli zobaczyć, co dzieje się po drugiej stronie drzwi.

Skrzydło z izolatkami.

To tutaj trzymeni byli, stale pod kluczem, najbardziej nieobliczalni pacjenci o

skłonnościach zabójczych. Byli zbyt niebezpieczni, aby mogli przebywać ze sobą, więc każdy pacjent miał swoją własną szarą izolatkę. Było to tak przytłaczające, i zimne, jak karcer w każdym stanowym więzieniu. A jedzenie było równie złe.

Dr Peter Silberman wiódł grupę gorliwych młodych lekarzy korytarzem przed celami.

Podążało za nimi trzech obojętnych sanitariuszy, krzepkich, wyglądających jakby dopiero co opuścili drużynę rugby. Silberman kuśtykał lekko. Przy każdym kroku bandaż na jego kolanie ocierał napuchniętą i czułą skórę. Usiłował zapanować nad bólem koncentrując się na swoim zadaniu. Nie było to zbyt trudne. Czuł się jak u siebie w domu nawijając na temat w którym był ekspertem. Trudno w takiej sytuacji nie ulec pokusie, aby nie puszyć się swoim wyższym intelektem przed tymi żółtodziobami. Z reguły mu się to udawało. Jednak nie tym razem.

- W następnej sali - mówił niskim, monotonnym głosem, odpowiednim dla radiowego psychologa - mieszka pacjentka numer osiemdziesiąt dwa, dwudziestodwunastoletnia kobieta, u której stwierdzono zaburzenia schizoafektywne. Wykazuje zwykłe objawy... depresja, niepokój, gwałtowne zachowanie, mania prześladowcza.

Większość praktykantów śledziła każde jego słowo. Silberman opublikował precyzyjne i suche artykuły na temat różnych zaburzeń samoświadomości, które zyskały mu pewną sławę w jego dziedzinie. Może nie największą, ale znany był jak solidny specjalista w trudniejszych przypadkach, nawet jeśli ilość wyleczeń nie była za duża. Ci, którzy znali się bardziej na rzeczy, wiedzieli, że Silberman nie mówił z dużym polotem. Ale nie był głupi. Od lat był doradcą w Departamencie Policji Los Angeles i przeprowadził złożone badania wielu skrajnych psychopatów, wliczając w to kilku kryminalistów, którzy ostatnio popełnili mordy grupowe. Największą jego wadą było to, że był za sprytny, gdy chodziło o jego sprawy.

- To właśnie tutaj.

Zatrzymał się przy drzwiach celi. Były dźwiękoszczelne, komunikacja była możliwa

tylko przez zakratowany głośnik umieszczony ponad okienkiem z pleksiglasu. Drzwi wydawały się być z pogranicza średniowiecza i wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej.

Zajrzał do środka.

Światło słoneczne prześwitywało przez ponure okno, tworząc wzór na nagich, przepisowych ścianach. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli z wyjątkiem ubikacji i umywalki z nierdzewnej stali oraz wypolerowanego, metalowego lustra.

To ostatnie było powyginane.

Z łóżka zrzucono materace i ustawiono je pionowo, opierając o ścianę. Nogi sterczały na zewnątrz. Spocone dłonie trzymały jedną nogę, ścięgna napinały się i rozluźniały, kiedy mieszkanka podciągała się powoli. Zdmuchnęła z oczu o kształcie migdału i odcieniu mahoniu długie, potargane, spocone włosy. Młoda kobieta miała na sobie podkoszulkę i szpitalne spodnie. Zwisające z górnej części postawionego pionowo łóżka giętkie ciało było twarde i proste niczym stalowa linijka. Kolana miała podkurczone, więc stopy nie dotykały podłogi. Muskularne, gładkie ramiona zginały się i prostowały, zginały i prostowały, Żadnej zmiany rytmu. Jak maszyna.

- Ustąpił, aby inni też mogli zajrzeć i zobaczyć.

Złapała ruch twarzy w małym okienku w odbiciu pogiętego lusterka. Ale nie miała zamiaru przyjąć tego do wiadomości. Oglądano ją jak królika doświadczalnego. Podciągała się dalej, dopóki ramiona nie zadrżały dając znać o zmęczeniu. Kiedy wszyscy lekarze już się przyjrżeli, Silberman zajął ich miejsce i, rozciągając wargi w fałszywym uśmiechu, włączył głośnik:

- Dzień dobry, Saro.

Sara Jeanette Connor odwróciła się od łóżka i spojrzała na Silbermana. Wyraz jej twarzy był prowokujący i mocny, ale oczy rozbiegane, szukające wyjścia. Była na pograniczu

walki i ucieczki. Lata w ukryciu napiętnowały ją. Jej niegdyś miękko zaokrąglone policzki były teraz twarde i ostre. Ciągle wyglądała pięknie, dziko, ale również jak zaszczute, prześladowane i schwytane zwierzę.

Zupełnie tak, jakby należała do tego miejsca, w którym była.

Odpowiedziała niskim, monotonnym głosem. Przypominała Silbermanowi zwierzę, które cicho mruczy:

- Dzień dobry, doktorze Silberman. Co z kolanem? Opanowany i pewny siebie

Silberman wpadł na chwilę w konsternację. Uniósł brwi:

- W porządku, Saro.

Wyłączył głośnik i zwrócił się do praktykantów:

- Eee... dźgnęła mnie śrubokrętem parę tygodni temu.

Kilka stłumionych uśmiechów. Silberman ciągnął, szukając pocieszenia w znanych, utartych frazesach. Sara była ciekawym i silnym zjawiskiem natury, w które wtargnął dosłownie, a teraz w przenośni, ze swoim uspokajającym żargonem:

- Architektura złudzeń jest ciekawa. Wierzy w robota, który oczywiście wygląda jak człowiek, i który został wysłany w czasie, aby ją zabić. Oraz w to, że ojcem jej dziecka był żołnierz wysłany dla jej ochrony... z przyszłości oczywiście... - nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. - Z roku 2029, o ile dobrze pamiętam.

Praktykanci zareagowali poprawnie i zachichotali.

- Złudzenia prawdopodobnie zaczęły się podczas chodzenia z jej chłopakiem i zostały przez nią całkowicie przyjęte. Fascynujący przypadek złudnej transferencji. Chociaż wcale nie taki rzadki, jakby się nam wydawało. Spotykamy się coraz częściej z tym nowym syndromem: fobia jako ostra reakcja na coraz bardziej skomplikowaną technologię. Jest to być może obrona przed odczłowieczeniem stosunków we współczesnym społeczeństwie. Jeśliby olbrzymia

energia pacjentki była skierowana raczej na terapię niż na podtrzymywanie tych wyszukanych złudzeń - już byłaby zwolniona.

Silberman zamilkł, wspominając pierwsze spotkanie z Sara, przed laty, w pokoju przesłuchań na posterunku policji. Miała wówczas do czynienia z jakimś paranoikiem, który później zwiął razem z nią i w końcu został zabity. Zniknęła na parę lat i, o ironio losu, wróciła pod jego opiekę po próbie wysadzenia w powietrze biur jakiejś komputerowej firmy. Od tego czasu była jego najmniej współpracującą pacjentką. Powinno się jej polepszyć od tego czasu. Trochę mu to przeszkadzało, że nie mógł jej pomóc. Z wysiłkiem zapanował nad sobą i gwałtownie powiedział:

- Możemy iść dalej.

Praktykanci spojrzeli po sobie speszeni i przeszli do następnej celi. Silberman został i zwrócił się do głównego sanitariusza. Douglas miał sześć stóp i cztery cale, ważył dwieście pięćdziesiąt funtów i miał serce ciepłe jak grzechotnik. Silberman powiedział tak, aby praktykanci nie usłyszeli:

- Nie toleruję, gdy pacjenci niszczą swoje pokoje w ten sposób. Dopilnuj, żeby wzięła swoją dawkę thoraziny, Douglas. Dobrze?

Douglas skinął głową i pokazał dwóm innym sanitariuszom, aby z nim zostali.

Silberman zawrócił i podążył za opuszczającymi skrzydło praktykantami..

Sara podniosła wzrok, gdy drzwi celi się otworzyły. Douglas wkroczył wolnym krokiem, leniwie bijąc w złowieszczym rytmie swoją drewnianą pałką w drzwi. Dwaj inni stali za nim. Jeden z nich trzymał coś, co wyglądało jak spiłowany oścień do zaganiań bydła. Sara wiedziała z doświadczenia, że był to pręt do ogłuszania, który dawał wyjątkowo nieprzyjemny wstrząs. Drugi miał tackę z kubkami z czerwonym płynem.

Thorazina.

- Czas na twoje leki, Connor - powiedział Douglas.

Sara stanęła naprzeciw niego, skoncentrowana, z dzikim spojrzeniem wędrującym od jednego do drugiego. Czuła wściekłość i strach pomieszane ze sobą.

- Sam je sobie weź - odpowiedziała.

Douglas uśmiechnął się zdawkowo, jak zwykle. Ale jego pałka wydawała ciągle odgłos bum-bum-bum...

- Wiesz, że musisz się zachowywać dobrze, bo idziesz dzisiaj po południu na rozmowę...

- Nie wezmę tego. Nie chcę mieć żadnych problemów...

- Nie ma problemu... - wprawnie świsnął pałką trafiając ją prosto w żołądek.

Zwinęła się i padła bez tchu na kolana.

Douglas kopnął łóżko, które zważyło się z hukiem,omal nie rozbijając jej głowy.

Potoczyła się dalej, sycząc z bólu.

- Zrób to jeszcze raz, to zabiję cię, sukinsynu! Skrzywił się, potem wziął pręt od innego sanitariusza i podszedł do Sary. Wiedziała, co teraz nastąpi.

- Odejdź ode mnie, ty psychotyczny sukin... AAA!

Pręt uderzył ją pomiędzy łopatki, kiedy próbowała wstać. Przygwoździł ją z powrotem do podłogi, miażdżąc niczym pluskwę. Poczowała drobne elektryczne wstrząsy, gdy dostała konwulsji. Douglas przytrzymał ją za włosy i zmusił do powstania na klęczki, po czym podniósł kubek z thorazyną do jej ust:

- Proszę ostatni raz, kotku - zachęcił.

Ciężko dysząc usiłowała się oswobodzić, ale mimo jej codziennych ćwiczeń Douglas ciągle był dla niej zbyt silny. Nie mogła sobie pozwolić na więcej szkód fizycznych. Będzie potrzebowała całej swej siły, jeśli chce znaleźć drogę ucieczki z tego piekła.



Krzywiąc się przełknęła ogłupiający "zombie juice".

Wkrótce będzie spacerować we śnie. Już teraz czuła pierwszą falę wymuszonego letargu, biorącą w posiadanie jej ciało. Potem będą mogli robić z nią wszystko, co będą chcieli. I będzie znów odcięta od świata.

I wtedy wszystko będzie mogło przytrafić się jej synowi.

Jej synowi...

## **Zdjęcie**

RESEDA, CALIFORNIA

12:04 po południu

John stał przyklejony do automatu Fed-Teller na tyłach Stanowego Banku

Ubezpieczeń. Zdenerwowany Tim był na czatach. John włożył skradzioną kartę kredytową do otworu automatu. Do karty podłączony był przewód prowadzący do małego Radio Shack w plecaku Johna, który z kolei był podłączony do leżącej obok niego malej klawiatury.

- Pospiesz go! - ponaglił go Tim.

John się nie spieszył. Nauczył się panować nad nerwami w trudnej sytuacji. Pośpiech powodował błędy i dużo czasu traciło się na ich poprawę. Chciał zrobić to tylko raz. Spokojnie wystukał kilka poleceń i niewielki LCD wydrukował tajny numer karty PIN. Następnie wystukał go na klawiaturze Fed-Tellera i zażądał trzystu dolarów. Maszyna zawahała się. John wiedział, że videokamera pod dachem fotografowała każdego, kto podchodził do niej. Ale John już ją zamglił jednym psiknięciem z puszki supersuchego dezodorantu Amid. Kiedy tylko wyschnie na proszek - nie będzie żadnych zdjęć.

Tim dostrzegł zatrzymującą się na parkingu ciężarówkę. Wyszła z niej pulchna kobieta trzymająca torebkę.

- Ktoś nadchodzi!

John ze stoickim spokojem chwycił Tima za połą koszuli:

- Zostań tam, gdzie jesteś.

Tim zawahał się obserwując kobietę, która ruszyła w ich kierunku z pochyloną głową i oczyma wbitymi w torebkę. Chwilę później Fed-Teller zakrztusił się, wypluwając piętnaście banknotów dwudziestodolarowych.

- Łatwy pieniądz - powiedział John.

Tim zerknął na niego przez ramię:

- Rany! Gdzieś ty się tego nauczył?

John wspiał się i wytarł proszek dezodorantowy rękawem, po czym zaczął ładować dwudziestki do swojego plecaka, w miarę jak maszyna je dostarczała.

- Od mojej mamy. Od mojej prawdziwej mamy, znaczy się. No, ruszaj się, stary...

Tim zerknął na nadchodzącą kobietę. Patrzyła w ich kierunku, ale była jeszcze wciąż zbyt za daleko, aby zrozumieć, co robili. Taką miał nadzieję.

Rzucili się biegiem za róg uliczki, gdzie była zaparkowana honda i ukryli za nią, kiedy

John wyliczał działkę Tima. Pięć dwudziestek. Tim rozdziawił usta. To było niewiarygodne.

Codziennie John czymś go zaskakiwał. Ale to...

Kiedy John otworzył swój plecak, aby włożyć pieniądze, Tim zobaczył zdjęcie w plastikowej oprawie.

- Kto to?

John zerknął na przybrudzone zdjęcie młodej kobiety za kierownicą jeepa. Obok niej siedział owczarek niemiecki. John był ciekaw, do czego się uśmiechała. Widział część jej brzucha delikatnie wypełnionego...

Nim.

Miał zawsze niejasne uczucie, kiedy o tym myślał.

- To jest moja mama.

- Wygląda całkiem spokojnie - stęknął Tim.

John zmarszczył czoło. Wezbrała w nim dziwna mieszanina uczuć, jak zawsze, kiedy patrzył na jej twarz. Nie chciał bawić się w wyjaśnianie Timowi, który był lojalny, ale niezbyt bystry, więc powiedział po prostu:

— Właściwie nie, jest kompletnym czubkiem. Właśnie dlatego jest w Pescadero.

Próbowała wysadzić w powietrze fabrykę komputerów, postrzelili ją i aresztowali.

To zabrzmiało Timowi jak stek bajek, ale nigdy nie wiadomo...

- Mówisz serio?

- No, ma kompletnie nakopane. Ruszaj się!

John usiłował mówić zdawkowo, niczym macho, i - wnioskując ze znudzonej twarzy

Tima - chyba mu się to udało. Klepnął go w ramię i wskoczyli na hondę. John zapalił i pognali w dół uliczki.

Ale twarz jego matki stanęła mu przed oczami, jej wzrok, spoczywający na nim, obserwujący i osądzający. Jak zwykle.

- Pieprzę ją - pomyślał John. A w takim razie dlaczego trzymasz zdjęcie, które ci dała? - spytał cienki głosik.

- I ciebie też pieprzę - odpowiedział John po cichu, dodając gazu i wjeżdżając na bulwar.

# Tropiciele

RESEDA, CALIFORNIA

12:08 po południu

Komputer w policyjnej patrolowce wyświetlił listę młodocianych przestępców. Hasło:

John Connor. Poniżej dane na temat jego aresztowania. Matka: Sara Connor. Legalni

opiekunowie: Todd i Janelle Voight. A poniżej ich adres: 19828 S. Almond, Reseda, California.

Samochód był zaparkowany. Stał tam przez kilka minut podczas gdy policjant Austin badał szczegóły okolicy. Nie patrzył tylko oczyma. Całe jego ciało rejestrowało otoczenie: wiele subtelnych detali, które zostały zanotowane z myślą o wykorzystaniu w przyszłym strategicznym planie.

Austin spoglądał na podjazd do kilkupokojowego domku o obłupanych narożnikach.

Obejrzał okna i drzwi. Zdecydował się na ruch.

Gdy wysiadł z samochodu i podszedł do ścieżki, ciągle lustrował ulicę uzupełniając

detale i nie czując żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa. Z wyjątkiem... Usłyszał

dochodzące z tyłu ostre, urywane szczekanie psa. Oceniając zwierzę na średnią wielkość,

Austin zapamiętał ten fakt i poszedł do drzwi.

Todd Voight podniósł się ciężko z kanapy po trzecim pukaniu, bezmyślnie patrząc w

telewizor. Gra musiała być już w trzeciej części. Przespał chyba drugą. I czego ten pies robi

piekło? Jakby cała armia obcych dokonała inwazji na jego terytorium.

Następne trzy stuknięcia. Ktoś jeszcze jest za drzwiami.

Todd zamruczał pod nosem, klnąc po cichu. Dlaczego nie pozostawiono go w spokoju

w sobotę? Poczłapał w dół korytarza do frontowych drzwi i ze złością otworzył je spoglądając

na...

... na policjanta w mundurze, o surowym, mrozącym krew w żyłach wyrazie twarzy.

Todd przełknął wzbierającą wściekłość i zapytał głosem niskim i zachrypniętym od snu:

- Tak?

- Czy pan jest legalnym opiekunem Johna Connora?

Podejrzenie zachmurzyło myśli Todda, westchnął:

- Zgadza się, panie władzo. Co on teraz zmajstrował?

Austin przez chwilę nie odpowiadał, w milczeniu zaglądając do salonu za plecami

Todda. Zobaczył owczarka-mieszkańca za szklanymi rozsuwanymi drzwiami. Był zamknięty

wewnątrz ogrodzonego wybiegu. Latał tam i z powrotem w ograniczonej przestrzeni,

podniecony, ciągle szczekając.

Janelle wyszła z łazienki trzymając pismo *People* w ręce i, zafrasowana, przysunęła się

do Todda. Gliniarz przyjrzał się jej przez chwilę, a potem zapytał:

- Czy mógłbym z nim porozmawiać?

Todd wzruszył ramionami:

- Mógłby pan, gdyby tutaj był. Ale wyniósł się gdzieś na swoim motorze rano. Nie

wiadomo, gdzie jest.

- Czy macie jakąś jego fotografię?

- Przynieś album, Janelle.

Janelle zawahała się, marszcząc brew, potem powiedziała:

- Chwileczkę.

Kiedy podeszła do kominka, Todd zwrócił się do policjanta:

- Powie mi pan, o co idzie?

- Chciałbym go zapytać o kilka rzeczy.

Janelle wróciła z albumem ze zdjęciami. Wysunęła jedno z niewielu zdjęć Johna,

typowe szkolne zdjęcie chłopca, który - zmuszony do pozwania - był tak szczęśliwy, jakby

jadł szpinak. Gliniarz wziął zdjęcie i zerknął nań zdawkowo. Przez moment jego oczy zatrzymały się dziwnie na rysach Johna, ale Todd i Janelle nie zauważyli, tego.

- Ładnie wygląda - powiedział. - Czy mogę zatrzymać zdjęcie?

Janelle przytaknęła nieuważnie i coś sobie przypomniała:

- Był tutaj taki facet rano. Też pytał o niego.

Todd stęknął zirytowany. Pamiętał faceta doskonale, ponieważ spóźnił się przez niego na wspaniały rzut Goodena.

- No, to był duży facet. Na motocyklu, czy to ma coś wspólnego?

Todd widział, że gliniarz zawahał się przez chwilę. Potem uśmiechnął się uspokajająco:

- Nie martwiłbym się o NIEGO.

Terminator machinalnie prowadził harley'a, rejestrując i mierząc ulice Valley, kiedy cyborg niczym rekin rozglądał się po okolicy za Johnem Connorem. Przez ostatnie pół godziny zapoznał się całkowicie z miastem w promieniu siedmiu kilometrów. Jeździł z profesjonalną wydajnością, przyzwyczajając się do szybkości i ulicznego ruchu. Cyborg wiedział, że wiedza ta mogła okazać się strategicznie przydatna. Wiedział również, gdzie chłopiec mieszka i gdzie spędza czas. To kwestia czasu, zanim ich drogi się zejdą. Nacisnął na pedał i zawrócił w dół ulicy, w kierunku ścieku, parę bloków dalej.

Gdyby podjechał do krawężnika i poczekał następne trzydzieści sekund, ujrzaliby Johna i Tima przemykających hondą koło następnego bloku.

Ale czasem nawet Terminatorom los płata figle.

# Czas wizyt

## PESCADERO STATE HOSPITAL

3:06 po południu

Słońce smagneło posiniaczoną twarz Sary. Siedziała na swoim łóżku, oparta plecami o ścianę, dryfująca. Jej policzek kurczowo drgał, a oczy skryte były pod powiekami. Oddychała chrapliwie. Była wyczerpana, ale nadal próbowała zachować przytomność, by wywalczyć sobie ucieczkę z tej spowodowanej narkotykiem śpiączki. Zaczęła przegrywać, z wolna zapadając w smutny, samotny chłód bezsensownego zapomnienia, gdy jakaś ręka łagodnie uderzyła ją w policzek. Palce głaskały lekko i sprawiły, że letarg rozsypał się jak pęknięty talerz.

- Saro, obudź się - szepnął znajomy głos.

Sara otworzyła oczy i spojrzała na mężczyznę siedzącego na brzegu jej łóżka. Miał faliste włosy i nosił długi, pobrudzony płaszcz nieprzemakalny. Jego oczy były miękkie, młode, chociaż nosiły ślady brutalnych przeżyć z dzieciństwa. Uczucie mrowienia przeszło jej po szyi. Wstrzymała oddech.

To był Kyle Reese.

Gorące łzy boleśnie napłynęły jej do oczu. Jego obraz chwiał się. Chciała zobaczyć go wyraźnie, ale bała się mrugnąć, żeby nie zniknął.

- Kyle? - wyszeptwała.

Nie odpowiedział od razu, ale nie był duchem. Czowała ciepło jego dłoni na swoim policzku. I było tyle miłości w jego spojrzeniu...

Miłości do niej...

Miłości, która kazała mu oddać za nią życie. Jego życie.

Nieprawdopodobieństwo tej sytuacji było jak uderzenie.

- Ciebie tu nie może być. Nie żyjesz - westchnęła.

Potaknął ruchem głowy i odrzekł wysokim, miękkim głosem, który przypominał jej, jak młody był ten nieustraszony weteran:

- Wiem, Saro, to jest sen.

- Tak, tak myślałam. Thorazina. Nie powinni mnie zmuszać do brania.

Długo wpatrywali się sobie w oczy. I na moment cała groza, i ból, i śmierć, które były przy niej od czasu gdy umarł, odeszły na bok, tak że czuła do niego tylko miłość, silną i czystą, jak w chwili gdy się kochali. Chciała sięgnąć i dotknąć go, ale jej ręce były jak z ołowiu.

- Obejmij mnie - wyszeptała.

Kyle wziął ją w objęcia i zaczął delikatnie kołysać. I teraz łzy same popłynęły jej po policzkach na gładką, ciepłą skórę jego piersi.

Znowu przemówił, łagodnie:

- Kocham ciebie, zawsze będę.

- O Boże... Kyle! Tak bardzo ciebie potrzebuję.

Podniósł jej brodę, do góry i pocałował ją. Jego wargi najpierw lekko musnęły jej usta, a potem przycisnęły mocniej, wraz z rosnącym pożądaniem. O Boże - pomyślała - czuję jego smak. Potężny ból w żołądku roztopił się, ustępując podnieceniu. Jego obecność wydawała się przywracać ją do życia. Wcisnęła twarz w jego ramię, ciągle łkając. Zatracała się w tym, z czym zmagala się przez ostatnie dziesięć lat, broniąc się przed uczuciem, które żywiła do tego zmarłego mężczyzny.

Tym razem, gdy przemówił, jego głos był dziwnie zimny:

- Gdzie jest John, Saro?

Nagle w miejscu gdzie się znajdował zrobiło się pusto. Chwytając powietrze, otworzyła oczy.



Kyle stał w głębi pokoju, wpatrując się w nią oskarżycielsko.

Nigdy nie widziała takiego wyrazu jego twarzy. Przeszedł ją dreszcz poczucia winy.

- Zabrali mi go - powiedziała cicho.

- To John jest teraz celem. Musisz go ochronić. Jest bezbronny.

- Wiem!

Sfrustrowana Sara próbowała się podnieść i podejść do niego, ale z jakiegoś powodu jej ciało nie chciało się podporządkować.

- Nie zaprzestawaj, Saro. Nasz syn ciebie potrzebuje.

Próbowała powstrzymać się od płaczu, ale było to jak próba powstrzymania fali morskiej. Nie płakała już od dawna. Ale tutaj, przy Kyle'u, nie mogła się powstrzymać.

- Wiem, że on mnie potrzebuje, ale nie jestem tak silna, jak powinnam. Nikt mi nie wierzy. Nawet on. Straciłam go. Spieprzyłam misję, moje zadanie!

- Na nogi, żołnierzu! - powiedział, podnosząc ją z łóżka. - Pamiętaj o przesłaniu, Saro...

Przyszłość nie jest ustalona. Nie ma Przeznaczenia, jest tylko to, co zrobimy sami.

Przypomniał jej o przesłaniu, które dorosły John Connor kazał jej przekazać, kiedy po raz pierwszy się pojawił. Zgodnie z oczekiwaniem poruszyło to w niej poczucie misji. W ciągu minionych lat często myślała o tym zadaniu. Ale w czasie ostatnich miesięcy zapomniała o nim.

W przemożnym, zwierzęcym pędzie do wydostania się z tego miejsca zapomniała dużo innych rzeczy. Za dużo.

Kyle skierował się do drzwi.

Jej serce próbowało się wyrwać z piersi.

- Kyle, nie odchódź!

Z wolna spojrzał na nią i z naganą w głosie powiedział:

— Światu nie zostało zbyt wiele czasu, Saro.

Otworzył drzwi i wyszedł. Sara spróbowała ruszyć się, ale jej nogi były ciężkie jak beły.

Popatrzyła z przerażeniem na otwarte drzwi. W nagłym przypiływie adrenaliny, chwiejąc się na nogach, przeszła przez pokój, naparła na zamykające się drzwi i wymknęła na korytarz.

Spojrzała w jedną stronę. Pusto.

- Kyle! - krzyknęła panicznie.

Zwróciła się w drugą stronę. Niemożliwe, był już w odległości stu stóp, idąc dużymi krokami przez przyćmiony korytarz. Znikająca za rogiem sylwetka w przeciwdeszczowym płaszczu.

Sara pobiegła za nim. Jej białe stopy klaskały po zimnym linoleum, szpitalny szlafrok unosił się za nią. Wydawało się, że korytarz pochylał się w górę jak w gigantycznej karuzeli.

Narożniki zdawały się rozciągać w nieskończoność. W przypiływie energii w końcu dotarła do rogu. Reese szedł przed nią, skręcając za kolejny róg. Poszła za nim, wahając się na

skrzyżowaniach. Kyle stał na końcu korytarza, przy podwójnych drzwiach. Otworzył je,

wchodząc w piękny, rozświetlony słońcem poranek. Sara pobiegła za nim i wypadła prosto na zieloną trawę. Rozejrzała się. Był to plac zabaw pełen dzieci. Chichoczących, zjeżdżających ze zjeżdżalni, wspinających się na drabinki, fruujących wysoko na huśtawkach. Reese'a tutaj nie było.

Wszechogarniające poczucie lęku zalało ją jak lawa. Miała właśnie zobaczyć najgorszą rzecz na świecie.

Otworzyła usta, żeby wykrzyknąć protest, ale nie wydała żadnego dźwięku. Było za późno. Nie mogła nic zrobić. Poza podziwianiem wschodu drugiego słońca zakwitającego na horyzoncie. Niebo nagle skrwawiło się wszystkimi kolorami czerwieni. Potem wszystko eksplodowało, z równoczesnym uderzeniem fali intensywnego gorąca. Na horyzoncie płonęły drzewa, domy i drogi, zamieniając się w parujący żużel. Uderzenie i żar dosięgnęły placu

zabaw...

W blasku wcale nie niebiańskim, gorętszym od tysiąca słońc, dzieci zapaliły się jak główki zapalek. Sara także się paliła. Próbowwała krzyczeć, gdy widziała swoje ciało odsłaniające lśniące, białe kości. Nie było żadnej ucieczki od tych przerażających obrazów. I było tak dużo światła. Więcej niż można znieść. Bezlitośnie oświetlało śmiertelną agonię dzieci, które skręcały się jak zwęglone robaczki na zmarszczonej gorącym ziemi. Ręce Sary płonęły.

Fala błysku przeleciała przez spalony horyzont niczym twarda ściana sprężonego powietrza. Tuż za nią leciał z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę straszliwy wichur.

Dziecięce statuetki z węgla drzewnego, tak przed chwilą pełne życia, eksplodowały i rozprysnęły się dokoła. Fala uderzeniowa trzasnęła w Sarę, wydierając jej zwęglone ciało z klatki piersiowej. Została wessana prosto w środek kręcącego się jak trąba powietrzna radioaktywnego grzyba, w serce nuklearnego błysku, gdzie zmieszana materia jarzyła się jak piekło szeroko otwarte na przyjęcie duszy.

Sara odwróciła głowę od gorącego promienia słońca wpadającego przez okno. Ciężko oddychała mrugając. Całe jej ciało się trzęsło, mięśnie miała sztywne. Szpitalny szlafrok był przemoczony potem. Otworzyła oczy i rozejrzała się. Była na podłodze, obok przewróconego łóżka.

Thorazina ponownie uruchomiła koszmar. Styksowy koszmar, który wkrótce miał się stać rzeczywistością. Sara wiedziała, że wojna się zbliża. Ginęła w niej już podczas tysiąca nocy. Można by pomyśleć, że za każdym razem sen będzie bardziej ulotny i nieefektywny. Ale ta wizja była za każdym razem gorsza, jak gdyby siły Przeznaczenia, siły, które ją wprawiły w ruch, przybliżały wojnę z każdym uderzeniem serca Sary.

Ale Kyle nigdy nie przychodził do niej w snach. Co to oznaczało? Nic? Czy też jej psychika rozsypywała się ostatecznie i wpadała w obłąd, desperacko szukając ucieczki od rzeczywistości w ramionach trupa? Lecz nie, on powiedział coś ważnego. Jej rozkawałkowany umysł z trudem próbował przypomnieć sobie słowa ze snu...

To było o Johnie. On był teraz celem. I światu nie pozostało już dużo czasu. To było jej własne zmartwienie.

Sara poczuła jak włosy podnoszą się jej na karku, gdy przechodziła przez nią fala strachu.

Coś miało się wydarzyć.

Z tego miejsca w żadnym wypadku nie mogła tego powstrzymać. Przeczesała do tyłu swoje zmatowiałe włosy i podniosła się na nogi. Tak czy inaczej, będzie musiała się stąd wydostać.

Dzisiaj.

# Playback

## SZPITAL MIEJSKI W PESCADERO

3:58 po południu

Sara stała w małym, pustym pokoju. Pociągała marlboro, które wyblagała u jednego z obsługujących. Ramiona miała skrzyżowane. Słuchała swojego własnego głosu, brzmiącego cichutko i odległe. Zwróciła się w stronę monitora video, umieszczonego na kółkach i zobaczyła siebie, mówiącą miękko do kamery, z oczyma walczącymi o skoncentrowanie się, pomimo “głupiego Jasia”, którego jej zaaplikowali przed nagraniem taśmy. Sara była zdziwiona, ile wtedy miała sił. Jej byłe “ja” mówiło:

- To... jest... jak gigantyczna lampa stroboskopowa, paląca się przed moimi oczami..., ale w jakiś sposób nadal widzę. Słuchaj, wiem, że ten sen jest taki sam każdej nocy, dlatego muszę...

Silberman protekcyjnym tonem mówił teraz z taśmy. Nie można go było zobaczyć, ponieważ był z boku, poza zasięgiem kamery:

- Proszę, mów dalej...

Prawdziwy Silberman siedział obok, oglądając samą Sarę. Dwóch obsługujących stało obok drzwi. Leniwie oglądali video z niewielkim zainteresowaniem, ale gotowi byli zareagować, gdyby Sara straciła panowanie nad sobą.

Na monitorze Sara niechętnie kontynuowała patrząc spode łba, urażona, na niewidocznego Silbermana:

- Dzieci wyglądają jak spalony papier... czarne, nie ruszające się. Potem fala wybuchu uderza w nie i rozwiewa jak liście...

Sara z video nie może mówić dalej, płacze potrząsając głową.

Prawdziwa Sara przygląda się kobiecie na monitorze z chłodnym wyrazem twarzy, z

oczyrna zaczerwienionymi, ale suchymi.

Donośniejszy głos Silbermana z taśmy - jego głos, zamiast uspokajać, doprowadza do szału:

- Sny na temat kataklizmów czy końca świata są bardzo częste, Saro.

- To nie jest tylko sen. To rzeczywistość, ty baranie! Znam dokładną datę, kiedy to się stanie!

- Jestem pewien, że wydaje ci się to bardzo realne.

- 29 sierpnia 1997 roku! To jest całkiem kurewsko realne! Także dla ciebie! Dla każdego, kto nie zdechnie od razu, będzie to naprawdę zły dzień, dotarło!?

- Teraz odpocznij, Saro.

Ale oczywiście Sara na monitorze nie mogła odpocząć. Gwałtownie wiała się, mówiąc pewnym sobie tonem szalonego proroka:

- Sądzisz, że jesteś żywy i bezpieczny, ale tak naprawdę to nie żyjesz. Każdy... jest cholernie martwy!

Podniosła się z krzesła. Obsługujący błyskawicznie pojawił się w zasięgu kamery i usadził ją z powrotem. Nie odniosło to żadnego skutku poza wzmocnieniem natężenia jej krzyku:

- To ty żyjesz we śnie, Silberman, nie ja! Ponieważ ja wiem, że to się stanie. To się już staje!

Żywy Silberman podniósł pilota i zatrzymał taśmę z obrazem szaleńczo wykrzywionej twarzy Sary. Pacjent numer 82 odwrócił się od ekranu z kamiennym wyrazem twarzy.

Wiedziała, że Silberman czeka na odpowiedź. Zebrała cały swój rozsądek, jaki jej pozostał, i zaprezentowała go butnemu sukinsynowi, zmuszając się do uśmiechu, który nieomal doprowadził ją do wymiotów:

- Byłam przerażona... i zmieszana. Czuję się teraz dużo lepiej. Jaśniej.

Silberman pokiwał głową, przeżuając to z łaskawym uśmiechem i bawiąc się swoim wiecznym piórem.

- Tak, uzyskałaś dużą poprawę ostatnio.

Sara zauważyła z drobną satysfakcją, że Silberman machinalnie wsunął pióro do swojej marynarki.

Kolejna rzecz jaką zrobiła była chyba najtrudniejsza ze wszystkich, które kiedykolwiek musiała zrobić. Być szczerą wobec Silbermana:

- To pomoże mi osiągnąć cel, coś, na co oczekuję.

- A co to jest? - zapytał Silberman ponownie zdziwiony.

Zawahała się. Popatrzyła na coś, co wydawało jej się lustrem, przez które można było patrzeć w jedną stronę. Czowała, że z drugiej strony jest pokój, w którym ekipa psychologów ukradkiem pali i robi od czasu do czasu uwagi.

Gdyby tylko mogła złapać krzesło i rzucić przez szybę w ich aroganckie twarze...

Zatrzymała się. To był najważniejszy dzień w jej dotychczasowym życiu. Musiała zrobić wszystko, żeby się stąd wydostać. Nawet czołgać się na brzuchu przed tymi głupcami.

Bawić się w ich głupią grę. Oni oceniali jej każdy ruch, zapisując każdy tik na jej twarzy, mierząc jej rozsądek ze swoich ukrytych pokoi. Gdyby powiedziała właściwe słowa, coś w rodzaju zaklęcia, to może pozwoliliby jej odejść.

Zwróciła się z powrotem do Silbermana i ze spokojnym, pewnym uśmiechem powiedziała:

- Powiedział pan, że mogłabym być przeniesiona do skrzydła z mniejszym

zabezpieczeniem i mieć gości, jeżeli wykażę poprawę w ciągu sześciu miesięcy. No więc minęło sześć miesięcy i teraz oczekuję odwiedzin mojego syna.

Silberman lekko kołysał się na krześle. Balansując zastanawiał się przez chwilę, a następnie powiedział:

- Rozumiem. Ale wróćmy do tego, co powiedziałaś o tych maszynach - Terminatorach. Obecnie uważasz, że nie istnieją?

Uśmiech zaczynał się rozsypywać, ale Sarze udało się go utrzymać:

- One nie istnieją. Teraz to rozumiem. - powiedziała to tak przekonywająco, jak tylko mogła.

Silberman znowu potaknął i nabazgrał coś w swojej kartotece. Następnie popatrzył na Sarę, wwiercając w nią oczy:

- Ale wiele razy mówiłaś mi o tym, jak zgmiotłaś jednego hydrauliczną prasą.  
- Gdyby tak było, to byłyby jakieś dowody. Znalezione by coś w fabryce.  
- Więc nie utrzymujesz już, że przedsiębiorstwo to zatuszowało?

Przełomowa chwila. Pióro Silbermana lekko uderzało w stronę, odmierzając długie sekundy, zanim Sara odpowiedziała:

- Nie. Dlaczego mieliby to robić?

## **Kamień z Rosetty**

IRVINE, CALIFORNIA

4:01 po południu

Miles Dyson siedział przy oknie na górnym piętrze Monolitu, trzypiętrowego budynku ze szkła i bazaltu, który był kwaterą główną i laboratorium Cyberdyne Systems, i oglądał słońce, błyszczące ponad samochodami na parkingu poniżej. Tęsknił za pracą w laboratorium i chciał tam wrócić. Na trzecim piętrze znajdowały się pomieszczenia administracyjne, gdzie pracowali urzędnicy handlowi i prawni, Dyson nie znał się na tym co robili i nic go to nie obchodziło. Był człowiekiem praktycznym, ukierunkowanym na porządek w swoim małym



światku dzięki swojemu rozumowi i kwartalnemu budżetowi. Ten ostatni miał być przejrany przez zarząd Cyberdyne i powodował jego stres. Dyson nigdy nie miał dobrych kontaktów z ludźmi spoza jego zawężonego pola, ale ostatnio musiał opuścić swój klosz, pod którym prowadził badania naukowe, aby zająć się biurokracją. Aczkolwiek było to konieczne, nie cierpiał jednak tego zajęcia.

Miles Dyson był może najważniejszym człowiekiem na planecie, może nawet w historii, aczkolwiek nikt, nawet Dyson, nie domyślał się tego. Był nadzorującym Dział Specjalnych Projektów w Cyberdyne; genialnym mikrofizykiem i chemikiem. Co prawda na początku chciał tylko grać w kosza.

Młodzieniec o sześciu stopach i dwóch calach wzrostu, chudy jak szkielet, skończył liceum w Detroit i miał nadzieję, że przyznają mu stypendium sportowe na jakimś uniwersytecie na Zachodzie. Ale nie był aż tak dobrym graczem. Niepewny co dalej robić, poszedł do poradni zawodowej, gdzie wydobyli jego ukryte talenty. Namówili go, żeby powtórzył egzaminy z przedmiotów ścisłych.

Dostał tak wysoką punktację z matematyki, że wygrał specjalnie ufundowane stypendium na politechnice w Pasadenie. Był to w USA czas zapotrzebowania na genialnych matematyków, którzy mogliby konkurować z Japończykami. Patrzone z nadzieją na każdego, kto wstępował na wyższe uczelnie i wykazywał choć odrobinę talentu w tej dziedzinie.

Dyson z początku wątpił. Oczywiście nie miał problemów z algebrą, lecz nie podniecało go to w takim stopniu jak dobra gra w kosza. Ale po pierwszym roku na kalifornijskiej politechnice zrozumiał olbrzymie pokrewieństwo pomiędzy równaniami a formułkami.

Z początku profesorowie patrzyli na niego sceptycznie. Jego pochodzenie społeczne, przeciętne stopnie z angielskiego i biologii i silny żargon z przedmieścia dawały obraz

dziwaka, genialnego idioty. W tym czasie Dyson chodził, mówił i wyglądał jak czarnuch z Detroit; którym zresztą był.

Ale później talent Dysona rozkwitł. Przyszła fascynacja nauką i on sam został zaakceptowany przez grono młodych geniuszy w kampusie. Zachęcili go do podjęcia pracy w Cyberdyne i umieścili tam, w małym co prawda laboratorium technicznym, ale przy pracy nad znaczącym, ściśle tajnym projektem. Zaledwie dwa lata później zdystansował wszystkich współzawodników i został podniesiony do rangi koordynującego poszukiwania naukowe. A teraz Cyberdyne urosło z małej, fabryczki produkującej mikroprocesory do megamilionowej korporacji, stojącej u progu wielkiego odkrycia na polu sztucznej inteligencji.

W tej chwili Dyson chciał powrócić do pracy.

Właściciel i głowa Cyberdyne wkroczył do dużego biura ze szkła i stali. Greg Simmons nie postarzał się przyjemnie w ciągu dziesięciu lat, jakie upłynęły od założenia fabryki.

Walcząc z konkurencją i usiłując zachować kontrolę nad innymi członkami zarządu, którzy byli zaledwie inwestorami, wbił sobie parę gwoździ do trumny. Miał tylko pięćdziesiąt jeden lat, ale wyglądał na o dziesięć lat starszego. Jego niegdyś gęsta i ciemna czupryna zrobiła się szara i cienka. Jego blada cera zdradzała problemy z wątrobą. Utykał lekko od artretyzmu w biodrze. Mógł żyć o wiele dłużej i stać się o wiele bogatszym człowiekiem, ale patrząc na niego można było w to zwątpić. Pacjenci z rakiem wyglądali zdrowiej.

Simmons doznał silnego wstrząsu psychicznego pięć lat temu, gdy jego partner, wiewiórkowaty, ale genialny młody człowiek o imieniu Jack Kroll, umarł na raka mózgu. Kroll był prawdziwą siłą napędową. Odpowiedzialny za sukces spółki, był u progu wynalezienia nowej formy mikroprocesora, zwanej obwodem opłatkowym. Miała ona zrewolucjonizować przemysł komputerowy i uczynić Simmonsowi miliardern. Stracił lata, zanim znalazł kogoś odpowiedniego na to miejsce. Znalazł go w postaci faceta stojącego przy oknie. Dyson ciągle

jeszcze wyglądał na dwudziestolatka, mimo że miał już lat trzydzieści i trzy. Niedawno odcyfrował ostatnie skomplikowane notatki Krolla i prowadził teraz badania naukowe jeszcze dalej posunięte, a napędzane siłą swego intelektu. Zamiast pracy nad pojedynczymi obwodami, Dyson odkrywał, jak działa cały system.

Jedyny problem to to, że pieniądze przelatywały przez laboratorium jak przez sito.

Dyson chciał mieć coraz więcej pomocników, a Cyberdyne musiała płacić najwyższe stawki, aby kraść ich z innych, najlepszych firm. A im więcej ludzi w obsłudze, tym trudniej zachować środki ostrożności. Dyson był słynny z tego, że nie zwracał na to uwagi. Często Simmons wzywał go na dywanik za niedopatrzenia w zachowaniu tajemnicy. Było to jak łajanie dziecka. Dziecka, które trzymało wszystkie karty w rękach, ponieważ Dyson już wiedział, że Simmons był bardziej handlowcem niż naukowcem, który mógłby zrozumieć końcowe wykorzystanie cacek, jakie jego firma produkowała.

Nie był naukowcem, nie był nawet szczególnie mądry. Och, bywał rysownikiem i technicznym projektantem dla różnych małych firm elektronicznych, ale jego sukces został zbudowany tylko na jednej rzeczy...

... łucie szczęścia.

Dziesięć lat temu Simmons pracował w Kleinhaus Electronic za Los Angeles, robiąc projekty wstępne do komputera. Jednego ranka przyszedł do pracy i musiał czekać na zewnątrz budynku, podczas gdy policja zeszkrobywała z fabrycznej podłogi ciało. Najwidoczniej jakiś mężczyzna i kobieta włamali się z niewiadomego powodu i uruchomili jakąś maszynę. Mężczyznę zabiło, a kobieta dostała podobno świra.

Kiedy go już wpuszczono, Jack Kroll, który wtedy był jego asystentem, przyniósł mu dziwny kawałek mikroobwodu. Ciekawość przepchnęła go przez kordon policyjny i kazała zwinąć co ciekawsze resztki i kawałki pozostałe po eksplozji.

Taką technologię Simmons i Kroil widzieli po raz pierwszy. Zamiast oddać to Kleinhausowi, rzucili pracę, zapożyczyli się po uszy i założyli własną firmę. Nazwali ją Cyberdyne. Przez pierwsze dwa lata prawie głodowali badając to, co znaleźli i zastanawiając się, do czego to służy. W końcu Kroil zaczął odgadywać jak działa jeden malutki splot, który niczym elektroniczny kamień z Rosetty wytyczył drogę do innych drobnych, ale opłacalnych odkryć. Firma wypuściła z sukcesem nowy mikroprocesor do akceleratora. Zarobili krocie w trzecim i czwartym roku. A potem Kroll dostał raka. Pracował gorączkowo, skrobiąc notatki w narkotycznym transie, ale zmarł, zanim dokonał następnego przełomu.

A teraz był Dyson. Też u celu.

Ale zjadając cały profit firmy jak prażoną kukurydzę.

Simmons odchrząknął i Dyson spojrzał mu w twarz.

- Przepraszam, zajęło mi to trochę czasu - powiedział Simmons - ale inni członkowie zarządu dziwili się, widząc kilka propozycji w pańskim budżecie.

Zanim Dyson zrobił hałas, Simmons podniósł rękę:

- Proszę się nie martwić. Rozrzedziłem trochę atmosferę.

*Naiwne kłamstwo*, pomyślał Dyson. Wiedział dobrze, że stary nie miał pojęcia, co naprawdę robiło się w jego zakładzie. Ale Simmons mógł zwęszyć co w trawie piszczy, więc Dyson przezornie czekał aż skończy.

Simmons chciał poczęstować go szkocką. Dyson odmówił uprzejmie. Musiał czekać, dopóki Simmons nie przełknął swojej. W końcu stary uśmiechnął się półgębkiem:

- Więc zaakceptowaliśmy pański budżet na następny kwartał. To było piekło, żeby wytłumaczyć się z tego innym. Chcą rezultatów, które mogliby wypuścić na rynek pod koniec roku. Zapewniłem, że nie podważy pan pokładanego w panu zaufania. Więc proszę o przysługę: niech pan tego nie wyda od razu.

Śmiech z obydwu stron był wymuszony. Nie byli przyjaciółmi. Aby być przyjaciółmi, trzeba się rozumieć chociaż trochę. A ci dwaj mężczyźni różnili się we wszystkich aspektach. Z wyjątkiem Działu Specjalnych Projektów. A nawet tutaj mieli na myśli inne cele. Dyson nie miał nic przeciwko wysokiej pensji, ale nie siedział w tym tylko dla pieniędzy. Po prostu chciał WIEDZIEĆ. A jeśli przy okazji mógł polepszyć świat dla swoich dzieci - świetnie!

Simmons natomiast chciał mieć więcej niż do tej pory. W jakiś sposób obaj mieli obsesję. Dysonowi WYDAWAŁO SIĘ, że był szczęśliwszym człowiekiem. Podał rękę Simmonsowi i obiecał, że będzie osobiście informował go o postępach w Dziale.

Tak szybko jak mógł wyszedł i pospieszył do windy.

Będąc sam w obitej dywanami kabinie, wykonał triumfalny skok. Był przekonany, że większość jego żądań zostanie odrzucona. Najwidoczniej nie docenił zaangażowania Simmonsa w prace Działu Specjalnego i ich obecny projekt. Teraz dostał wszystko, aby móc dokończyć pracę. Teraz szybko przeskoczą ostatni płótek i dowiedzą się wszystkiego na temat Drugiej Partii.

Drzwi rozsunęły się z szelestem na drugim piętrze. Dyson przeszedł przez fioletowy hol do masywnych, zabezpieczonych drzwi. Powyżej, na chromowanym szyldzie widniało:

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

Przeszył zamek swoją kartą z kluczem elektronicznym. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Wszedł do laboratorium A. I. (Sztuczna Inteligencja). Miejsce wypełniały stoły i pojemniki z procesorami, dyskietkami, liniami testowymi i liniami składania prototypów.

Wszędzie na podłodze wiły się grube kable.

Laik, przypadkowo zawędrowawszy do tego czystego, ale zapchanego laboratorium,

mógłby pomyśleć, że jest to jakaś podrzędna centrala telefoniczna. Dyson wyszedł na środek pokoju i zwrócił się do otaczających go twarzy:

- Gratulacje, drużyno. Dostajecie podwyżkę!

Jego kumple z humorem zrobili mu owację. Nikt nie miał na sobie fartucha

laboratoryjnego. Ubrani byli w nieprzepisowe jeansy i trampki. Wszyscy młodzi i genialni jak

Dyson. Siedzieli przy swoich konsolkach i popijali pepsi jedząc drugie śniadanie z zestawów na

wynos i zmieniając technologię współczesnego świata. A teraz klepali swego szefa po plecach i

ściskali mu dłoń. Dyson usadził wszystkich na miejsca i nakazał im skończyć wcześniej.

Przywitali to jednomyślnym jękiem. Nikt nie zwijał się z pracy wcześniej. Między

technikami a asystentami panowała dzika konkurencja. Facet, który opuścił pierwszy swoje

biurko, był uznawany za pariasa. Nie tylko wielu z pracowników badawczych pracowało sześć

dni w tygodniu, ale często też pracowali do późna w soboty. Ci ludzie nie mieli ochoty na seks

czy wyjście z żoną do kina. Pragnęli tego, czego pragnął Dyson: odpowiedzi na fascynujące

pytania. I mocy, aby zmienić świat.

Bryant, jeden z bardziej bezpośrednich asystentów, podbiegł do Dysona:

- Panie Dyson, grupa tworzywowa pragnie przeprowadzić jeszcze jeden test na Partii

Drugiej, zanim zwiną się do domu.

- Aha, chodź, podrzucę ci to.

Bryant musiał przyspieszyć, aby dotrzymać kroku Dysonowi, który szybko przeszedł

przez laboratorium.

- Przepraszam, panie Dyson, wiem, że nie jestem tutaj od bardzo dawna, ale

zastanawiam się, czy mógłby mi pan coś powiedzieć... to znaczy, czy nie wie pan

przypadkiem... . . .

- Czy nie wiem czego?

- No, wie pan, skąd to pochodzi?

- Zadałem raz to pytanie. Wiesz, co mi odpowiedziano? “Lepiej nie pytaj”.

Dyson dał znak strażnikowi na zewnątrz drzwi do podziemnego pomieszczenia.

Podążył on za Dysonem i Bryantem do niewielkiej sali i stanął razem z nimi przed czymś, co wyglądało jak bardzo skomplikowana szafa pancerna. Wymagała ona, tak jak kontrolki uruchamiające w stacji nuklearnej, dwóch kluczy.

Strażnik i Dyson wsadzili swoje klucze i przekręcili je jednocześnie. Następnie Dyson wystukał zakodowane hasło i moment później podziemna krypta stanęła otworem po serii ostrych szarpnięć.

Dyson wszedł do środka.

Będąc sam, podszedł do szafki z nierdzewnej stali i otworzył ją. W środku znajdował się niewielki przedmiot w zalakowanym pojemniku z obojętnym gazem. Pojemnik, podpisany “Partia Druga”, zawierał porcelanowy prostokąt o rozmiarach domina i kolorze wątroby. Został rozbity, a następnie misternie zrekonstruowany i wprawiony w metalową ramkę. W tej nadzwyczajnej technologii znajdowała się tajemnica, która już zarobiła na czysto dla Cyberdyne miliony dolarów. Ale było to też coś więcej. Projekt obwodu i użyte materiały były całkowicie obce, różne od wszystkich znanych Dysonowi. Tamto Inne Pytanie znów zaczęło go męczyć. Zadane przez Bryanta, w przeszłości było zadane i przez niego samego.

Faktycznie, skąd to się wzięło?

Kto pierwszy zbudował ten układ?

Rosjanie? Mało prawdopodobne. Projekt był za delikatny.

Japończycy? Możliwe, ale dlaczego podobna technologia nie rozwinęła się na innym kontynencie w przeciągu kilku lat?

Nie, to była rzecz jedyna w swoim rodzaju, Dyson nie mógł uwierzyć, aby powstała w

umyśle starego człowieka. A Jack Kroll zabrał sekret do grobu. W jego notatkach nie było żadnej wzmianki o pochodzeniu tego dziwnego mikroprocesora. Ale Dyson miał więcej pytań, na które odpowiedzi na pewno istnieją. To było teraz jego życiem.

Sięgnął, wyjął procesor leżący ciągle w pojemniku z obojętnym gazem i położył go na specjalnie do tego celu przeznaczonej płytce, cackając się z tym jak z Całunem Turyńskim. Zamykając, spuścił wzrok na przylegającą szafkę. Miała ona nazwę "Partia Pierwsza". Gdyby tylko Bryant i inni wiedzieli, co znajdowało się za tymi drzwiami. Tylko trzech ludzi wiedziało. Jeden nie żył. Drugi był właścicielem firmy. Trzeci to Dyson. Impulsywnie otworzył szafkę i spojrzał do środka na większy przedmiot... mechaniczna, skomplikowana metalowa ręka i przedramię.

Przy łokciu metal był pokręcony i zmiażdżony, ale ręka i przedramię były nienaruszone, aczkolwiek chromowana powierzchnia była lekko osmalona i odbarwiona. Stała prosto w swoim pojemniku, jakby salutując. Dyson gapił się na nią, pogrążony w myślach.

Kto do diabła TO wykonał?

Lepiej nie pytać.

Moment strachu przeszył go niczym niestrawność. Partia Pierwsza i Druga mogły być ukradzione. Nie ufał Gregowi Simmonsowi. Co, jeśli...? Ale racjonalna część jego świadomości zwyciężyła. Wątpliwość została rozłożona na czynniki pierwsze i zarezerwowana do późniejszych rozważań. Być może były skradzione, a może stworzono je, aby wykonać tajne zamówienie rządowe. Kiedy pozna w końcu sekret Partii Drugiej - pomyślał sobie - będzie wiedział. Ale do tego czasu... Niechętnie zamknął szafkę i przekręcił klucz.



# Wyrok

## PESCADERO STATE HOSPITAL

4:13 po południu

Cisza w pokoju widzeń ogłuszała. Sara mogła słyszeć swój własny oddech i odległe, hipnotyczne brzęczenie owadów. Goryl z dozoru stojący przy drzwiach gapił się na Sarę jakby była jednym z nich.

Za lustrem lekarze i Silberman porównywali swoje notatki na jej temat. Nadal czuła ich skierowane na siebie oczy. Wiedziała, że decydowali o jej losie. Ze strategicznego punktu widzenia zachowała się głupio. Powiedziała im za dużo. I prawda jej nie uwolniła.

Trzymała w sobie sekret tak długo. Ale kiedy złapali ją po raz pierwszy - byli tak cholernie rozumiejący. Zaufała im. Zaufała, że znają swoją pracę i będą mogli powiedzieć, że ona nie jest szalona. Pomyliła się.

Byli lekarzami, których postrzeganie świata było typowe dla psychologa. Jedyne więzy, jakie łączyły ich z rzeczywistością, pochodziły z badań abstrakcyjnego zachowania się ludzi. Nie mogli zaakceptować tego, że była normalną kobietą w nienormalnym świecie. A przecież, chociaż znajdowała się w szpitalu dla umysłowo chorych, umiała dokładnie odróżnić rzeczywistość od fantazji, sen od prorocstwa, wyobraźnię od doświadczenia. Podczas pobytu w Pescadero przeżywała te stany wielokrotnie, ale zawsze doskonale je definiowała.

Silberman nie mógł tego zrozumieć. Widział wszystko z jednej perspektywy. Swojej. A po swojej stronie miał naukę i filozofię. No i to był jego teren. Szpital był pełen kobiet z mesjanistycznymi kompleksami.

Zdawała sobie sprawę, że pasowała do takiego schematu doskonale. Jej syn nazywał się John Connor, J. C., jak Jezus Chrystus. A jego ojcem był duch z przyszłości. Narodziny Johna były bliskie temu, co można nazwać "niepokalanym poczęciem". Jego zaś poświęcenie ura-

towałoby świat. O tak, ona złamała prawo. Zniszczyła cudzą własność. Rozumiała, że z punktu widzenia Silbermana była szalona.

Lecz któż by nie był, wiedząc to, co ona wiedziała. Cywilizacja ma wpaść w otchłań.

Miliony ludzi musi umrzeć okrutną śmiercią. Nawet gdyby udało się jej wydostać stąd i ochraniać Johna do czasu, gdy ten powstanie ze swoją armią, nie zapobiegłoby to masowej zagładzie. Bez względu na rezultat wojny, dzieci będą umierać dalej. Lecz gdyby została w tych murach, a John zginął, byłby to koniec ludzkości. Oczywiście, że była szalona. Ale wiedziała co robi!

Silberman wrócił do pokoju i usiadł przy stole naprzeciw niej ze swoim oślizłym uśmiechem. Bezwiednie stukał palcem po teczce z historią jej choroby. W końcu powiedział:

- Widzisz, Saro, tutaj mamy problem. Wiem, jaka jesteś sprytna i myślę, że mówisz mi dokładnie to, co ja chcę usłyszeć. Nie sądzę, abyś naprawdę wierzyła w to, co mi mówiłaś.

Sara wiedziała, że nigdy nie była dobrym kłamcą. Nie udało się go oszukać. Można już tylko błagać. Pochyliła się do przodu, zamieniając całą swoją frustrację i ból w jedno proszące zdanie:

- Pozwól mi zobaczyć mojego syna.

Silberman nagle odwrócił się. Jej oczy podążyły za nim. Czyżby to rozważał? Nie.

Zdała sobie sprawę, że tłumił ziewnięcie. Spróbowała jeszcze raz:

- Bardzo proszę, Silberman, to jest bardzo ważne, on jest w niebezpieczeństwie.

Przynajmniej pozwól mi do niego zadzwonić.

Próbowała go przekonać, oszukać, współpracować w każdy sposób, błagać go, mówiła

mu wszystko, nawet o najbardziej intymnych szczegółach swego życia. I nic. Nic nie miało

znaczenia. Wszystkie sposoby zawiodły. Silberman zdecydował dużo wcześniej. Był

niewzruszony jak ślepy los i Sara wiedziała, że przegrała. Jej ledwo wstrzymywana wrogość

wybuchła ze zwierzęcą siłą. Gwałtownie przeskoczyła przez stół i złapała Silbermana za gardło:

- Ty sukinsynu!!!

Silberman przewrócił się do tyłu, bezskutecznie próbując się uwolnić. Czuł jej piekielnie silne palce na swej zmaltretowanej tchawicy. Ale w sekundę później dwóch obsługujących oderwało ją i odciągnęło do ściany. Upadła na plecy i wytoczyła się poza ich zasięg. Znowu próbowała go dopaść, i dopadłaby, gdyby wyższy z obsługujących nie grał jako obrońca w college'u. Złapał ją nisko i oboje upadli na podłogę. Przygniótł ją, nieomal łamiąc jej żebra. Sarze brakowało tchu, lecz mimo to usiłowała wywinąć się z uścisku. Silberman pogrzebał w kieszeni fartucha i wyciągnął strzykawkę. Delikatnie przyciskając ramię dał jej zastrzyk.

- O, k..., puść mnie! Silberman! Nie wiesz, co robisz! Odpieprz się! Nie żyjesz!

Słyszysz mnie?!

Silberman słyszał ją bardzo dobrze. Jego uszy były pełne krzyku Sary. Gestem polecił sanitariuszom zająć się nią. Bezlitośnie wywlekli Sarę na zewnątrz. Drzwi zatrzasnęły się za nimi i nagle nastąpiła cisza. Czerwony na twarzy Silberman odsunął kosmyk włosów z czoła. Nagle zeszywniał, uświadamiając sobie, że jest obserwowany zza lustro. Wykrzywił usta w uśmiechu i obrócił się twarzą ku nim wzruszając ramionami. "Wzór obywatela". Sara została zaciągnięta do swojej celi. Całą drogę usiłowała walczyć, ale nie udało jej się wyswobodzić. Sanitariusze wpakowali ją do środka. Oparła się o ścianę, kiedy Douglas stanął w drzwiach. Wyszczерzył zęby w uśmiechu i podniósł dwie plastikowe filiżanki.

- Mówię ci, ty naprawdę potrzebujesz swoich lekarstw.

Sara z determinacją próbowała ostatniej szansy:

- Douglas, posłuchaj, ja zrobię wszystko, aby się stąd wydostać. Rozumiesz? Wszystko!

Douglas cofnął się nieco, wyglądało jakby się zastanawiał. Potem powiedział:

- Co byś powiedziała na swoje pigułki?

Dwóch sanitariuszy podeszło bliżej, jeden z nich trzymał bicz do elektrowstrząsów.

Douglas dodał:

- Jestem żonaty. Myślisz, że jestem taki rozpustny?

I podał jej filiżanki. Zrezygnowana sięgnęła po nie. Oczy jej zmatowiały. Machinalnie połknęła pigułkę, popiła wodą i oddała kubki Douglasowi, który, kiwając głową, przekazał je jednemu z sanitariuszy.

- Otwórz usta! - rozkazał.

Posłusznie otworzyła. Douglas wpakował palec szukając pigułek. Z całej siły powstrzymała się, żeby go nie ugryźć. Cofnął rękę:

- Widzisz, założę się, że już lepiej się czujesz.

Wyszedł. Sara odczekała, aż twarze sanitariuszy znikną z okienka w drzwiach, i skoczyła do toalety. Wpakowała palce do gardła i zmusiła się do wymiotów. Szybko spłukała muszlę.

Wzięła głęboki oddech, usiłując zebrać całą swoją energię. Podeszła do łóżka, szarpnęła je, postawiła pionowo przy ścianie i przystąpiła do ćwiczeń. Podciąganie. Raz, dwa, trzy, cztery. Głupi, mechaniczny ruch. Czas i miejsce na frustrację i wściekłość. Na ból mięśni czyniący ją silniejszą. Pewnego dnia będzie wystarczająco silna, by ich pokonać.

Nie zamierzała się poddać.

Za żadną cenę.

# Tropiony

RESEDA, CALIFORNIA

4:26 po południu

Dwie dziesięcioletnie dziewczynki stały przed sklepem z kanapkami przy metrze i nieśmiało patrzyły na pokazywaną przez policjanta fotografię. Wychylał się z okna krążownika szos z szerokim uśmiechem, który byłby ciepły, gdyby nie był tak wymuszony. Jedna z dziewczynek, instynktownie zaniepokojona, uciekła wzrokiem od tego dziwnego wyrazu twarzy. Druga, nie zauważając niczego, powiedziała:

- Tak, był tutaj, jakieś piętnaście minut temu. Chyba mówił, że idzie do Galerii.

- Do czego? - zapytał funkcjonariusz Austin.

Wskazała na potężny betonowy kompleks nad dachami, o kilka przecznic dalej. Austin obrócił się i przez chwilę przyglądał mu z uwagą. Nagle wyrwał im zdjęcie i wyszedł z parkingu kierując się ku Galerii. Dziewczynki zdziwiły się.

O kilka przecznic dalej Terminator powoli krążył swoim harley'em. Jego oczy błędziły tam i z powrotem po całym polu widzenia, monotonnie jak kamera telewizji przemysłowej. To tylko kwestia czasu.

A Terminator miał cały czas tego świata. Wystarczająco dużo energii przechowywał w komórkach mocy ukrytych głęboko w utwardzonej konstrukcji, aby móc działać przez co najmniej sto lat bez zatrzymywania się. W trybie samonaprawy ten czas mógł być wydłużony nawet do nieskończoności. A cierpliwość nie była cnotą tego człowieka-maszyny. Była jego strategicznym walorem.

Wcześniej czy później cyborg osiągnie swój cel.

Z łomotem przejechał przez przejazd nad kanałem powodziowym.

Terminator widział nie tylko swoimi oczyma o rozszerzonym zakresie widzialnego

pasma częstotliwości. Widział także uszami. Jedno rejestrowało pełny, nieprzefiltrowany zakres dźwięków zewnętrznych, drugie automatycznie odfiltrowywało wiatr i odgłosy ruchu ulicznego, ograniczając się do jednego charakterystycznego dźwięku: motorower honda 125, rocznik 1990. Rozkaz słuchania i patrzenia był zapisany w głównej pamięci pod danymi dotyczącymi celu.

Wcześniej czy później.

W ciągu ostatnich trzech godzin skupił się na dwóch tylko możliwościach: na jednym motorowerze jechała kilkunastoletnia dziewczyna, a na drugim - mężczyzna w średnim wieku.

Żadne z nich nie pasowało do opisu celu.

Wtem zatrzymał się ponownie.

Odwrócił gwałtownie głowę - znowu usłyszał poszukiwany dźwięk. Jego oczy, jak celownik, szybko przeszły do trybu namierzania, bezbłędnie lokalizując źródło sygnału: dwoje dzieciaków na sto dwudziestce piątce w dole, nad kanałem. Za jego sztucznymi oczyma serwomechanizm urządzenia optycznego powiększył obraz piętnaście razy, a następnie zatrzymał cyfrowy wizerunek kierowcy. IDENT POS - zamigotało obok zamazanego obrazu twarzy Johna Connora.

Terminator zakręcił wielkim harley'em, wjeżdżając w ulicę biegnącą równoległe do kanału. Cel jechał wzdłuż betonowego tunelu. Terminator musiał przyspieszyć, żeby mieć go w zasięgu wzroku. Jedno jego oko skierowane było dokładnie przed siebie, generowane przez komputer cyfrowe obrazy dawały mu nadnaturalną głębię percepcji. Drugie oko śledziło cel, poszukując w zbiorze danych dotyczących pasażera (był pusty, nie było danych w pamięci, być może z powodu przeoczenia), i jednocześnie wykonywało nieustanne badania kinetyczne trajektorii, dochodząc do wniosku, że obiekt jest zbyt daleko i porusza się zbyt szybko, żeby można było nawiązać z nim kontakt. Będzie musiał go wyprzedzić. Terminator popędził

szybciej. Opony harley'a cudem trzymały się posypanej żwirem ścieżki biegnącej wzdłuż kanału.

Dojechał do następnej ulicy. Rejestrując niebezpieczeństwo musiał zwolnić. Tylko dzięki swoim ponadnormalnym zdolnościom ruchowym zdołał dosłownie o grubość lakieru ominąć nadjeżdżający samochód kombi.

Kiedy jednak próbował odzyskać wizualny kontakt z celem, okazało się, że ten zniknął.

Błyskawicznie lustrując kanał poniżej, nic nie dostrzegł. Ale ciągle słyszał wysoki ton silnika motoroweru. Ponownie zlokalizował obiekt.

Motorower wyjechał po rampie na ulicę o pół przecznicy dalej i skierował się na podziemny parking Galerii - rozległego domu handlowego.

Terminator płynnie ominął kilka wolniejszych samochodów i podążył za nim.

# Pierwsze starcie

## RESEDA GALLERIA

5:06 po południu

John przepchał się przez zatłoczone przejście z grami video. Było to kolorowe szaleństwo tanich elektronicznych efektów dźwiękowych i migających monitorów, pokazujących masową zagładę na miniaturowych ekranach video. Tim rozebrał się przy automacie do gry "Aliens", gdzie zobaczył swoich dwóch kolegów. John kiwnął głową kilku znajomym twarzom ze szkoły i spojrzał na młodego chłopaka, którego nie znał, a który w grze "Desert War" stracił już wszystkie swoje F-14. John śledził sposoby ataku.

Był w tym dobry.

Kiedy ostatni samolot eksplodował w deszczu cyfrowych resztek, na ekranie zamigotał napis GAME OVER. John przejął sterowanie i wrzucił żeton. Pociągnął do siebie drążek i "ziemia" oddaliła się gwałtownie. John zmarszczył brew i skupił całą swoją uwagę na ekranie. Pierwszy pocisk zaskoczył go, ale zareagował błyskawicznie, gwałtownie nurkując. Wtedy pojawił się kolejny. John wypalił z działka na skrzydle i zamienił go w chmurę dymu.

Ta gra była prosta.

Zwalniający harley Terminatora zahuczał w garażu i zatrzymał się w rzędzie motorów, w pobliżu ruchomych schodów. Mała honda Johna rozłożyła się dumnie razem z dużymi motorami. Terminator zaparkował i zgasił silnik.

Policjant Austin poruszał się w strumieniu ludzi. Miejsce było zapchane sobotnimi kupującymi w różnym wieku. Gliniarz przesuwiał wzrokiem po młodych chłopięcych twarzach, niecierpliwie szukając tej znajomej. Zbliżył się do dzieciaków obok pizzerii Perry'ego na drugim piętrze i pokazał im fotografię. Tylko wzruszyli ramionami. Wypatrzył strażnika przyglądającego mu się z ciekawością. Austin rozważył możliwe rozwiązania i podszedł do



mężczyzny. Pokazał mu zdjęcie i prosił o wypatrywanie chłopca.

W pasażu John bez reszty był pochłonięty gwałtowną bitwą. Właśnie osiągał świetny rezultat w "Missile Command". Zręcznie sparował wysyłane przez ICBMy wrogie MIRVy... głowice bojowe poleciały strumieniem... trzy, cztery, nie - pięć od razu. John uderzał w klawisze tak szybko, jak tylko potrafił, ale to było wszystko, czego mógł dokonać. Świat wybuchając zamienił się w białą, gorącą chmurę.

Gra skończona.

Pojawił się wynik. Był w górnej strefie rezultatów, ale i tak John przegrał wojnę.

Znudzony, ociężale odszedł od gry szukając innej. Za oknem pojawił się policjant Austin. Jego oczy spoczęły na miejscu, które John przed chwilą opuścił...

... aby zmieszać się z tłumem.

Gliniarz szedł dalej, niewidoczny dzięki dużej liczbie ludzi.

John zatrzymał się obok symulatora gry "Afterburner". Sprawdził, czy ma w kieszeni żetony. Całkiem dużo. Wśliznął się do kokpitu.

Terminator kroczył pomiędzy kupującymi jak Paul Bunyon przez las, przenosząc skrzynkę róż o długich łodygach jak jakiś pełen nadziei facet na namiętnej randce. Poruszał się metodycznie, wiedząc, że cel jest blisko. Twarz za twarzą była detalicznie sprawdzana. Nie zabrzmiał żaden dzwonek alarmowy. Ale wcześniej czy później...

Tymczasem Austin doszedł do końca drogi dla pieszych. Nadal szukał pobieżnie, sprawdzając wszystkie piętra domu towarowego. Żadnego Johna Connora nie było. Zawrócił, żeby oszacować swoją trasę wpatrując się we fronty pięter: stoisko z hot-dogami, sklep z butami, salon z pizzą, stoisko tytoniowe, księgarnia, galeria z gramy video, restauracja rybna...

Wrócił ponownie do galerii z gramy video. Tuzin dzieciaków wyglupiało się przed wejściem, na próżno próbując wyrzeć jakieś wrażenie na innych. Coraz więcej ludzi

wchodziło i wychodziło. Austin zdecydował się starszej przeczesać pasaż.

Wszedł w labirynt rozmawiających, zaaferowanych młodych ludzi. W drugim końcu hali John zestrzeliwał MiG-i lecące z prędkością 2 machów. Tim zbliżył się do niego i, starając się zrobić to spokojnie, klepnął go po ramieniu. Tyko częściowo to mu się udało. W jego głosie wyczuwało się panikę:

- Jakiś gliniarz za tobą węszy, stary.

- W porządku - powiedział John, lekceważąco wzruszając ramionami.

- Naprawdę, człowieku, popatrz!

John wiedział, że to bzdury, ale wyrzwał zza "Afterburnera". Wysoki, szczupły policjant w mundurze pokazywał fotografię grupie dzieciaków. Niektóre z nich robiły niezadowolone miny gapiąc się na nią. Jedno z nich wskazało w jego stronę.

Dostał kopa adrenaliny w serce. Gdy policjant spojrział, pochylił się i wyczołgał z drugiej strony. Instynktownie cofając się, skierował się ku tyłom pasażu.

Jedną z pierwszych lekcji, jakie dała mu matka, było to, że gliny przynoszą złe wieści.

Austin zauważył Johna poruszającego się wzdłuż maszyn. Gwałtownie pospieszył za nim. John obejrzał się przez ramię i zobaczył, że jego najgorsze sny się sprawdzają. Gliniarz przepychał się przez tłum. Chłopak przyspieszył, obiegając niskiego grubasa. Gliniarz był tuż za nim, wywracając grubasa na podłogę. John nie potrzebował większej zachęty - zerwał się do śmiertelnej gonitwy.

Policjant biegł za nim.

Dzieci rozprysnęły się jak pchełki, gdy Austin wparował między nie. John pędził przez biura i zaplecza na tyłach pasażu, odskakując przed pomocnikiem kierownika i wypadając przez drzwi pożarowe do korytarza dla obsługi. Długi, niedoświetlony tunel prowadził prosto do garażu. Gdyby tylko mógł się tam dostać. Serce waliło mu jak młotem. Biegł szaleńczo do

odległych drzwi.

Był w połowie drogi, gdy nagle w zasięgu jego wzroku pojawił się Terminator.

John momentalnie rozpoznał jego twarz. Widział go na wycinkach z gazet, które pokazywała mu matka. To był ten facet. Szalony facet, który rozwalił komisariat. Ten, którego jego matka uważała za Terminatora. Stał teraz tutaj. Nie było co do tego wątpliwości. John desperacko próbował się zatrzymać, żeby nie wpaść na obcego.

Cel został osiągnięty.

Chłodna, czarna stal broni pojawiła się, gdy otworzył pudełko rozsypując róże na podłogę. But Terminatora zgniótł kwiaty, kiedy ruszył do przodu podnosząc lufę broni. Opętany strachem John zrozumiał, że dostał się w pułapkę. W wąskiej części korytarza stał się celem jak w grze video.

A ten szalony klient zamierza go zabić.

Terminator beznamiętnie wprowadził nabój do komory, tak płynnie, jakby to robił miliony razy. Na zewnątrz słychać było jakiś łomot.

Czas znowu przyspieszył, gdy John zatrzymał się i zaczął uciekać w przeciwną stronę.

Ale z tej strony wielkimi susami nadbiegał gliniarz, wyciągając w biegu piętnostrzałową berettę i kierując ją prosto w niego.

John spojrzał z powrotem na nieznanego, fen pochylając głowę uniósł do ramienia czarną lufę. John nigdy w swoim życiu nie czuł się taki opuszczony. Zimne, krwawe wizje bezsensownej przemocy z nim jako głównym bohaterem, wizje, które od lat nawiedzały go nocami, teraz stawały się realne. John nie mógł nic zrobić.

I wtedy wydarzyło się coś dziwnego...

Facet z karabinem powiedział nagle łagodnym, niedbałym głosem:

- Kładź się!

John natychmiast się podporządkował. Było w tym głosie coś, co wzbudziło jego sympatię. Rzucił się na podłogę.

Huk wystrzałów nad głową nieomal go ogłuszył.

John ujrzał, jak gliniarz dostaje w klatkę piersiową, strzelając jednocześnie z pistoletu.

Jego pocisk nieszkodliwie poszedł rykoszetem w sufit. Zanim zdążył ponownie wymierzyć broń, nieznajomy wpakował w niego kolejny pocisk.

I jeszcze jeden.

Posuwając się do przodu po każdym wystrzale, nieznajomy wypróżnił swój magazynek prosto w policjanta.

Konwulsje wstrząsały masakrowanym ciałem. Gdy kolejne pociski trafiały gliniarza, John widział nie krew, tylko odpryski chromu. Dźwięki wystrzałów rozbrzmiewały głośnym, odbijającym się echem.

I nagle głucha cisza.

John usiadł bez tchu. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w martwego mężczyznę na drugim końcu korytarza. Gliniarz leżał na plecach nie poruszając się.

Cień padł na Johna. To zbliżał się nieznajomy. Ale nie patrzył w jego stronę, tylko w koniec korytarza. John powoli odwrócił się i znieruchomiał. Uznał, że to znowu ten koszmarne sen.

Policjant podniósł się na nogi, tak jakby ktoś podstawił mu nogę, a nie wpakował w niego pięć pocisków. Dla Johna było to zupełnie bez sensu.

Ale nie dla Terminatora. Złapał Johna twardo za kurtkę i przyciągając do piersi zasłonił, gdy policjant otworzył ogień ze swojej beretty. Naciskał spust tak szybko, że wydawało się, iż strzela z broni maszynowej. Pociski kalibru 9 mm wbiły się w plecy Terminatora robiąc krwawe dziury w motocyklowej kurtce. Zaskoczony facet, który wynurzył się z bocznego

pokoju, został natychmiast ścięty przez kanonadę, gdy stanął na linii ognia.

Wtedy beretta trzasnęła głucho.

John spojrział na dół. Drżąc zdał sobie sprawę, że nie jest trafiony. Ciało tego szalonego faceta przyjęło na siebie całe to bombardowanie. Mimo to nie wydawało się, żeby odczuwał ból. John patrzył na jego krwawiące rany, gdy ten podniósł go jedną ręką i wepchnął do pokoju ze sprzętem elektrycznym. Odrzucił pustą strzelbę i zaczął iść w kierunku policjanta.

Gliniarz odrzucił pusty magazynek. Zaklekotał po podłodze. Płynnym ruchem włożył z trzaskiem następny.

Terminator miał jeszcze dwadzieścia stóp do przebycia. Nie przestał iść do celu zdecydowanymi krokami. Gliniarz otworzył ogień. Pociski cięły pierś cyborga, powodując miniaturowe gejzery krwi i tkanki. Terminator nawet nie drgnął. Jeszcze dziesięć stóp. BLAM BLAM BLAM BLAM!

Ani Terminator, ani gliniarz nie okazali najmniejszego wzruszenia, gdy pociski cięły kurtkę Terminatora na strzępy. Pistolet znowu się wystrzelał. Cyborg zatrzymał się dwie stopy przed gliniarzem. Górował nad swoim szczupłym umundurowanym przeciwnikiem. Popatrzył na niego tak, jakby miał go przełamać na połowy niczym zapałkę.

Błyskawicznie wykonał analizy i od razu wiedział, z kim się zmierzył. Ale, poza nazewnictwem i podstawowymi danymi operacyjnymi dotyczącymi silnych i słabszych punktów, nie miał zaprogramowanych zbyt wielu szczegółowych informacji. Zaprogramowane one zostały przez człowieka, który mógł korzystać tylko ze swojej własnej pamięci. Cyborg zaczął przeglądać możliwości taktyczne z prędkością tuzina na sekundę, ale żadna z nich nie okazywała się skuteczna.

Jedyną konkluzją, do której szybko doszedł, było stwierdzenie, że najlepszy jest atak.

Machnął ręką, próbując złapać gliniarza w swoje potężne ramiona, ale Austin wyrwał się do

tyłu z niespodziewaną siłą. John wyrzwał zza drzwi. Gapił się na dwóch walczących, gdy rzucali się nawzajem o ściany korytarza. Cienki tynk został zdarty. Mniejszy mężczyzna podniósł Terminatora, jakby ten był zabawką, i rzucił nim, rozbijając ścianę; a następnie skoczył za nim. John przysiadł z wrażenia. Jego mózg nie mógł znaleźć punktu odniesienia do tego, co się przed chwilą stało. Poczł kolejną dawkę adrenaliny. Poderwał się na nogi przypominając sobie, że ma biec. Ale nogi były jak z miękkiej gumy. Nieomal przewrócił się, lecz zaraz odzyskał sprawność, gdy usłyszał głuchoe odgłosy walki toczonej w oddali. Przyspieszył biegnąc w dół korytarza. Uderzył w drzwi i wypadł na parking.

Strażnik stał na parterze małego pasażu, przeglądając tłum w poszukiwaniu kogoś, kto wyglądałby jak podejrzany z fotografii pokazanej przez gliniarza, gdy usłyszał głośny trzask wysoko nad sobą. Pochodził z drugiego piętra. Deszcz rozbitego szkła poleciał w dół. Ludzie krzyczeli. Strażnik sięgnął po swój rewolwer kalibru 0,38 w niezdarnie przywieszzonej kaburze. Popatrzył w górę ponownie.

Nagle jakiś mężczyzna przeleciał przez metalowo-szklaną balustradę na drugim piętrze i wypadł z niezbornym przewrotem do tyłu, jak rzucona szmaciana lalka. Spadł niczym worek z mokrym cementem w krzyczący tłum.

Policjant Austin pojawił się przy balustradzie, odtrącając manekin sklepowy, który zaplątał mu się między nogami, i spojrzał w dół. Strażnik niepewnie opuścił broń, gdy zobaczył, że gliniarz gwałtownie odwraca się i znika mu z oczu.

Zdumieni klienci rozpierzchli się, robiąc przejście dla srogo wyglądającego policjanta, który, kierując się z powrotem przez stłuczone okno wystawowe, przyspieszał, przechodząc w zwierzęce susy. Przeprowadzał symulacje wektorowe trajektorii ucieczki celu, co dla ludzkiego umysłu było nic nie znaczącymi cyfrowymi kodami. Bo oczywiście "Austin" był tak daleki od człowieczeństwa, jak tylko można to sobie wyobrazić.

W ciągu sześciu sekund powrócił na korytarz dla obsługi i pobiegł w dół niczym niosąca zniszczenie człekokształtna lokomotywa. Biegąc jakby mimochodem ponownie załadował berettę.

Na parterze Terminator leżał całkowicie nieruchomo w odłamkach szkła. Mężczyzna, który robił zdjęcia swojej dziewczynie, ostrożnie podszedł z otwartymi ustami. Impulsywnie zrobił ciała zdjęcie. Wtedy oczy nieżywego mężczyzny nagle otworzyły się.

Człowiek z aparatem przetarł oczy, gdy Terminator usiadł i rozejrzał się dokoła. Jego wewnętrzne sensory wskazywały, że był nieprzytomny przez około cztery sekundy.

Spowodowane to było jednoczesnym, potężnym wstrząsem całego organizmu. Ale system ocenił straty i powrócił do stanu gotowości. Wszystkie serwomechanizmy działały poprawnie. Spokojnie podniósł się na nogi.

Aparat fotograficzny w ręku mężczyzny zadrżał i zaczął robić zdjęcie za zdjęciem, gdy właściciel bezwiednie przyciskał migawkę.

W tym czasie potężna sylwetka przepychała się przez zdumiony tłum. Terminator skierował się do schodów ruchomych, pokonując je w mgnieniu oka.

Obawiając się powolnego biegu schodów ruchomych, John biegł całą drogę po schodach, aż do poziomego garażu podziemnego, gdzie był zaparkowany jego motorower. Cały czas próbował zrozumieć tę nieprawdopodobną historię. Dlaczego gliniarz próbował go zabić? Kim u diabła był ten drugi facet? I, najważniejsze, jak to się stało, że żaden z nich nie zginął? Z rozrywającymi klatkę piersiową płucami dobiegł do swojej hondy i wtedy coś mu zaświtało w głowie. Coś, o czym mówiła mu matka. O ludziach, którzy tak łatwo nie giną.

Ale to było zbyt szalone.

Czy naprawdę?

John szaleńczo kopał rozrusznik. Bez skutku. Silnik nie chciał zaskoczyć. Ręce tak mu

się trzęsły, że nie mógł złapać za dźwignię. Dźwięk gwałtownych kroków kazał mu podnieść głowę. Spojrzał.

Gliniarz wyskoczył z klatki schodowej i biegł w jego stronę. Ciało Johna nagle się uspokoiło. Jeżeli nie ustawi dobrze dźwigni rozrusznika, to umrze. Opanowując drżące palce spróbował ponownie. Tym razem silnik zapalił. Gliniarz był tuż przy nim. John wrzucił bieg i skierował się do głównej hali garażu. We wstecznym lusterku widział biegnącego za nim mężczyznę, którego nogi poruszały się z nieprawdopodobną prędkością.

Otworzył przepustnicę i wystrzelił motorowerem z prędkością czterdziestu mil na godzinę, co przy tak ograniczonym polu manewru było bardzo ryzykowne.

Nieprawdopodobne, ale policjant się zbliżał! John wziął ostry zakręt i z przechyłem skręcił za tyłem zaparkowanego samochodu. Wjechał na podjazd i skierował się prosto na ruchliwą ulicę.

Gwałtownym zwrotem uniknął metalowej ściany sunącej ulicą. Potężna ciężarówka kenworth była zaprojektowana do ciągnięcia ogromnych ładunków. Jej koła weszły w poślizg, w ostatnim momencie unikając motoroweru.

Kierowca zaklął i nacisnął klakson.

- Pierdolony szalony punk - zamruczał, widząc jak motorower niebezpiecznie lawiruje pomiędzy zwalniającym sznurem pojazdów. - Gówniarza trzeba by rąbnąć raz lub dwa głową o chodnik, to by się nauczył zachowania na drodze.

Ale miało się wydarzyć coś jeszcze gorszego...

Nagle rozległo się głośne uderzenie. Kierowca wyjrzał i zobaczył gliniarza, czepiającego się otwartej szyby. Gwałtownie szarpnął za drzwi i chwycił zdziwionego kierowcę za gardło, wyrzucając z pędzącej ciężarówki tak, jakby ten był papierowym kubkiem. Głowa kierowcy podskoczyła kilka razy, gdy toczył się na chodnik po przeciwnej stronie ulicy.



Hamulce zapisały, samochody raptownie zatrzymały się wokół niego. Oszołomiony usiadł, patrząc jak gliniarz nie tracąc chwili wskakuje na jego miejsce. *Jakaś pierdolona akcja policyjna*, pomyślał, dotykając pulsującej głowy. Kiedy próbował wyczołgać się z ulicy, ludzie zaczęli wysiadać z samochodów, żeby mu pomóc. Patrzył, jak jeden biegnie do niego.

- Czuję się dobrze - powiedział, mając nadzieję, że tak jest naprawdę.

Nagle wszyscy gapie rozprysnęli się i kierowca zobaczył mężczyznę na wielkim motorze, jadącego prosto na niego. Nie zwalniał. Właściwie dodawał gazu. Kierowca spróbował podnieść się na nogi, ale odmawiały mu posłuszeństwa. Motor był tuż, tuż.

Mężczyzna jechał niesamowicie szybko. Wśród nieomal zatrzymanych pojazdów, pędził szaleńczo w kierunku skradzionej ciężarówki.

John zobaczył w tylnym lusterku, jak szalony gliniarz wyrzuca kierowcę na chodnik.

Zakręcił za hamującym jeepem i znowu się obejrzał. Gliniarz był teraz za kierownicą potężnego ciągnika siodłowego i pędził za nim rozbijając się po drodze jak pijany dinozaur, uderzając w jeden samochód i spychając go na małe drzewo na poboczu, inny odrzucając bokiem na jadące samochody. Właśnie wrzucił wyższy bieg i z rykiem dodał gazu.

Ciężarówka była już tylko o dwie długości od motoroweru. John zobaczył zbliżające się skrzyżowanie i pomagając sobie obcasem wykręcił tuż przed jadącym kombi. Wypruł w boczną ulicę.

Nie musiał patrzeć w lusterko, żeby zobaczyć, że gliniarz ciągle jedzie za nim. Usłyszał pisk hamulców i trzask metalu walącego w metal. Ale było jakieś wyjście. Miejsce, gdzie ten koszmar nie mógłby za nim podążyć. Znana Johnowi mała uliczka.

Zredukował bieg i zjechał motorowerem wzdłuż rampy do kanału powodziowego.

Czując, że koła tracą przyczepność, podparł się nogami, aby zapobiec poślizgowi.

Pochylił się nad kierownicą i dodał gazu. Mała honda wystrzeliła z rampy na zwilżone

dno kanału i popędziła w kierunku węższej odnogi dopływowej, która miała pionowe ściany.

Teraz nikt nie mógł go zobaczyć z drogi. Był dokładnie na trasie do domu. Jeżeli gliniarz nie miał jego numerów, rejestracyjnych, to w domu będzie wolny.

Wstrzymując oddech zwolnił i odważył się spojrzeć za siebie.

Ani śladu pościgu.

Z wyjątkiem...

*Nie, nie, nie!*, pomyślał John, kiedy zobaczył jak potężny cień zasłania słońce.

Holownicza ciężarówka, ogromna jak dom, cała pochromowana, z ryczącym silnikiem Diesla, zgniotła ogrodzenie, rozrzucając betonowe cegły na wszystkie strony. Wleciała prosto w środek kanału.

Wyglądało to przez chwilę tak, jakby miała unieść się w powietrze. Ale siła ciężkości zwyciężyła i ciężarówka spadła z trzaskiem na dół, na stertę śmieci. Zahaczając o nią uderzyła przodem i podskoczyła, ale nadal jechała około pięćdziesiątką. Przez chwilę koła były skrzycone i rąbnęła w betonową ścianę ze strasznym zgrzytem metalu, ale odbiła się z powrotem, rycząc jak postrzelony stegosaurus. I dalej pręła do przodu nabierając prędkości.

Prosto na Johna.

Chłopiec odkręcił przepustnicę do końca, wyciskając każdą kroplę energii, jaką miał silnik 125 cm<sup>3</sup>. Ciężarówka kenworth pędziła kanałem jak pociąg w tunelu. Jej wielkie koła rozpryskiwały fontanny błota podświetlane zachodzącym słońcem. Wyglądała jak głodny demon szukający duszy. John czuł, jak się skrada. Widział, jak kanał w jego wstecznym lusterku skraca się, pochłaniany przez wyłaniającą się ciężarówkę. Mógłby chyba sięgnąć i dotknąć jej chłodnicy. Niestety, nie można było już bardziej odkręcić gazu. Obrotomierz hondy był już niemal na czerwonym polu. Motorower robił sześćdziesiąt cztery mile na godzinę, przelatując przez kałuże wody i przecinając małe kupki śmieci.

A ciężarówka nadal się zbliżała.

John był zbyt zajęty trzymaniem się jak najdalej od ciężarówki, żeby móc zauważyć, na równoległe biegnącej powyżej drodze technicznej, niedaleko z tyłu ryczącego harley'a.

To Terminator próbował ich wyprzedzić. Cyborg zobaczył Johna i piekielną ciężarówkę tylko około dwudziestu stóp przed sobą, wyciągnął spod swojej skórzanej kurtki strzelbę. Wycelował jedną ręką i wypalił. Strzał trafił w pochromowaną rurę wydechową, niedaleko od strony kierowcy. Gliniarz nie odwrócił się. Jego oczy były utkwione w małym celu przed nim, w kanale.

John uderzył w zbiornik wody. Zarzuciło nim. Stracił prędkość. Masywny, przedni zderzak ciężarówki rąbnął w jego błotnik. Tylne koło nieomal zablokowało się. Dieslowski silnik ciężarówki wył w jego uszach, a zderzak ponownie zaczął się zbliżać do tylnego koła hondy. Terminator wycelował i wypalił znowu, ale nierówny żwir i zanieczyszczona powierzchnia sprawiły, że jego ramię odchyliło się o pół milimetra. To wystarczyło, żeby minąć cel tak bardzo, iż strzał wyrwał kawałek z betonowej ściany za ciężarówką. Cyborg stwierdził, że w tych warunkach nie zdoła ukończyć zadania.

Zmienił więc warunki.

Skręcił ostro motorem i uderzył w wał ziemny z prawej strony. Motor wyfrunął w powietrze, przelatując nad ogrodzeniem otaczającym kanał. Potężny harley był chyba jednym z mniej aerodynamicznych pojazdów, ale cyborg gwałtownie zmieniał pozycję, w zależności od działania siły ciężkości. Siedemsetfuntowa maszyna wyfrunęła w przestrzeń i zleciała piętnaście stóp w dół kanału. Uderzyła twardo. Snop iskier wyleciał spod ramy. Tylko superszybkie odruchy mogły uratować maszynę od przewrócenia się. Terminator walczył o opanowanie maszyny.

I wygrał.

Szarpnął za manetkę gazu i potężny motor przeleciał pomiędzy ścianą i ciężarówką, mijając je o centymetry i z rykiem dochodząc niewielką hondę.

John rozejrzał się i zobaczył, jak harley zrównuje się z nim. Wielka ręka sięgnęła i zmiotła go z motoroweru. Przez sekundę zwisał z jednej, niezwykle wielkiej dłoni. Pod nim przelatowała ziemia, honda nadal jechała prosto, a ciężarówka zbliżała się...

Terminator przerzucił Johna na harley'a przed siebie. Honda zakręciła się i przewróciła, roztrzaskując błyskawicznie pod grzmiącymi kołami kenwortha.

Potężny silnik harley'a dostał maksimum przyspieszenia i wypruł do przodu, dochodząc do osiemdziesięciu mil na godzinę w ciągu trzech sekund. Ciężarówka zaczęła zostawać w tyle. Przed nimi wyrósł wiadukt, podparty filarem dzielącym kanał na dwie połowy. Harley wleciał z rykiem w jeden ze stosunkowo krótkich tuneli.

Policjant Austin błyskawicznie obliczył, że ciężarówka nie zmieści się z żadnej strony, a jej masa i prędkość nie pozwalały zatrzymać się w porę. Jednakże można było zmniejszyć straty.

Koła zostały zablokowane i pośliznęły się po błotnistym betonie, wbijając w filar z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Beton i stal zwały się i z ich namiętnego uścisku buchnął wstrząsający ziemią orgazm. Kabina ciężarówki wpadła na filar o kilka stóp wcześniej niż cała reszta, która zgmiotła ją jak kartonowe pudełko. Paliwo wytrysnęło z przedziurawionego baku. Urwany kabel biegnący od akumulatora wpadł w kałużę i wtedy...

Harley wynurzył się z tunelu, a za nim wybuchła kula ognia, gdy eksplodowały boczne zbiorniki paliwa ciężarówki.

Terminator z poślizgiem zatrzymał motor. John wychylił się zza niego, żeby zobaczyć zniszczenie. W tunelu był ognisty piec.

Jednak coś się tam ruszało. I to poruszało się w ich stronę.

Nieznajomy sięgnął po broń i zaczął mierzyć, ale potem zawahał się. Płonące koło wytoczyło się z tunelu, podskakując komicznie w kałużach błota. John zobaczył fale ognia zalewające ciężarówkę i wysyłające w powietrze kłęby dymu. Nikt nie mógł wyjść z tego piekła. Terminator okręcił motor i pomknęli kanałem znikając za zakrętem.

Z kipiących płomieni ognia w tunelu wyszło coś przypominającego żywą istotę, O tyle “żywą”, o ile jest nią jakakolwiek postać w blasku migocących płomieni. Tylko zarys. Szedł wolno... spokojnie.

Jego gładka, pochromowana powierzchnia odbijała szalejący za nim pożar. Wyglądał jak płynny metal wlany do ludzkiej formy. Jego stawy nie zginały się, lecz przepływały. W środku nie było serwomechanizmu, jak u Terminatora, z zestawem kabli i hydrauliki. Jego twarz była prosta, nieuformowana, pozbawiona rysów. Ignorując tysiącstopniowe gorąco wyszedł z tunelu. Z każdym krokiem zaczęły wracać szczegóły. Najpierw pojawiły się na płynnej, chromowej powierzchni linie i kształt ubrania, a następnie mniejsze szczegóły... guziki, odznaka, rysy twarzy, uszy... Ale to nadal był metal. Jak rtęć. Człowiek z rtęci.

Po jego ostatnim kroku powrócił kolor. Był to znowu policjant Austin. Przystojna młoda twarz, chłodne oczy. Jego oczy skierowały się na kanał przed nim, tam gdzie zniknął cel. On nie miał mózgu na układach scalonych. To było coś zupełnie nowego. Nowy poziom sztucznej inteligencji. Molekularny mózg działał, tak jak reszta organizmu, w płynie. A teraz bulgotał, rozważając możliwe rozwiązania. Wszystkie śmiertelne.

Odległy dźwięk zbliżających się syren dotarł do jego czujników dźwiękowych, które mogły być rozmieszczone gdziekolwiek na ciele, ponieważ każda molekula posiadała wszystkie “genetyczne” wzory potrzebne do tego, lecz teraz były w tym kształcie, który u człowieka mają uszy.

Wydostał się z kanału w kłębach duszącego dymu, gdy nadjechało kilka wozów

patrolowych. Policjant wyskoczył i rozepchnął zdziwiony tłum gromadzących się gapiów, kierując się do pierwszego z wozów strażackich, które zdążyły już nadjechać. Jeden z policjantów odpychających tłum miał przystojną młodą twarz i chłodne oczy. Zawsze na miejscu przemocy i katastrof była policja. Wybrana przez człowieka z metalu postać mimikry była najoczywiściej doskonała. Doskonała, ponieważ był tu po to, aby ochraniać i służyć. Ochraniać i służyć Skynetowi.

Wóz strażacki zajęczał i strażacy wyskoczyli ciągnąc gumowe węże. "Policjant Austin" przeszedł między innymi gliniarzami niezauważony i wsiadł do jednego z wozów patrolowych. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Zapalił silnik i odjechał, aby zakończyć swoją misję.

# Objawienie

STUDIO CITY, CALIFORNIA

6:45 po południu

Terminator z Johnem przed sobą z łoskotem przeleciał przez pustą podmiejską ulicę, poruszając się jedną z okrężnych dróg zaplanowanych przez siebie wcześniej. Johnem nadal wstrząsało na wspomnienie tego, co się wydarzyło. W tej chwili był małym, dorastającym dzieckiem. Ale także czymś więcej.

Był Johnem Connorem.

Konstrukcja genetyczna oraz wrodzony spryt pozwalały mu zrozumieć te fakty tak, jak żadne dziecko by nie było w stanie. Co nie znaczy, że było to proste. Wymagało to zaakceptowania czegoś tak nienormalnego, że aż skóra mu cierpła na samo wspomnienie. Ale John miał szacunek dla faktów. A z jednym z nich teraz jechał.

John zadarł głowę do góry, popatrzył na osobę-rzecz, z którą jechał i powiedział:

- Stop... czas minął. Zatrzymaj motor!

Terminator natychmiast dostosował się, dając motorowi toczyć się na luzie. Skierowali się do pobliskiej alejki i zatrzymali. John ześliznął się z baku, ciągle na niepewnych nogach.

Terminator niewzruszenie wpatrywał się w niego. John przyjrzał mu się uważnie, miał cholerne dziury po kulach na plecach. Niesamowite. Ale widocznie musi tak być.

- Dobra, nie zrozum mnie źle, ale jesteś Terminatorem, prawda?

Mężczyzna odpowiedział spokojnym, neutralnym tonem:

- Tak. System Cyberdyne, Model 101. Seria 800.

- Niemożliwe! - wyrwało się Johnowi, choć był już przekonany.

Jednak dotknął skóry Terminatora. Była ciepła, ale jakaś... inna. Poza tym, krew na jego kurtce. Wyglądała bardzo prawdziwie. Jego umysł był przeładowany tym, co się stało.

- O, kurwa... ty jesteś naprawdę prawdziwy! To znaczy... o rany! Ty jesteś... pod spodem maszyną, prawda..., a czymś żywym na zewnątrz?

Cyborg odpowiedział, jakby czytał instrukcję obsługi:

- Jestem organizmem cybernetycznym. Żywa tkanka na metalowym endoszkielecie.

- To wielkie. Trzymaj się, John. OK, hm... Nie jesteś tu po to, żeby mnie zabić... tego się sam domyślam. Więc w czym rzecz?

- Moim zadaniem jest chronić ciebie.

- Tak? Naprawdę niesamowite.

Ale John był wyćwiczonym paranoikiem. Korzystając z tego zapytał:

- Kto cię przysłał?

Jeżeli na to odpowie, to zaoszczędzą sobie dużo czasu.

- Ty sam. Trzydzieści pięć lat później zaprogramowałeś mnie, żebym był twoją ochroną teraz. John nieomal zgubił spodnie.

- Coś w tym jest.

Terminator rozejrzał się i zdecydował, że są za długo w jednym miejscu.

Zaproponował, żeby się ruszyli.

Kilka minut później przemykali bocznymi uliczkami, gubiąc się w wieczornym ruchu ulicznym. W nadchodzących ciemnościach rany Terminatora nie były już tak widoczne. John odchylił głowę do tyłu:

- A ten drugi facet? On jest takim samym Terminatorem jak ty?

- Nie takim jak ja. T-1000. Nowszy prototyp. Mimetic potyalloy.

- Co to znaczy?

- Płynny metal.

- Super - powiedział John.



- Jesteś celem do eliminacji. T-1000 nie zatrzyma się, dopóki nie ukończy swojego zadania. Nigdy.

To zabrzmiało wspaniale i znajomie. Ale John nie pozwolił sobie teraz o tym myśleć.

Skręcali w Ventura Boulevard i ruch robił się coraz gęstszy, gdyż randkownicze szukali restauracji przy ulicach.

- Dokąd jedziemy?

- Musimy natychmiast opuścić miasto i unikać władz.

- Czy możemy zatrzymać się przy moim domu?

- Absolutnie nie. T-1000 z pewnością będzie chciał przechwycić cię tam.

- Jesteś pewien?

Terminator popatrzył na niego zza ciemnych okularów wzrokiem zupełnie bez wyrazu i powiedział:

- Ja bym tak zrobił.

John nagle coś sobie przypomniał i krzyknął:

- Musimy się dostać do budki telefonicznej!

Terminator zobaczył jedną o przecznicę dalej i przyspieszając podjechał do niej. John zeskoczył z motoru i podbiegł do budki. Szybko przeszukał swoje kieszenie w poszukiwaniu drobnych, ale wyciągnął tylko zwitek dwudziestek, żadnych monet. *Gówno!* Zwrócił się do

Terminatora:

- Słuchaj, Todd i Janelle to dudki, ale muszę ich ostrzec. Masz dwadzieścia pięć centów?

Terminator zsiadł z motoru i podszedł do niego. Uderzył dłonią w kasetę na pieniądze pod telefonem. Z rozbitej pokrywy wyleciał strumień monet. Terminator podał dwudziestopięciocentówkę Johnowi.

- Dziękuję - powiedział John i wykręcił numer.

Około siedmiu mil dalej Janelle Voight podniosła telefon w kuchni przycisnęła do ucha, dalej mieszając warzywa.

- Hallo? - powiedziała słodko.

- Janelle? To ja! - usłyszała w słuchawce. Na podwórzu owczarek niemiecki wariował, szczekając z jakiegoś powodu.

- John? Gdzie jesteś, kochanie? Już późno! Powinieneś być w domu, kochanie. Robię potrawkę!

John prawie jej nie słyszał z powodu jazgotu, który robił pies. Ale mimo to wyczuł, że coś nie było w porządku. Zakrył mikrofon dłonią i szepnął do Terminatora:

- Coś tu nie gra. Ona nigdy nie jest taka miła.

Todd wszedł do kuchni z korytarza, zaspany. Spał w sypialni, dopóki szczekanie psa go nie obudziło. Minął Janelle, ignorując ją jak zwykle, i zaczął grzebać w lodówce.

- Cholera, nie ma piwa - powiedział do nikogo w szczególności.

Znalazł wypełniony do połowy karton mleka. Niechętnie łyknął i wychylił się na podwórko. Pies biegał tam i z powrotem za swoim płotem, dławiąc się szczekaniem.

- Dlaczego, do diabła, ten cholerny pies tak szczeka? Zamknij się, ty kundlu!

Wychodząc z kuchni przeszedł koło Janelle. Janelle spokojnie przerzuciła słuchawkę na drugą stronę i wyciągnęła rękę. Jej ramię zaczęło się zlewać w płynny metal, a potem stwardniało w błyszczące ostrze. Todd popatrzył na to z niedowierzaniem. Właśnie miał się uśmiechnąć, myśląc, że to jest jakiś niesamowity dowcip, kiedy metalowe ostrze przeszło karton mleka w jego rękę, potem gardło i tył mózgu z ostrym, świszczącym dźwiękiem.

W budce telefonicznej John przykrył słuchawkę, mówiąc do Terminatora:

- Ten pies naprawdę okropnie szczeka. Moja mama mówiła, że psy mogą rozpoznać

Terminatorów. Co mam robić?

Terminator wziął słuchawkę z ręki Johna i słuchał, jak Janelle mówi:

- John! John! Jesteś tam?

Terminator doskonale naśladowując głos chłopaka, odpowiedział:

- Tak, jestem tutaj, czuję się dobrze.

Potem odwrócił się do Johna i szepnął:

- Jak się pies wabi?

- Maks.

Terminator kiwnął głową i powiedział do słuchawki:

- Hej, Janelle, co się dzieje z Wolfy'm? Słyszę, jak szczeka. Czy z nim wszystko dobrze?

Odpowiedź padła bez namysłu:

- Wolfy ma się dobrze, kochanie. Gdzie jesteś?

Terminator bezceremonialnie odwiesił słuchawkę. John cały zamarł w oczekiwaniu.

Cyborg powiedział, jakby podając prognozę pogody:

- Twoi przybrani rodzice nie żyją. Jedźmy.

Poszedł w stronę motoru, a zszokowany John powlókł się za nim.

W kuchni Voight'ów Janelle powiesiła słuchawkę. Wyraz jej twarzy był spokojny i

obojętny, gdy patrzyła na męża przygwożdżonego do kuchennej szafki ostrzem kończącym jej metalowe ramię. Gwałtownie cofnęła ostrze. Todd stał przez chwilę, zanim nie upadł w kałużę krwi zmieszanej z mlekiem. Ostrze łagodnie zmieniło kształt i kolor, zmieniając się w rękę. Za

tym podążyła reszta Janelle, przetapiając T-1000 w policjanta Austina. Miał jeszcze dużo pracy do zrobienia. Potrzebował więcej czasu, ale pies zwracał na siebie zbyt dużą uwagę. T-1000

zbliżył się do wybiegu psa, który skulił się szczekając teraz ze strachu. Gliniarz otworzył

bramkę i wszedł na wybieg. Zwierzę cofnęło się w ciemniejszy kąt, me mogąc zrozumieć, czym jest ta rzecz przed nim stojąca. Gwałtownym, zbyt szybkim do wychwycenia przez owczarka ruchem T-1000 pochylił się w dół, zamieniając palec w ostrze. Niedbale wbił go w szyję psa. Podniósł się, oglądając zakrwawioną obrożę. Przeczytał napis: "MAX". Uświadomił sobie, że dał się nabrać. Rzucił obrożę i skierował się do domu.

Parking za stacją benzynową leżał przy cichej uliczce. Harley zatrzymał się w takiej odległości, żeby nie wchodzić w snop światła, rzucany przez silną sodową latarnię uliczną. Terminator był zdecydowany zatrzymać się dla omówienia spraw dalszej strategii najwyżej kilka minut. Teraz stał obok motocykla obserwując beznamiętnym wzrokiem chodzącego za nim Johna. Mózg chłopca potrzebował przerwy.

- Potrzebuję minuty na zastanowienie się, OK? Mówisz, że to może imitować wszystko, czego się dotknie?

- Wszystko, co osiągnie poprzez kontakt fizyczny - bezbarwnym głosem odpowiedział Terminator.

John zastanowił się przez moment nad parametrami ich przeciwnika:

- Czyli może się przebrać za cokolwiek... paczkę papierosów?

- Nie, tylko przedmioty o równej masie.

Ta odrobina informacji nie wystarczyła. John nadal był pod wrażeniem spotkania pierwszego Terminatora, który obecnie wydawał się zupełnie konwencjonalny przy nowym, egzotycznym modelu.

- Dlaczego on nie stanie się bombą, lub czymś w tym rodzaju, żeby mnie dopaść.

Terminator odpowiedział bez emocji, aczkolwiek jakby z minimalną nutką zawodowej zazdrości:

- On nie może tworzyć wiernych kopii skomplikowanych maszyn. Broń i środki

wybuchowe posiadają w sobie materiały chemiczne i ruchome części. On nie działa w ten sposób. Ale może przybierać różne metalowe kształty.

T-1000 przeszedł przez ciemny przedpokój mijając łazienkę. Nogi prawdziwej Janelle wystawały zza na wpół otwartych drzwi. Z prysznicza leciała woda. Krew Janelle mieszała się z nią na białych kafelkach posadzki.

Skierował się do pokoju Johna i rozpoczął metodyczne poszukiwania w ciemności. Nie potrzebował światła. Dotknięciem potrafił wyczuwać molekularną budowę przedmiotów.

Spokojnie i bez emocji przebiegał palcami po powierzchniach przedmiotów w pokoju. Kiedy dotykał biurka, jego palce w sposób płynny robiły się ciemnobrązowe; gdy przechodziły obok sterty papierów - stawały się białe. Czegokolwiek by dotknęły, od razu zaczynały naśladować.

T-1000 zatrzymał się na chwilę nad małym komputerem firmy Tandy, pozwalając żeby dane z dysku wpłynęły do jego ręki. Nazwiska. Daty. Gry video. Rozkład zajęć. Jeżeli chciał, mógł bezpośrednio odczytywać dane zapisane w postaci plusów i minusów. Nie było tu żadnych informacji, które mogłyby być przydatne, ale mimo to zostały wprowadzone do jego płynnej pamięci.

Kiedy przesuwał ręką koło plakatu Wroga Publicznego, zatrzymał się. Ale nie chodziło o to, co było na plakacie, lecz o to, co pod nim. Zdarł plakat i zobaczył małe wgłębienie, nierówno wycięte w ścianie. Było tam pogniecione pudełko pełne kaset magnetofonowych.

Przeleciał wzrokiem po etykietach. Były oznaczone "Wiadomości od mamy" i ponumerowane. Była również koperta z trzema złożonymi listami i blisko tuzinem fotografii. Zaczął oglądać te ostatnie.

Sara w oliwkowej kurtce komandosa, z granatnikiem RPG, ucząca Johna celowania.

Sara z grupą wojskowo wyglądających Gwatemalczyków, stojąca obok skrzynki z ostrymi pociskami.

John i Sara w obozie contras, głęboko w górach.

Obrazy te nie miały żadnego emocjonalnego znaczenia dla T-1000, ponieważ jego konstrukcja zakładała, nawet w porównaniu z komputerem, mniejszą ilość uczuć. Ale dla Johna i Sary były to kamienie milowe ich wzajemnych emocjonalnych stosunków na przestrzeni minionych lat, kiedy żyli w biegu, ukrywając się.

Piętnaście mil dalej zatopiony w myślach John siedział na rdzewiejącym samochodzie.

Terminator stał nad nim, obserwując ulicę jak pies obronny. Kiedy John mówił. Terminator słuchał, niepewny, czy słowa te mają znaczenie taktyczne, ale słuchał ich, jakby je miały.

- Spędziliśmy wiele czasu w Nikaragui... w różnych takich miejscach. W tym czasie była z takim szalonym byłym żołnierzem "zielonych beretów", przemycając broń. Potem było jeszcze kilku innych facetów. - to co następnie powiedział, zawierało pewną nutkę goryczy: - Ona bratała się z każdym, od kogo mogła się uczyć. Więc potem mogła uczyć mnie, jak być wojskowym przywódcą. Potem ją dorwali i to było tak: *Wiesz, chłopcze, twoja matka jest psychiczna, nie wiedziałeś? A, myślałeś, że wszystkie matki się tak zachowują?* To było jakby... wszystko, w co nauczono mnie wierzyć, było jak gówno.

Raptem John poczuł złość, wypływającą z miejsca, gdzie zawsze udało się ją ukrywać.

Głęboko, pod sercem.

- Nienawidziłem jej za to! - powiedział cicho. Potem popatrzył na potężnego "człowieka" i złość zamieniła się w wstyd. Powiedział:

- Ale wszystko, co powiedziała, było prawdą.

Łzy napłynęły mu do oczu. Wydarzenia całego dnia spłynęły po nim, ale jednocześnie cały dotychczasowy świat, w którym żył, przewrócił się do góry nogami. To nie jego matka była szalona, lecz świat! Dowód stał obok niego wypatrując nieprzyjaciela. I wtedy John zdał sobie sprawę, że nie tylko świat, ale i on sam mylił się co do Sary Connor. Ona miała rację.

Rację!

Nie było czasu, by o tym myśleć, ani to przeżywać. Jeżeli wszystko, co matka mu powiedziała, było prawdą...

John porwał się na nogi. Gdyby ktoś stał obok niego, wyczułby tę iskrę, która z niego przywódcę ludzi.

- Musimy ją stamtąd wydostać!

Cyborg odpowiedział bez wahania:

- Błąd. Największym prawdopodobieństwem sukcesu dla T-1000 byłoby wcielenie się w Sarę Connor i czekanie, aż się z nią skontaktujesz.

- Cholera! A co się z nią stanie?

Odpowiedź Terminatora brzmiała jak zwykle rzeczowo:

- Zwykle przedmiot w który się wciela, jest likwidowany.

- LIKWIDOWANY?! O, cholera, dlaczego mi nie powiedziałeś? Musimy tam iść!

- Błąd. Ona nie jest podstawowym celem misji.

- Tak? To odpieprz się! Dla mnie ona jest najważniejsza!

John odwrócił się i odszedł. Terminator poszedł za nim i złapał go za ramię. John nie mógł uwolnić się z potężnego uścisku cyborga.

- Kurwa, o co ci chodzi?! - krzyknął wściekle.

Terminator zaczął ciągnąć go z powrotem, w kierunku motoru. Chłopiec spostrzegł dwóch doskonale zbudowanych facetów po drugiej stronie ulicy i zaczął krzyczeć:

- RATUNKU! RATUNKU! Jestem porwany! Zabierzcie tego wariata ode mnie!

Tych dwóch popatrzyło na siebie, uśmiechając się. *Głupi natręt Załatwmy to.* Ruszyli do niego przez ulicę, gotowi odegrać bohaterów. John krzyknął z całych sił do Terminatora:

- Odwal się ode mnie!

Ku jego zdziwieniu ręka Terminatora puściła go tak szybko, że upadł na ziemię.

Zdziwiony popatrzył na niego.

- O, czemu to zrobiłeś?

- Ponieważ mi kazałeś - odpowiedział cyborg. John otworzył oczy ze zdziwienia, ponieważ zdał sobie sprawę, że...

- Czy ty musisz robić to, co ci karzę?

- Jest to jeden z warunków mojego zadania.

- Udowodnij to... stań na jednej nodze.

Terminator spokojnie zrobił to. John wyszczerzył zęby w uśmiechu, myśląc, że jest pierwszym, który posiada... Było to tak niesamowite, że musiał powiedzieć to głośno:

- Cholera, mój własny Terminator!

Dwóch typków podeszło i popatrzyło na ogromnego faceta w czarnej skórze i ciemnych okularach, który stał spokojnie z podniesioną do góry nogą. Jeden z nich zwrócił się do Johna:

- Co, mały, wszystko w porządku?

John zdał sobie sprawę, że nie potrzebuje pomocy:

- Zjeżdżaj, głupku!

*Pierdolona wdzięczność*, pomyślał sobie typek.

- Tak, ty pieprzony gnojku?

- Gnojek? Powiedziałaś *gnojek*? - krzyknął John, potem zwrócił się do cyborga i powiedział:

- Złap tego faceta.

Terminator natychmiast posłuchał, podnosząc go do góry. Nogi faceta machały w powietrzu.

- No, kto teraz jest gnojkiem, palancie?



Nagle sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Przyjaciel faceta wskoczył za Terminatora i próbował złapać go w nelsona. Ale cyborg przerzucił go na maskę samochodu, wyciągał swoją czterdzistkę piątkę i skierował muszkę na czoło faceta. Kiedy pociągnął za spust John instynktownie szarpnął go za ramię. Waga Johna była ledwie wystarczająca, aby odchylić lufę o kilka cali.

Facet znieruchomiał, ogłuszony wystrzałem i pociskiem przelatującym tuż koło jego ucha. Otworzył szeroko oczy, tak przerażony, że nawet nie zauważył, że się zmoczył. John krzyknął do Terminatora:

- Odłóż to! NATYCHMIAST!

Biorąc to dosłownie, Terminator odłożył czterdziesiątkę piątkę na bruk. John porwał ją szybko i powiedział do facetów, którzy przyglądali się z niedowierzaniem:

- Odejdźcie!

Zrobili to bardzo szybko.

John chwycił Terminatora za ramię i pociągnął w kierunku motoru. Nadal trzymał broń nie chcąc jej oddać.

- Jezu, ty chciałeś zabić tego faceta!

- Oczywiście, jestem Terminatorem!

John popatrzył na jego nieruchomą twarz. Posiadanie własnego Terminatora wydawało mu się teraz mniej zabawne.

- Posłuchaj mnie uważnie! Już nie jesteś Terminatorem, zrozumiałeś? Nie możesz po prostu chodzić sobie i zabijać ludzi!

- Dlaczego?

- Co do cholery znaczy *dlatego*? Po prostu nie możesz!

- Dlaczego?

- Po prostu nie możesz. Jasne? Zaufaj mi.

Terminator nie mógł tego pojąć. Miał zakodowane polecenie: zniszczyć cokolwiek lub kogokolwiek, kto zagroziłby życiu Johna Connora. Miał również zakodowane polecenie wyższej rangi, które nie pozwalało mu nie odpowiedzieć na atak skierowany przeciwko niemu samemu. Do tego jeszcze miał polecenie podporządkowania się Johnowi Connorowi. Próbował pogodzić to wszystko ze sobą, ale miał problem z pojęciem zaufania. Miał definicję tego słowa w swoim wewnętrznym słowniku, ale nawet w tym kontekście wydawało mu się to paradoksalne. Maszyny, nawet te posiadające sztuczną inteligencję, przypominającą głębią i rozległością ludzki umysł, nie lubią paradoksów.

John popatrzył na wielkiego cyborga i nagle zdał sobie sprawę z odpowiedzialności, która przychodzi razem z siłą. Ta rzecz była jak własny rewolwer i teraz musiał uważać na to, co mówi. Jeśli miał dostać się do swojej matki przed innymi, musiał mieć tę fantastyczną broń, a z drugiej strony nie miał czasu na teoretyczne dywagacje.

- Słuchaj, chcę dostać się do swojej matki. Rozkazuję ci iść ze mną.

I odszedł. Terminator włożył swoją broń za pasek i poszedł za chłopcem w kierunku harley'a. Musiał się podporządkować.

W domu Voightów, w sypialni Johna, T-1000 czytał, ostatni z listów Sary. Przeczytał adres zwrotny na kopercie: PACJENT NR 82, ODZIAŁ ZAMKNIĘTY, SZPITAL STANOWY W PESCADERO, i datę sprzed dwóch tygodni. Szybko wywnioskował, że jego główny cel może tam pójść. Po kilku chwilach jechał ulicą za miasto, w kierunku swojego celu numer 2.

1 "Terminator" to po angielsku "wykańczacz", tu w rozumieniu "likwidator"

**Ośrodek mocy**

SZPITAL STANOWY W PESCADERO

10:45 wieczorem

Czarno-biała fotografia była koszmarem z przeszłości: fotos z kamery nadzorującej, na którym widać było zamazane kształty policjantów, znieruchomiałych w zapalonych światłach alarmowych płonącego korytarza. Ciemno ubrana postać stała w jego końcu. Miała krótko ostrzyżone włosy i ciemne okulary. Karabin szturmowy AR-180 w jednej i strzelba - dwunastka w drugiej ręce, trzymane jak pistolety-zabawki. Druga fotografia była rzucona na pierwszą - ten sam punkt widzenia, chwilę później; ukazywała ciemną postać stojącą bardzo blisko kamery nadzorującej.

Detektyw Weatherby wpatrywał się w zdjęcia zmęczonymi oczami. To był beznadziejny przypadek. Cała nocna zmiana policjantów zabita lub ranna. Przez jednego człowieka. Nigdy go nie znaleziono. Weatherby stracił tamtej nocy przyjaciela. Nie zajmował się jednak tym przypadkiem z osobistych powodów. Był tu, żeby zatrzymać zabójcę policjantów. I, żeby to zrobić, musiał polegać na z pewnością kruchej pamięci tej biednej kobiety.

Popatrzył na Sarę Connor i powiedział:

- Te zdjęcia zostały zrobione na posterunku policji w Rampart Division West Highland w 1984. Pani tam była.

Byli w tym samym pokoju przesłuchań, z którego Sara została wywleczona kilka godzin temu. Popatrzyła na stos fotografii. Weatherby cisnął je na stół przed Sara. Popatrzyła na detektywa. Nie była to miła twarz, ale nie była też szczególnie okrutna. Wykonywał po prostu swoją pracę. Jego partner, detektyw Mossberg, skromny mężczyzna w niedopasowanym ubraniu i z brzydkimi zębami, usiadł naprzeciwko. Obok nich siedział czujny dr Silberman, próbujący bezskutecznie zamaskować swoje zdenerwowanie.

Dwóch umundurowanych policjantów stało przy drzwiach, po bokach Douglasa, który

nawet nie próbował ukryć irytacji. Sara wpatrywała się apatycznie w fotografię na wierzchu.

- Zabił siedemnastu policjantów tamtej nocy. Rozpoznaje go pani?

Weatherby rzucił na stół kolejną czarno-białą fotografię formatu osiem na dziesięć.

Zbliżenie zakrwawionego Terminatora podnoszącego się ze stosu szkła, otoczonego przez zdziwiony tłum. Miał, oczywiście, tę samą twarz.

- Ta fotografia zrobiona została w centrum handlowym w dolinie. Dziś.

Sara nic nie powiedziała. Nawet się nie poruszyła. Patrzyła po prostu na fotografię i oddychała głęboko. Na zewnątrz wyglądała jak zwykła, oszołomiona narkotykami pacjentka szpitala psychiatrycznego. Wewnątrz wyęczała się, aby zachować kontrolę nad twarzą i nie pokazać olbrzymiego pragnienia, żeby przewrócić stół, prosto w twarz Silbermana, potem przedrzeć się przez Douglasa i policjantów przy drzwiach, przebiec przez hali i wystrzelić przez drzwi na parking, wskoczyć do samochodu...

Ale to nie mogło stać się w taki sposób, więc po prostu siedziała tam, mając nadzieję, że stanie się to w inny sposób, jaki układała sobie patrząc na coś obok fotografii. Weatherby przerwał chwilę milczenia:

- Pani Connor, pani syn zaginął. Jego przybrani rodzice zostali zamordowani i wiemy, że ten facet jest w to zamieszany.

Sara spojrzała na niego. Zimne i puste spojrzenie. Nie odezwała się.

Weatherby popatrzył na nią spode łba i powiedział:

- Proszę z nami rozmawiać.

Sara brała udział w kilku przedstawieniach w szkole średniej. Jej nauczyciel dramatu byłby zachwycony widząc ją dzisiaj.

- Nic to pani nie obchodzi?

Absolutnie nic, przedstawiały sobą mur obojętności. Weatherby zerknął na Silbermana,

potem na swojego partnera, w końcu wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że to nie był taki dobry pomysł. Skończmy z tym, marnujemy tylko czas.

Jeden z umundurowanych policjantów otworzył drzwi i Mossberg wymaszerował na korytarz. Weatherby i dwóch mundurowych podążyli za nim, z Silbermanem za plecami.

Lekceważący ton powrócił do jego głosu, gdy mówił:

- Przykro mi, panowie...

Sara opadła bez sił pod zapaloną lampą. Wiedziała, że Douglas ją obserwuje.

Przesunęła więc rękę prawie tak wolno, jak wskazówka minutowa zegara, czołgając się wzdłuż brzegu stołu w kierunku stosu fotografii. Zsunęła spinacz łączący fotosy i schowała go między palcami, właśnie wtedy, gdy Douglas potrząsnął ją za ramię i wyprowadził z pokoju.

W celi Douglas zacisnął Sarze kajdanki, po czym pochylił się, przyglądając uważnie.

Nawet zniszczona, jej twarz zachowała piękno. Uśmiechnął się lekko, potem pochylił, oblizując wargi. Poczwała na twarzy jego gorący oddech. Modliła się, żeby nie zareagować.

Otworzył usta i przesunął językiem po jej twarzy, jak pies. Nawet nie mrugnęła. Jej tępe oczy wydawały się patrzeć przez niego.

Douglas chrząknął. Niewiele uciechy z kobietą, która nie wie, co się wokół niej dzieje.

Nawet z ładną.

Nawet nie mrugnęła. Douglas wahał się przez moment. Potem roześmiał się i wyszedł.

Cela została zamknięta, rozległ się trzask zamykanego zamka. Sara słyszała coraz cichszy stukot laski Douglasa.

Oczy Sary zaświeciły z żywą intensywnością. Wypluła spinacz na piersi, potem znalazła go po omacku i niezgrabnie rozciągnęła w prosty kawałek drutu. Z powolną, bolesną koncentracją przesunęła go w kierunku zamka kajdanków, którymi w nadgarstkach była przypięta do łóżka. To nie było łatwe. Ale Sara nauczyła się wielu rzeczy w ciągu lat ukrywania

się. To była jedna z nich. Przydatna w wydostawaniu się z policyjnych kajdanków; nigdy nie przypuszczała, że będzie musiała oswobadzać się z więzów szpitala wariatów.

Ostatnim, bolesnym obrotem udało się jej otworzyć zamek. Szybko pracowała nad drugim nadgarstkiem, cały czas obserwując okienko, na wypadek gdyby Douglas lub nocny strażnik przechodził obok. Trzydzieści osiem sekund później usiadła i rozluźniła rzemienie na kostkach. Sturlała się z łóżka i dotknęła podłogi jako nowa, niemal dzika w ruchach istota. Przy głównej bramie, w czystych, pustych pomieszczeniach dawnej wartowni, znudzony strażnik gapił się przed siebie. Czarno-biały, wielki samochód policyjny zatrzymał się z zapalonymi światłami. Kierowca zredukował bieg i skinął strażnikowi wjeżdżając na teren szpitala.

Krażownik wjechał na parking obok nieoznakowanego samochodu Mossberga. T-1000 wysiadł i w nagłym olśnieniu natychmiast oszacował taktyczne możliwości. Tu było centrum energii, którego szukał. Tutaj znajdzie sens swojego istnienia.

Tutaj był koniec jego poszukiwań.

Skierował się ku głównemu wejściu do szpitala.

Sara była ciągle w swojej celi, wypróbowując spinacz na zamku przy drzwiach. Jej ruchy nie były już paniczne. Była spokojna, skoncentrowana, pochłonięta jedynie zamkiem, Odgłos stukania przerwał jej. Był coraz głośniejszy i zbliżał się w jej stronę. Powróciła do pracy nad zamkiem, poruszając się szybciej, ale cały czas pewnie.

Douglas stukał swoją laską po ścianie, przechadzając się słabo oświetlonym korytarzem. Niósł małą lampę, którą świecił w okienka cel, obok których przechodził, prawie nie zwalniając. Nie było powodu robić dokładniejszej kontroli. Wszyscy pacjenci byli otępiali od thorazyny, osłabieni, zdezorientowani, prawie rośliny. Nawet pani Hardcase była dziś poskromiona, myślał sennie Douglas.

Okrzyżył róg, odgłos jego kroków odbijał się echem w ciemnym korytarzu. Koniec kija uderzał w ścianę. Łup, łup, łup... Doszedł właśnie do celi nr 82 i zatrzymał się, żeby zaświecić do środka. Ale jego wzrok pochwycił coś po drugiej stronie korytarza. Drzwi szafy na narzędzia były do połowy otwarte. Remont stawał się znowu źródłem bałaganu.

Douglas westchnął i podszedł do szafy, żeby ją zamknąć, z roztargnieniem kierując światło do ciemnego wnętrza. Było coś dziwnego pomiędzy wiadrami i środkami czyszczącymi. Miotła leżała na podłodze, a jej gruby kij złamany był mniej więcej w połowie. Drugiej połowy nie było.

Douglas zastanawiał się nad tym przez pół sekundy, po czym usłyszał, że drzwi za nim otwierają się i odwrócił się. Drzwi do celi Sary były otwarte. Zanim znaczenie tego dotarło do niego, brakujące dwie stopy kija od miotły wypełniły jego świadomość, spadając złośliwie na grzbiet nosa.

Sara obserwowała z olbrzymią satysfakcją, jak dwieście pięćdziesiąt funtów wielkiego dozorca pada na podłogę z głuchym odgłosem. Potem sprawnie trzasnęła go prowizoryczną pałką w tył głowy. Dla Douglasa świat odplynął na chwilę. Był teraz w swoim własnym otępieniu.

Sara wciągnęła bezwładnego dozorcę do swojej celi i zamknęła go jego własnymi kluczami. Potem wzięła ciężki kij Douglasa, ważąc go w rękach, jakby wiedziała, że można go użyć lepiej niż kija od szczotki, i ułożyła wzdłuż ramienia, na sposób policyjny. Zaczęła iść ciemnym korytarzem, poruszając się jak kot na swoich bosych stopach; uzbrojona i niebezpieczna.

Za głównymi drzwiami znajdował się długi korytarz kończący się przy recepcji, która teraz była zamknięta, a za nią nocne biurko przyjęć za szklaną szybą, przy którym wpuszczano ludzi przez sąsiednie, ciężkie drzwi. Nocna pielęgniarka, przeciętnie wyglądająca kobieta o

nazwisku Gwen, pisała na maszynie przy biurku obok. Oderwała wzrok od maszyny na dźwięk kroków i zobaczyła młodego policjanta idącego w jej stronę. Pomyślała, że w porównaniu z innymi, którzy już byli na terenie szpitala, ten wygląda bardzo miło. Przywołała na twarz swój najmielszy uśmiech. Nie robił on zazwyczaj na mężczyznach zbyt wielkiego wrażenia. T-1000 także nie zwrócił na niego uwagi. Przemówił miękko, miłym głosem, mającym stłumić w słuchaczu podświadomą nieufność wobec obcych:

- Macie tu Sarę Connor?

- Trochę już późno, nieprawdaż? Inni są tu już jakiś czas.

Odwróciła się do wewnętrznych drzwi, żeby go wpuścić, ale zobaczyła Silbermana i policjantów idących w kierunku drzwi z drugiej strony.

- Pańscy przyjaciele właśnie wychodzą - powiedziała, odwracając się do nowoprzybyłego. Nie było go już. Zdezorientowana, podeszła do lady i wychyliła się, żeby zobaczyć, czy może stoi przy saturatorze. Nie. Recepcja była pusta. Podobnie długi korytarz za nią: Zmarszczyła brwi, przypominając sobie historie, jakie kuzynka opowiadała jej o swoim mężu policjancie. Może wszyscy gliniarze są tacy dziwaczeni.

Silberman przeszedł przez solenoidalne drzwi z Weatherbym, Mossbergiem, dwoma mundurowymi i szpitalnym strażnikiem bezpieczeństwa. Ten ostatni odbierał właśnie swojego 9-milimetrowego browninga z otwartej kasy stojącej za nocnym biurkiem, Silberman zwrócił się więc do niego:

- Lewis, wyprowadź tego gentlemana na zewnątrz i pozamykaj na noc.

- Tak jest - Lewis skinął z szacunkiem. Silberman zawrócił przez drzwi na bezpieczny teren szpitala, podczas gdy policjanci poszli wzdłuż długiego korytarza w kierunku wyjścia.

Weatherby mruczał pod nosem:

- To było budujące.



- Tak - dodał Mossberg - po prostu uwielbiam czuć całą noc.

Lewis zamknął drzwi wejściowe na klucz i powoli wracał. Światło przed nim na biurku dyżurnej wyglądało jak sanktuarium. Jego kroki brzmiały głucho na wyłożonej płytkami posadzce. Klucze brzęczały. Nie myślał o niczym szczególnym, leniwie obserwując czarno-biały wzór utworzony przez płytki na podłodze.

Kiedy mijał jedną z plam, zaczęła drżeć i wybrzuszać się jak płynna masa, cały czas pozostając częścią dwukolorowej szachownicy na podłodze. Wypiętrzyła się cicho w drżący cień w ciemności za strażnikiem.

Nocna pielęgniarka odwrócona była plecami do maszyny do pisania, pracując pilnie nad raportem. Strażnik zatrzymał się przy ekspresie do kawy i odwrócił do pielęgniarki.

- Hej, Gwen, chcesz kawy?

- A może piwa? - zażartowała.

Lewis roześmiał się i zabrał swoją filiżankę z ekspresu. Pokryta była rysunkami kart, każda z innym numerem. Taki rodzaj gry. Skrzywił się nad filiżanką, wylewając gorący płyn i próbując odczytać zasady gry. *Może to mój szczęśliwy dzień.*

Płynna masa za nim osiągnęła już 6 stóp wysokości i zaczęła gwałtownie układać się w ludzką figurę. Straciła kolor i budowę posadzki i przybrała szary kolor munduru strażnika.

Masa T-1000 rozciągała się na grubość ćwierci cala na przestrzeni kilku jardów kwadratowych podłogi. Kiedy Lewis nad nią przeszedł, jego budowa posłużyła natychmiast za wzór. Teraz wybrzuszała się i przybierała formę lustrzanego odbicia nieświadomego niczego strażnika.

Stopy, które ukształtowały się jako ostatnie z "płynnej podłogi", uformowane jako błyszczące czarne buty strażnika, oderwały się z lekkim mlaśnięciem od prawdziwej podłogi, gdy strażnik T-1000 uczynił swój pierwszy krok.

Prawdziwy strażnik odwrócił się na dźwięk kroków i zobaczył... siebie.

Nie kogoś, kto wyglądał jak on, ale kogoś, kto nosił jego mundur, łącznie z jego nazwiskiem.

Miał tylko jedną chwilę dziwnego rozdzielenia, gdy pomyślał o sobie jako pracującym na fermie nurów.

Zupełnie, jakby ogarniał go obłąd.

Zanim mógł rozpaczliwie uchwycić się słabej myśli, która zaprzeczyłaby oczywistej niemożliwości stojącej przed nim, ta podniosła swoją rękę i wycelowała palec wskazujący prosto w jego twarz z odległości zaledwie stopy. W oka mgnieniu palec zamienił się w małą włócznię, wydłużając się w cienki stalowy pręt, który na kształt sztyletu wbił się w oko strażnika, przeszedł przez gałkę oczną, podobnie jak lancet neurologa, i wyszedł z tyłu czaszki.

Życie cicho wyciekło z twarzy Lewisa. W kilka sekund zmienił się z żywej istoty w połec mięsa. Palec-sztylet cofnął się nagle. Kiedy strażnik opadł na ziemię, T-1000 podniósł go bez wysiłku jedną ręką i poszedł, jakby niósł garnitur na wieszaku, z powrotem w kierunku nocnego biurka. Rany były tak małe, że ani kropla krwi nie spadła na podłogę.

Pielęgniarka popatrzyła, jak T-1000, obecnie strażnik, przechodzi obok, niedbale ciągnąc coś, czego nie mogła dostrzec, jako że było to poniżej blatu.

- Co tam masz, Lewis?

- Trochę śmieci - odpowiedział wesoło.

Skinęła głową w roztargnieniu, zupełnie nie zainteresowana. Powróciła do pisania, a

T-1000 przeszedł obok, ciągnąc bezwładne ciało strażnika w kierunku drzwi szafy oddalonej od biurka o kilka jardów. Odpiął od pasa strażnika jego browning i klucze, po czym wepchnął ciało do szafy z narzędziami.

Następnie wrócił i popatrzył na pielęgniarkę.

- Wszystko zrobione - powiedział z uśmiechem. Spojrzała na niego i zobaczyła pistolet w kaburze.

- Musisz jeszcze zostawić pistolet, pamiętaj.

- Rzeczywiście, przepraszam.

T-1000 otworzył szafkę, zasłonił ją swoim ciałem przed wzrokiem pielęgniarki i udał, że wkłada pistolet do środka. W rzeczywistości umieścił go w swojej piersi, w której ten zniknął jakby wrzucony do garnka. Kiedy T-1000 odsunął rękę, pierś miała znów taką powierzchnię, że wyglądała jak materiał, guziki i tabliczka z nazwiskiem. Stuknął w drzwi i zaczekał, aż pielęgniarka naciśnie guzik zwalniający zamek drzwi z lekkim bzzz. Wszedł do środka. Szedł korytarzami, szukając oddziału z izolatkami.

Kilka minut później znalazł się w punkcie kontroli oddziału izolatek. Dwóch znudzonych dozoruujących ledwie spojrzało, gdy T-1000 /strażnik podchodził do nich.

Popatrzył na grafik przy drzwiach, który mówił, że pacjent nr 82 była w celi nr 19. T-1000/ strażnik wszedł na oddział izolatek przez podwójne drzwi, które zamknęły się z nim.

Minął pokój pielęgniarek, wyglądający jak klatka, bo otoczony metalową siatką.

Silberman, oparty o otwarte drzwi, rozmawiał z dozorcą w środku. Nawet nie popatrzył, gdy "Lewis" przechodził obok.

Sara, poruszająca się jak cień po ciemnym korytarzu, usłyszała zbliżające się kroki i cicho, ale szybko otworzyła kluczem Douglasa celę sąsiadującą z jej własną. Wśliznęła się do środka i czekała, aż kroki się oddaliły. Popatrzyła na przeciwległą ścianę pokoju. Kobieta o dzikim spojrzeniu, mocno przywiązana rzemieniami do łóżka, patrzyła na nią spłoszonym spojrzeniem i z drżącymi wargami. Czy zaraz zacznie krzyczeć? Sara zawahała się, serce waliło jej jak młot, potem uchwyciła się ostatniej deski ratunku. Położyła palce na ustach i szepnęła:

- Ciii...

Pacjentka powoli skinęła głową z wyrazem zrozumienia.

Sara westchnęła z ulgą, potem wyjrzała przez okno celi i zobaczyła plecy strażnika obchodzącego właśnie róg. Poczekała, aż nie będzie słyszała kroków, po czym poruszyła się.

Silberman ziewał, przeglądając przydziały leków z nocnym dozorcą. To była ciężka sobota. Myślał o długim spaniu w niedzielę. Potem przypomniał sobie o tym cholernym symposium na temat przemocy kobiet, na którym obiecał wygłosić wykład. Patrzył na zegarek próbując przypomnieć sobie, o której ma tam być, gdy kątem oka zobaczył jakiś ruch.

Sara Connor uderzyła w niego, wepchnęła go przez drzwi do klatki i sama do niej wskoczyła. Sanitariusz zerwał się, chcąc dostać się do swojej pałki, ale przygwoździła go pierwsza kijem Douglasa. Nogi mu się osunęły. Był teraz wielką imitacją obiektu nieożywionego.

Silberman rzucił się w kierunku guzika alarmowego, ale Sara trzasnęła go mocno w ramię. Krzyknął i złapał się za nadgarstek. Sara chwyciła go za włosy, przycisnęła twarzą do biurka i sprawnie uderzyła kijem pod kolanami. Nogi się pod nim załamały i upadł na kolana, z brodą cały czas na biurku. Przygwoździła go jedną ręką. Jego wyraz twarzy zdradzał jedno wielkie niedowierzanie.

- Złamałaś mi rękę!

Głos Sary był lodowaty:

- W ludzkim ciele jest dwieście piętnaście kości, ty skurwielu. To jest tylko jedna. A teraz nie ruszaj się!

Poruszając się szybko, podskoczyła do szuflady ze sprzętem medycznym i złapała strzykawkę. Wbiła ją nieprzytomnemu dozorczy i wcisnęła całą zawartość. Trzymając cały czas pustą strzykawkę, zobaczyła po chwili to, czego potrzebowała. Trzymali toksyczne środki

czyszczące w klatce pielęgniarek, żeby pacjenci nie próbowali ich pić. Złapała plastikowy kubek z Liquid-Plumr i cisnęła go na stół, o kilka cali od oczu Silbermana. Dźgnęła pustą strzykawkę w pudełko i odciągnęła tłok. Przerazone oczy Silbermana patrzyły, jak 15 mililitrów błękitnej śmierci wypełnia strzykawkę.

- Co masz zamiar zrobić? - wykrztusił.

Wyciągnęła igłę i wbiła ją w szyję Silbermana. Jej kciuk zawisnął nad tłokiem.

Trzymając go u swych stóp za kołnierz, poprawiła chwyt na mocniejszy i wyciągnęła go przez drzwi.

T-1000 zatrzymał się przed celą nr 19 i popatrzył przez okienko. Douglas, z twarzą zakrwawioną, wrzeszczał, żeby być usłyszonym przez dźwiękoszczelne drzwi. T-1000 nie musiał nic słyszeć. Potrafił czytać z ruchu warg.

- Otwórz drzwi! Ta cholerna suka jest wolna gdzieś na korytarzu! - krzyczał Douglas.

Ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że strażnik gwałtownie odwraca się i odchodzi, zostawiając go w środku, ze wściekłą twarzą przyklejoną do szyby.

Na zewnątrz Terminator i John dotarli na harley'u do głównej bramy strażniczej.

Motocykl podjechał i zatrzymał się w pobliżu. Hałas wielkiego silnika sprawił, że strażnik zaczął im się przyglądać.

- Pamiętaj, nikogo nie zabijesz, dobrze? - powiedział John. Chwila wahania, po czym wielki cyborg odpowiedział:

- Dobrze.

John nie był przekonany:

- Przysięgnij.

- Co?

- Po prostu powiedz: *Przysięgam, że nikogo nie zabiję.*

John podniósł rękę, jak gdyby był zaprzysięgany. Terminator popatrzył na niego przez chwilę, przeglądając wszystkie możliwości zakodowane w elektronowym mózgu. Nie było tam nic, co odpowiadałoby temu ludzkiemu gestowi. Niepewny jego użyteczności, Terminator podniósł jednak rękę w ten sam sposób i powiedział:

- Przysięgam, że nikogo nie zabiję.

Potem ześliznął się z motocykla i skierował ku bramie.

Strażnik, wyczuwając kłopoty, miał broń wyciągniętą, gdy wyszedł ze strażnicy.

Terminator szedł ciągle ku niemu, jego analizatory szybko wyszukiwały w ludzkiej anatomii wszystkie punkty kluczowe w pełnieniu funkcji życiowych i wykluczały je jako cele, po czym wypunktował sobie te miejsca, które nie miały takiego życiodajnego znaczenia. Miękkim ruchem wyciągnął swoją "45" i z chirurgiczną dokładnością strzelił strażnikowi w oba kolana.

Mężczyzna upadł krzycząc i trzymając się za nogi.

John nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Co ty u diabła robisz?

Terminator kopnął karabin strażnika, potem pięścią uderzył w aparat telefoniczny.

Nacisnął guzik, żeby podnieść bramę i wrócił do harley'a. Zobaczył konsternację na twarzy

Johna i powiedział:

- Będzie żył.

Wspiał się na motor i zwolnił sprzęgło. Przejechali przez bramę i skierowali się do rampy z karetkami w miejscu przyjmowania nagłych wypadków. John odwrócił się i krzyknął do jęczącego strażnika:

- Przepraszam, proszę pana!

Na piętrze z izolatkami dozorca z punktu kontroli bezpieczeństwa popatrzyli na monitory, jako że ktoś wyszedł na korytarz. Zobaczyli Sarę, trzymającą Silbermana w punkcie

zabiegowym.

Przemówiła do nich przez wewnętrzny telefon wiszący na ścianie:

- Otwórzcie drzwi, albo on będzie martwy zanim dotknie podłogi.

Poziom adrenaliny u dozorców przekroczył poziom alarmowy. Pierwszy z nich twardo

potrząsnął głową w geście przeczenia. Drugi przemówił do mikrofonu wewnętrznego telefonu:

- Nie ma mowy, Osiemdziesiąta Druga. Wypuść go. Twarz Silbermana miała kolor siny, ale zdołał wykrztusić:

- To nie zagra, Sara. Nie jesteś mordercą. Nie wierzę, że mogłabyś to zrobić.

Jej głos był śmiertelnie zimnym sykiem:

- Już jesteś martwy, Silberman. Wszyscy tu umierają. Wiesz, że w to wierzę. Więc nie pieprz! - to ostatnie podkreśliła wbijając igłę głębiej w jego ciało.

- Otwórzcie te cholerne drzwi! - krzyknął krzywiąc się z bólu.

Strażnicy popatrzyli na siebie niepewnie. Wreszcie jeden nacisnął guzik solenoidu.

Dalekie drzwi otworzyły się z metalicznym dźwiękiem.

Sara popchnęła Silbermana przed sobą w otwarty korytarz. Bliższe, okratowane drzwi trzeba było otworzyć ręcznie. Jeden ze strażników ostrożnie do nich podszedł i nerwowo otworzył.

- Cofnij się! - rozkazała Sara. Nie tracił ani chwili wycofując się. Rzuciła okiem na obu strażników.

- Na podłogę! Natychmiast!

Zawahali się. Popatrzyła na nich dziko i wcisnęła igłę na całą głębokość. Silberman zacharczał, gdy strużka krwi zaczęła spływać na podłogę...

Szybko przyłgnęli brzuchami do podłogi.

Sara przeszła z Silbermanem omijając ich z daleka. Wycofywała się korytarzem jak

najdalej od nich, cały czas trzymając swojego zakładnika. Poprzez szum pulsującej gwałtownie krwi zaczęło do niej docierać, że chyba naprawdę się uda.

Było tak, ponieważ nie widziała trzeciego noszowego, czekającego zaraz za rogiem.

Był przyczajony, gotowy skoczyć na nią, jak tylko się z nim zrówna.

Sara wycofywała się w jego kierunku. Jak tancerz w tangu pochylony, wypadł zza rogu chwytając ją za rękę ze strzykawką. Sara natychmiast obróciła się ku niemu i uderzyła go kijem w gardło. Sanitariusz natychmiast przestał się nią interesować. Upadł na kolana i starał się złapać oddech. Silberman szarpnął się, krzycząc ile sił w płucach:

- Łapcie ją!

Rzucili się ku niej w chwili, gdy wpadła jak strzała za róg. Jeden z nich nacisnął w panice guzik alarmu i dzwonek zaczął brzęczeć.

Na oddziale z separatkami, w pokoju pielęgniarek T-1000 patrzył właśnie na skamieniałego strażnika, gdy zaczął dzwonić alarm. Strażnik począł gapić się zdumiony, gdy zobaczył, że coś, wyglądające jak Lewis, sięga do piersi i wyciąga ze środka pistolet, po czym kieruje się do drzwi wejściowych.

Innym korytarzem, Sara biegła jak zwierzę w labiryncie wielkiego szpitala, jej bosa stopy kłapały po zimnej posadzce. Noszowi ścigali ją będąc w niewielkiej odległości. Skręciła za róg wpadając na ścianę, a potem pobiegła prosto w kierunku stalowych drzwi.

Kroki rozlegały się tuż za nią.

Oddychając ciężko zaczęła grzebać w kluczach Douglasa. Wcisnęła największy z nich.

Noszowi zbliżali się do niej szybko, gwałtownie zamykając pułapkę.

Sara otworzyła drzwi i przeszła zatrzaszkując je i przekręcając klamkę z zatraskiem w momencie, gdy pierwszy z noszowych złapał klamkę po drugiej stronie.

O sekundę za późno.



Sara widziała ich przez małe okienko, grzebiących w swoich kluczach. Z trudem łapiąc powietrze ze zmęczenia, odwróciła się. Była w innym, wyglądającym jak wojskowy, korytarzu. Okratowane drzwi, takie jakie spotyka się w więzieniach, oddzielały ją od korytarzy następnego oddziału.

Przebiegła do ściany z krat, włożyła klucz do zamka, otwierając go w momencie, gdy usłyszała, że klamka drzwi, przez które przed chwilą przeszła, poruszyła się.

Sara rzuciła się jak szalona przez okratowane drzwi w chwili, gdy pierwszy z noszowych był już za nią. Zatrzasnęła za sobą kratę. Trzask. Z ukłuciem rozpaczliwej zobaczyła klucze zwisające z zamka po drugiej stronie. Sanitariusz pędził za nią, z ustami bladymi z wściekłości.

Sięgnęła z powrotem przez kraty, przekręciła klucz, a potem celowo odłamała go w zamku. Chwilę później sanitariusz wśliznął się w drzwi, próbując złapać ją przez pręty, gdy się wycofywała.

Była już poza zasięgiem.

Uderzył z wściekłością w stalowe kraty.

Sara nie miała czasu, aby odczuć to jako osobisty triumf.

Uciekała, by odnaleźć swojego syna zanim zrobi to drugi Terminator. Odwróciła się więc po prostu i pobiegła przed siebie.

Zdenerwowani dozorczy krzyczeli na siebie, walcząc, aby dopasować swój klucz do zamka, w którym tkwił już złamany kawałek.

Silberman wpadł na nich trzymając się za bolącą szyję, opanował chaos i zaczął krzyczeć:

- Biegnijcie dookoła, do cholery! Okrężną drogą!

Sanitariusze przebiegli obok Silbermana, z powrotem tą drogą, którą przyszli i skręcili

na skrzyżowaniu korytarzy w kierunku innych drzwi.

Sara skręciła za róg i zobaczyła przed sobą windy.

Wolność.

Pochylona w pełnym pędzie, prawie już do nich dobiegała, gdy nagle drzwi jednej z wind otworzyły się.

I wtedy zobaczyła najgorszą zjawę, przybywającą żywą, wychodzącą na korytarz w poplamionej krwią skórzanej kurtce, słonecznych okularach, z opiłowaną dubeltówką.

Przerażająco znajoma twarz Terminatora obróciła się ku niej.

Sara próbowała się zatrzymać, ale siła rozpędu pchała ją prosto na zabójczego cyborga.

Jej białe stopy pośliznęły się na posadzce i padła, wpatrując się w górę, na ubraną w skórę postać.

Raptem straciła wszelkie resztki odwagi i cały zapas zdrowego rozsądku. Nie była nawet świadoma tego, że krzyczy cały czas, czołgając się w tył po posadzce jak krab.

Czuła się tak, jakby wirowała w wiatrach nuklearnej burzy ze swojej wizji. Gdyby popatrzyła dalej, zobaczyłaby Johna, wychodzącego ostrożnie na korytarz tuż za

Terminatorem. John zobaczył swoją uciekającą matkę i natychmiast zorientował się, co się stało.

- Mamo! Zaczekaj!

Sara nic nie słyszała poprzez swój własny krzyk. Uciekała jak szczur złapany w pułapkę, zdecydowana na ponowne wejście do piekielnego labiryntu szpitala.

Terminator i John pobiegli za nią.

Popędziła wzdłuż korytarza, z powrotem, drogą którą przyszła. Kiedy dobiegła do skrzyżowania z innym korytarzem, białą ubraną figurę wyłoniła się z tła. Dozorca uderzył ją w talię. Sara przejechała po korytarzu, wrzeszcząc i walcząc. Pozostali dwaj noszowi włączyli się

do walki.

- Nie! To właśnie nadchodzi! Pozabija nas wszystkich! - krzyczała błagalnie, próbując sprawić, by zrozumieli co było tytko o kilka stóp od nich.

Nie dbając o jej krzyk, złapali ją za rozdygotane ręce. Nie spojrzeli nawet na to, co wskazywała nie panująca nad sobą kobieta tam, w końcu korytarza. Przycisnęli ją do zimnej posadzki, pierścień wściekłych twarzy nad nią. Pojawiła się pielęgniarka niosąca strzykawkę pełną środka uspokajającego.

Sara wyciągnęła szyję i zobaczyła ciemną sylwetkę Terminatora dochodzącą do nich.

Był szalenie podobny do pierwszego Terminatora. I był tutaj, tyle lat później. Chodząca broń Skyneta, pokonująca czas i przestrzeń, żeby ją zabić. Krzyknęła w poczuciu całkowitej bez nadziei.

Ale Terminator zrobił coś bardzo dziwnego, coś zupełnie różnego od jej oczekiwań.

Trzymając strzelbę w jednej ręce, cyborg sięgnął drugą, chwycił pierwszego z sanitariuszy i pchnął dwieście funtów żywego mięsa poprzez korytarz na przeciwległą ścianę. Plask! Mężczyzna upadł na podłogę, próbując oddychać z dwoma złamanymi żebrami i nie widząc w tej sytuacji nic zabawnego.

Dwaj pozostali sanitariusze zareagowali natychmiast, ruszając na intruza. Wydawało się przez moment, że Terminator zniknął pod dwoma wielkimi mężczyznami. Potem nastąpiła eksplozja bieli, gdy dwaj noszowi zostali rozrzućeni na boki, jakby wstąpili na minę.

Jeden uderzył w szklane okno i uratowany został przed większymi obrażeniami przez zewnętrzne, stalowe kraty zabezpieczające. Nie był jednak na tyle przytomny, by się z tego cieszyć. Drugi przeleciał przez drzwi dyżurki rozbijając je w drzazgi i potoczył się aż do nóg biurka. Popatrzył w górę i zdecydował, że wzór płytek na suficie jest fascynującym obiektem do przestudiowania. Stwierdził, że musi kiedyś przyjrzeć się temu dokładniej.

Pielęgniarka, która mogła z łatwością unieść dziewięćdziesiąt funtów, uderzyła intruza w twarz z całą siłą, na jaką było ją stać. Mężczyzna cofnął się lekko, słoneczne okulary spadły mu z twarzy. Jej rękę przeszył okropny ból, zupełnie jakby uderzyła w ścianę z cementu. Powoli odwrócił się do niej i położył dłoń na jej piersi. Złapała go za kciuk i spróbowała odgiąć go z siłą, która powinna go była złamać. Zamiast tego Terminator po prostu ją odepchnął. Było to niewiele więcej niż lekkie stuknięcie, ale nadające taką energię kinetyczną, że kobieta została rzucona kilka jardów do tyłu i upadła na posadzkę. Przejechała jeszcze po niej zanim się zatrzymała, na razie niezbyt zainteresowana myślą o wstaniu.

Podczas tego wszystkiego Silberman był przyklejony do ściany. Papieros, o którym zupełnie zapomniał, zwisał mu z ust. Obserwował całkowicie pozbawioną wyrazu twarz intruza, gdy ten podchodził wielkimi krokami do Sary. Świadomość błędu popełnionego w tej sprawie, w ocenie motywów tego człowieka, stała się nagle przeraźliwie jasna.

Sara miała rację... To nie był człowiek.

Nawet nic zbliżonego do człowieka.

A jeśli miała rację co do tej człiekopodobnej rzeczy, uświadomił sobie, to prawdopodobnie miała również rację we wszystkich innych sprawach.

W niewyobrażalnie tragicznych sprawach.

Poczuł, że jego poczucie rzeczywistości zaczyna się walić.

Sara zamrugała oczami, patrząc na wynurzającą się postać zwiastuna śmierci. Jej wzrok przesunął się szybko na nieprawdopodobny widok: jej syna klęczącego przy niej.

- Mamo, czy nic ci się nie stało?

Przenosiła wzrok z Terminatora na Johna, potem z powrotem na Terminatora.

Była tu, na podłodze, pomiędzy kilkoma ciałami, patrząc na najlepszą i najgorszą rzecz w jej świecie. Nie mogła zareagować na to inaczej, jak tylko wybuchem szaleństwa, albo

śmiechu... Zdecydowała się już, co wybrać, kiedy John pochylił się nad nią, złapał za ramiona i silnie potrząsnął:

- Mamo!

Poczuła jego uścisk, jego oddech, i w nagłym szoku zdała sobie sprawę...

... że to było naprawdę.

Przeżyć tę wiedzę było łatwo, bo to, co stało się w następnej chwili, było już zbyt głupie, żeby mogła być przy zdrowych zmysłach. Terminator grzecznie wyciągnął do niej rękę, wierzchem dłoni do góry.

Najwyraźniej chciał pomóc jej wstać.

Sara zaczęła się śmiać. Jej śmiech został jednak zduszony przez słowa wypowiedziane przez cyborga bez żadnego uczucia:

- Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć.

Sara rozejrzała się. Noszowi zaczęli się ruszać powracając do świadomości. Alarm ciągle dzwonił. Wkrótce przybędzie więcej ludzi. Jej syn pociągnął ją za rękę:

- Wszystko w porządku, mamo. On jest tu, żeby nam pomóc. W całkowicie

zrozumiałym oszołomieniu Sara wzięła olbrzymią rękę w swoje roztrzęsione palce. Terminator podniósł ją na nogi jednym płynnym ruchem.

Zupełnie jak w tańcu.

John odwrócił się i zobaczył policjanta, stojącego o trzydzieści stóp dalej, po drugiej stronie ściany z krat. John zorientował się od razu, kto to był.

To był on.

Terminator popatrzył za przerażonym wzrokiem Johna.

T-1000 trzymał pistolet w ręce przy boku.

Terminator pchnął Johna i Sarę za siebie. Zaczęli się wycofywać.

Sara zobaczyła to, co oni widzieli i była niezdolna do jakiegokolwiek reakcji.

T-1000 zaczął iść naprzód. Doszedł do krat. Ale nie zatrzymał się.

Jego ciało zaczęło rozdzielać się wokół metalowych prętów. Kiedy przecisnął się przez nie, jego wygląd zmienił się całkowicie.

Papieros wypadł z ust Silbermana. Cichy, chrapliwy dźwięk pojawił się w jego głowie.

Zaczął kurczyć się we własnym ciele.

Teraz Sara mogła zareagować. Dech jej zaparło. Wszystkie pewniki, jakimi dysponowała, zostały rozbite. Ale widok kleistej masy formującej się w policjanta sprawił, że uderzyły ją trzy myśli:

To nie był policjant.

To było z przyszłości.

To najprawdopodobniej będzie próbowało zabić jej syna.

Wściekłość wezbrała w niej znowu, mięśnie naprężyły się.

Wydawało jej się, że ten koszmar nigdy się nie skończy.

Rozległ się brzdęk. Pistolet strażnika zaklinował się pomiędzy prętami... jedyne ciało stałe. T-1000 po prostu obrócił dłoń w nadgarstku i spróbował jeszcze raz, przeciągając pistolet pionowo przez otwór.

Terminator złapał Johna za siedzenie spodni i przerzucił sobie przez plecy. John złapał go kurczowo za szyję. Terminator podniósł strzelbę i kontynuował wycofywanie się. Odwrócił się do Sary:

- Uciekaj!

Dobry pomysł, pomyślała Sara, po czym odwróciła się i pobiegła za nimi.

T-1000 rzucił się ku nim. Jego but zmiażdżył słoneczne okulary Terminatora. Otworzył ogień z browninga. Ale Terminator wyciągnął przed siebie obrzyna i wypalił. Otepiali

pielegniarze przypadli twarzami do podłogi, a korytarz wypełnił się kulami i gryzącym dymem.

Terminator został przygwożdżony kilkoma strzałami. T-1000 był też podziurawiony. Zachwiał się, ale szedł dalej. Mierzył prędkość i kąt każdego strzału, w rzeczywistości otwierając się lekko, żeby zamortyzować uderzenia przy absorpcji kul. Jasna smuga pojawiała się w otworach, gdy zamykały się i zasklepiały, znikając w ciągu sekundy.

Kule mogły go tylko zwolnić.

Terminator okrążył róg i przeszedł w dudniący bieg. Przed nim Sara była już przy windach. Terminator i John wcisnęli się do środka i John nacisnął guzik "Garaze". Drzwi zaczęły się zamykać. T-1000 minął róg z niezwykłym wdziękiem, płynnie przenosząc środek ciężkości w sposób, w jaki żaden człowiek by tego nie zrobił.

Terminator odepchnął Johna i Sarę na boczne ściany windy, a T-1000 rzucił się za nimi strzelając szybko z browninga.

Kule dosięgły drzwi w chwili, gdy się zamykały. W środku Sara zobaczyła, jak metal na przeciwległej ścianie został podziurawiony w piękny wzór, który oderwałby jej głowę, gdyby pomiędzy nią a kulami nic nie było.

Browning zaciął się, pusty. T-1000 wyrzucił go nie oglądając się nawet. Drzwi zamknęły się z miękkim plaśnięciem. Potem wszystko zadrżało w posadach, gdy T-1000 uderzył w nie o ułamek sekundy później.

Winda jeszcze nie ruszyła, Ostrze podobne do miecza wcisnęło się pomiędzy drzwi, potem niesamowicie zawirowało i stwardniało na kształt dwóch haków. Zaczepiły się o drzwi i zaczęły je powoli rozsuwać.

Terminator wydawał się wahać, podczas gdy Sara patrzyła z przerażeniem, jak wali się bezpieczeństwo ich chwilowego schronienia.

Ale Terminatorzy nie wahają się.

Czekał jedynie spokojnie - był to czas chłodnej oceny wydarzeń dopóki szczelina nie rozszerzyła się wystarczająco, aby mógł wysunąć przez nią swoją strzelbę. Lufa uderzyła T-1000 prosto w twarz, tonąc na kilka cali w "ciele". Chwilę później Sara i John drgnęli, gdy eksplozja z obrzyna załomotała im w uszach w tej ograniczonej przestrzeni. Przez szparę patrzyli, jak głowa T-1000 została rozerwana przez wybuch, a on sam odepchnięty z olbrzymią energią. Drzwi windy wreszcie mogły się zamknąć. Winda drgnęła lekko, po czym zaczęła zjeżdżać. John spojrzał na matkę. Trzęsąc się, patrzyła oszołomiona na drzwi.

- Co to było, do cholery? - wymamrotała chrapliwie.

Na korytarzu głowa T-1000 leżała w dwóch okaleczonych masach na jego ramionach.

Pojęcie bólu nigdy nie było parametrem w sferze zmysłów płynnej maszyny. Ból był jedynie wskaźnikiem wielkości uszkodzenia danej części organizmu. Ale ten "organizm" nie miał części, z wyjątkiem tych na poziomie molekularnym. A każda molekula była prymitywną, zminiaturyzowaną wersją całej maszyny. Gdyby jakiegokolwiek odcinki zostały rozdzielone, podzielone części wróciłyby do metalowego stwora. Jedyne nakaz, jaki znajdował się w molekularnej pamięci, to znaleźć masę główną i przyłączyć się do niej. Każda molekula miała zasięg 14 kilometrów. A rozerwane części T-1000 znajdowały się znacznie bliżej. Tak więc, po chwili zwłoki spowodowanej balistycznym szokiem, błyskawicznie uformowały się w zdrową, ludzką twarz bez najmniejszego śladu "zranienia".

T-1000 odwrócił się do zamkniętych drzwi i wepchnął ręce pomiędzy nie, czubki palców stały się prętami do wyważania i z łatwością je otworzyły. Bez chwili wahania T-1000 wskoczył do szybu.

Przeleciał jak kamień dwa piętra.

W windzie cała trójka popatrzyła w górę na odgłos uderzenia w dach. Terminator nagle przestał ładować swoją strzelbę.



Sara wyrwała czterdziestkę piątkę zza jego pasa i wycelowała w sufit. Nic nie mogło zabić jej syna.

Żadna rzecz.

John wziął gwałtowny, głęboki oddech i...

Ostre jak brzytwa chromowane ostrze przebiło się przez sufit i przecięło powietrze cztery stopy niżej w kabinie windy.

O cale od twarzy Sary.

Odruchowo otworzyła ogień. Tratatata, kulę wbijały się w sufit. Z szybkością błyskawicy ostrze cofnęło się, po czym uderzyło ponownie, rozcinając kurtkę Terminatora i chybiając Johna o cale.

Wystrzał z wielkokalibrowej strzelby Terminatora utworzył w dachu dziurę. Pierwszą z wielu, jakie wybił Terminator w szale strzelania - repetowania - strzelania, podczas gdy metalowe ostrze uderzało w dół raz za razem, zupełnie jakby jakiś furiał dźgał puszkę chirurgicznie ostrym narzędziem. Sara krzyknęła, gdy jedno z uderzeń przecięło jej ramię.

Usłyszeli nagle łagodny dzwonek. Wskaźnik nad drzwiami wskazywał, że byli na poziomie garaży. Drzwi otworzyły się i Sara wypchnęła Johna, gdy tylko szczelina była wystarczająco szeroka.

Znaleźli się w garażu, Harley zaparkowany był niedaleko, teraz już bezużyteczny, jako że było ich troje. Terminator zaczął przeszukiwać otoczenie swoimi analizatorami, żeby znaleźć odpowiedni pojazd do ucieczki.

W windzie T-1000 wybił w suficie dziurę odpowiednio dużą, aby się przez nią przelać.

Olbrzymia kropla substancji podobnej do rtęci stopiła się, przepchnęła przez otwór, spadła na podłogę i przybrała postać oficera Austina. Ponieważ wszystkie jego zmysły zmieniały pozycję, zawahał się przez chwilę, odzyskując orientację w otoczeniu po tym molekularnym

przewrocie.

W garażu biało-niebieski samochód szpitalnej ochrony z rykiem silnika podjechał do wejścia i z piskiem zatrzymał się przy nich. Sara podbiegła do samochodu, który zarzuciło przy hamowaniu. Wycelowała pistolet w twarz strażnika, trzymając go pewnie w obu rękach:

Wysiadaj!

Strażnik zorientował się w jednej chwili, że ta uzbrojona pacjentka musi być pozbawiona zdolności normalnego rozumowania do tego stopnia, że nie ma szans z nią dyskutować.

Chwila ta okazała się za długa dla Sary. Przyłożyła broń do jego głowy:

- W tej chwili!

Drzwi otworzyły się natychmiast i strażnik wypadł z samochodu z podniesionymi rękami. Cyborg podbiegł i mimochodem zepchnął mężczyznę z drogi siadając za kierownicę.

Sara wcisnęła Johna na tylne siedzenie, a sama usiadła z przodu. Terminator wrzucił wsteczny bieg i wcisnął pedał gazu, opony zapiszczały na śliskiej rampie.

Terminator podał Johnowi ponad ramieniem swoją strzelbę i powiedział:

- Załaduj.

John wyciągnął kilka magazynków z kieszeni swojej wojskowej kurtki i zaczął je ładować.

Sara trzymała się mocno, gdy Terminator wycofywał w górę rampy, zahaczając o jedną ze ścian i prawie tracąc kontrolę nad samochodem, ponieważ...

...T-1000 biegł do nich z windy. Był zupełnie nie uszkodzony, zmieniał się z

chromowanej formy w postać policjanta i gwałtownie zwiększał prędkość wbiegając na rampę.

Terminator podał Sarze kolejny magazynek do czterdziestki piątki. Wyrzuciła pusty i wsunęła nowy. Zatrzasnęła suwak.

Samochód wyjechał z garażu i wzdłuż służbowego podjazdu skierował się w stronę bramy strażniczej.

John skończył ładowanie i oddał strzelbę Terminatorowi. Ten wychylił się przez okno i wycelował w ścigającego. Twarz T-1000 była czerwona w świetle reflektorów.

Terminator wystrzelił, wrywając dziurę w ramieniu T-1000. Świecący metalicznie płyn uformował się w dziurze zamykając ją, a potem zmieniając się z powrotem w mundur.

Sara, na wpół wychylona z okna, pociągnęła za spust czterdziestki piątki. Pierwsze dwa strzały chybiły, ale trzeci trafił dokładnie w czoło. Sprawił jedynie tyle, że T-1000 zwolnił na moment. Strzelała raz za razem. Kule dziurawiły pierś i głowę maszyny. Zamiast tracić moc na formowanie "ran", T-1000 włożył całą swoją energię w rozpęd i gwałtownie zbliżał się do samochodu. Przejechali przez bramę rozbijając szlaban.

- Trzymajcie się - powiedział cyborg spokojnie i ostro skręcił kierownicę. Samochód zrobił gwałtowny skręt z piskiem opon.

T-1000 był już prawie przy nich.

Ręka Terminatora mignęła ponad dźwignią zmiany biegów, a stopa docisnęła pedał gazu do podłogi. Samochód szarpnął do przodu.

T-1000 wyskoczył w górę lądując na bagażniku. Jego ręka zmieniła się w metalową włócznię i wbiła w dół przez pokrywę. W chwilę później uformowała się w błyszczący, chromowany hak. Ciągnąc stopy po chodniku, T-1000 uderzył drugą ręką, wbijając drugi hak w tył samochodu i podciągając się w górę.

Terminator odwrócił się do Sary i powiedział:

- Prowadź!

Złapała kierownicę, podczas gdy on wychylił się do połowy przez okienko kierowcy.

Sara przygwoździła stopą pedał gazu, prowadząc samochód z prędkością 70 mil na godzinę.

John patrzył teraz przez tylne okno jak T-1000, już cały na samochodzie, utrzymywał się na nim przy pomocy jednej ręki-haka, a drugą podniósł do uderzenia. Chłopiec schował się w chwili, gdy T-1000 wepchnął drugą rękę-hak przez okno, rozbijając szybę i chybiając o milimetry.

Wyciągnął rękę przygotowując następne uderzenie i rzucił się do przodu w chwili, gdy Terminator przerzucił strzelbę nad dachem samochodu i wystrzelił.

Ramię T-1000 zostało trafione tuż nad “dłonią” kotwiczącą go do samochodu.

Wielkokalibrowy ładunek rozerwał “nadgarstek” odrywając rękę-hak.

Policjant Austin spadł z przyspieszającego samochodu. John podniósł się i wyjrzał z rozwartymi oczami przez rozbite okno. T-1000 uderzył mocno o chodnik, ale po chwili jednym ruchem wstał na nogi i dalej biegł za nimi.

Ale tym razem tracił dystans. Sara dociskała pedał do podłogi, zaś metaliczno-płynny zabójca też miał swoje ograniczenia. Nie mógł ich doścignąć na nogach.

John zobaczył “żelazną rękę” ciągle wbitą w bagażnik; dokładnie naprzeciw niego. Z werwą sięgnął i wyrwał ją, po czym wyrzucił na ulicę. Rozciągnęła się w jajowaty kształt wskutek siły rozpędu, potem zmieniła w drgającą kroplę.

Samochód pędził w czerń nocy.

Chwilę później T-1000 zwolnił, patrząc na oddalające się tylne światła samochodu.

Ucieczka celu nic dla niego nie znaczyła, Odroczenie mogło być tylko kwestią czasu. Choć Terminatorzy mieli wewnętrzne chronometry, T-1000 go nie miał. Była to część nowego planu Skyneta. Poczucie czasu miało swoje zalety, ale w większości przypadków ścigania był to element niepotrzebny. Czas nie ma znaczenia, jeśli twój prześladowca nie może być zabity, nie może być zatrzymany i nigdy się nie męczy.

T-1000, w błogiej nieświadomości wszystkiego oprócz trasy ucieczki celu, popatrzył w

dół. Kropla metalicznego płynu na asfalcie zaczęła drgać, potem się wydłużyła, rozciągając jak płynny palec, aż dotknęła “buta” funkcjonariusza Austina wpływając w niego, łącząc się z główną masą.

Czas był tylko chwilowym odroczeniem tego, co nieuchronne.

# Ucieczka

AUTOSTRADA 33 W KIERUNKU POŁUDNIOWYM

12:06 w nocy

Samochód szpitalnej służby bezpieczeństwa przeciął pusty odcinek oświetlonej księżycem autostrady z wyłączonymi światłami, samochód-widmo przecinający wiatr.

Powietrze świstało w rozbitym oknie, kiedy Terminator jechał z łatwością trzymając się wypunktowanej linii rozdzielającej szosę. John widział we wstecznym lusterku delikatny czerwony blask oczu cyborga.

- Czy ty cokolwiek widzisz?

Prawdziwe oczy Terminatora, za osłoną atrapy ludzkich, nastawione były na widzenie nocne. Badały widok przed nim, wchłaniając zmniejszoną dawkę fotonów i formując z nich monochromatyczny obraz autostrady, jasny jak południe słonecznego dnia. Różne odczyty przesuwały się w nim błyskawicznie, tworząc całościowe poczucie ruchu i masy, kreując w ten sposób najbezpieczniejszego autopilota na świecie.

Terminator odpowiedział trzeźwym tonem, który zabrzmiałby jak przechwałka, gdyby nie wiedzieli, że ich towarzysz to maszyna:

- Wszystko.

- Świetnie - powiedział John, trochę pocieszony. Sara obserwowała Terminatora, ciągle nie dowierzając własnym zmysłom. Sara, która zawsze była o kilka minut spóźniona w swojej pracy kelnerki w Big Buns, wiele lat temu, potrzebowała jedynie kilku sekund, żeby oswoić się z niemożliwym. Potem odwróciła się do najważniejszego celu jej życia. Popatrzyła na Johna na tylnym siedzeniu.

- Czy nic ci nie jest?

Zaprzeczył ruchem głowy.

Wyciągnęła do niego rękę. Serce Johna zabiło mocniej. Jego matka nigdy nie marnowała czasu na okazywanie uczuć. Było zbyt wiele innych, ważniejszych spraw. Ale teraz przyciągnęła go przytulającym gestem. Może się zmieniła. Może teraz naprawdę zależy jej na nim, a nie na jakiejś jego głupiej misji w przyszłości. Szczęśliwy, zarzucił jej ramiona na szyję. Zamiast go przytulić, zaczęła przesuwając rękami po jego ciele szukając ran. Johnowi wydało się to bardzo kliniczne, zupełnie jakby weterynarz obmacywał psa szukając złamanych kości. Była w tym uwaga.

Ale nie było prawdziwej miłości.

Odsunął się od niej ze złością. Nie był to tylko gest. Nienawidził jej wiecznego sprawdzania go, traktowania jakby miał się zbić, jak okaz rzadkiej porcelany.

- Powiedziałem, że nic mi nie jest!

Sara popatrzyła na niego, rozdrażniona i surowa:

- To było bardzo głupie z twojej strony przychodzić tam.

John nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zazwyczaj oczekujesz, że matka nakrzyczy na ciebie, kiedy zrobisz coś złego, ale teraz wrzeszczała na niego za uratowanie jej cholernego życia! Zanim mógł poradzić sobie z własną konsternacją, jej złość wybuchła ze zdwojoną siłą:

- Do diabła, John, musisz być mądrzejszy! Nie możesz ryzykować swoim życiem, nawet dla mnie, rozumiesz? Potrafię o siebie zadbać! Doskonale sobie radziłam. Jezu, John! O mało nie zginąłeś!

Broda mu drżała. Powracały stare odczucia. Znowu tworzyła ten obraz jakiegoś supermana i próbowała go w niego wtłoczyć. Posunęła się za daleko, ale zdawała się tego nie zauważać. Nigdy nie zauważała. I, jak zwykle, wszystko co robił było niewłaściwe.

Żeby powstrzymać gorące, wstydlive łzy, wyjąkał:

- Ja... musiałem cię stamtąd wyciągnąć... Przepraszam... ja...

John pomyślał, że więcej zrozumienia znalazłby w pustych oczach cyborga niż w jej.

Siła łez tryskających z oczu zaskoczyła go; skrzywił się. Odwrócił się, nie chcąc, żeby zobaczyła go w chwili słabości. Ale ona zobaczyła, jak łkanie wstrząsa jego ciałem. Zwróciła się do niego trochę delikatniej, tonem usprawiedliwienia:

- Przestań! Natychmiast! Nie wolno ci płakać, John. Inne dzieci mogą sobie na to pozwolić. Ty nie.

Terminator odwrócił jedno oko i popatrzył na oczy płaczącego Johna. Wyciekał z nich jakiś płyn. Terminator poszukał w pamięci jakiejś informacji, ale nic nie znalazł. Czy to była rana?

- Co się stało z twoimi oczami?

- Nic! - odparł John ostro, wycierając nos w rękaw.

Sara wzięła głęboki oddech, zdając sobie nagle sprawę, jaka była surowa.

Całe jej ciało drżało. Myśli jej się rozproszyły, obrazy z jej życia pojawiały się, przebijając chaotycznie do jej świadomości, z której szybko próbowała je wypchnąć. Gdzieś w głębi duszy czuła, że zrobiła coś niewłaściwego ze swoim synem.,, już po raz kolejny.

Wystarczająco ciężko było wychowywać dziecko jako samotna matka, a już zupełnie niemożliwe, gdy to dziecko ma się stać centrum koła Przeznaczenia, wielkim przywódcą ludzkości, człowiekiem, który ma ją zbawić. Musiała być twarda, żeby nauczyć się jak przetrwać, musiała zabić w sobie tę część, która kochała z czułością. Kiedy już to zrobiła, wszystko stało się o wiele prostsze. Ale była za to cena. Ona i jej syn ograbieni zostali z normalnego życia. Wszystko, co ich obchodziło, to przygotowania do światowej wojny, I to ich kosztowało. Sara starała się jak najlepiej. Bardzo kochała swojego syna. Ale, gdyby to okazała, czy nie uczyniłaby swego syna słabym? Potrzebował siły, mądrości i zręczności w posługiwaniu się bronią, a nie miłości. Ale nienawiść, którą widziała teraz w jego oczach...



A jednak to kosztowało tak wiele.

W tym samym czasie ulegała innym, automatycznym reakcjom. W pewnym sensie jak ta maszyna.

Odwróciła się do Terminatora, rzucając mu ostrożne spojrzenie.

- Dobra! - powiedziała. - To co masz mi do powiedzenia?

# Ironia losu

## SZPITAL STANOWY W PESCADERO

12:23 w nocy

Policyjne samochody gęsto obsiadły trawnik, a ich światełka wirowały niezmordowanie. Karetki torowały sobie drogę przez tłum zmieszanego personelu i kilku przechodzących pacjentów. Dr Silberman mamrotał, gdy sanitariusze ciągnęli go w kierunku karetki. Słowa zamieniały się w gorącą paplaninę, ale nie miałyby żadnego, sensu dla nikogo, nawet gdyby zwolnił. Mówił:

- ... to wszystko była prawda. I naprawdę wszyscy umrzemy. I ten facet się zmieniał.

Widziałem, jak się zmieniał. Dokładnie na moich oczach. Przeszedł przez kraty. Jakby ich nie było. Musicie mi wierzyć. Nie przeżywam psychicznego załamania. Jestem lekarzem i znam się na tych rzeczach, mówię wam...

Jego beładna mowa została stłumiona, gdy związali go rzemieniami i zamknęli za nim drzwi karetki. Jego dni jako psychiatry już się skończyły.

Leonard Silberman, jeden z nielicznych szczęśliwców, którzy przeżyli przyjsście pierwszego Terminatora wiele lat temu, był teraz mimowolną ofiarą drugiego.

Los uwielbia kpić.

T-1000 szedł dużymi krokami w kierunku głównej bramy i kręcących się policjantów.

Policjant jadący w przeciwnym kierunku na motocyklu zwolnił, gdy, zobaczył Austina:

- Nic ci nie jest?

T-1000 zużył 14 mikrosekund taksując motocykl i policjanta. Potem powiedział:

- O rany, ale fajny motor.

Dwudziestu ośmiu policjantów i detektywów na terenie szpitala nie widziało, jak

T-1000 odjechał na motocyklu. Ciało prawdziwego policjanta znaleźli dopiero kilka godzin

później, wepchnięte bezceremonialnie w stos śmieci. Nikt nigdy nie podejrzewałby Austina o jakikolwiek związek z tym wszystkim. Nie myśleli, że “on” był najbardziej niebezpieczną rzeczą na tej planecie, skonstruowaną przez coś, co jeszcze nie istniało, żeby zamknąć księgę ludzkości jednym dobrze wymierzonym dmuchnięciem.

Byli zbyt zajęci zbieraniem nazwisk świadków.

# Opuszczona stacja

GDZIEŚ ZA LA MESA, CALIFORNIA

4:16 rano

Terminator prowadził bez zmęczenia, ze stałą prędkością, automatyczny kierowca w ludzkim kształcie. Sara wciąż roztrząsała to, co właśnie usłyszała, spokojniejsza teraz, skupiona. Strategicznie myśląca, trafiająca w dziesiątkę Sara.

- Ten T-1000... co się dzieje, gdy się w niego strzela?

- Penetracja balistyczna uszkadza jego hydrostatykę, ale tylko na kilka sekund. Ostatnie obserwacje wykazały, że może on skropić swą strukturę molekularną, aby kule przelatywały na wylot. Albo zmienić swój kształt.

- Czy można go zniszczyć?

- Nie wiadomo. Jednak bardzo możliwe, że kiedy T-1000 utwardza swą strukturę, aby użyć broni lub wkroczyć do walki, jego struktura molekularna staje się krucha. Byłby wtedy najbardziej podatny na paralizującą falę wstrząsową.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, później Sara dostrzegła coś w górze przed sobą: samotny neon w ciemnościach.

- Zatrzymaj tutaj...

Terminator wjechał na walącą się stację benzynową Benthic Petroleum, z bzyczącym neonem i bez żywej duszy naokoło. Wolno minęli puste biuro. Wywieszka w oknie głosiła: "W NIEDZIELĘ NIECZYNNE". Objechali budynek do tylnych drzwi garażu.

Terminator wysiadł, gwałtownym ruchem wybił zamek w rolowanych drzwiach i podniósł je. Sara przesunęła się i wprowadziła samochód do środka, aby był niewidoczny.

Terminator spuścił za nimi drzwi.

Przez chwilę byli w miarę bezpieczni.

Sara włączyła górne światło. Ona i Terminator spojrzeli na siebie. Był postrzelany i krwawił. Ona miała ziejące cięcie na prawym ramieniu, a jej bluza była przesiąknięta krwią.

- Wyglądasz jak ręcznie wyciśnięte gówno - powiedziała.

Terminator wyświetlił te słowa na ekranie i przeszukał spis wyrazów w ulicznym slangu pasujących do kontekstu. Pojawiła się lista:

*Odpieprz się.*

*Pocałuj mnie w dupę.*

*Sama nie lepiej wyglądasz.*

*Dobra, dobra.*

W ułamku sekundy Terminator wybrał ostatnie hasło i powiedział głośno:

- Ty też.

Sara prawie się uśmiechnęła.

Prawie.

Kilka minut później wykradli z biura zestaw pierwszej pomocy, jakieś nici, nie za bardzo przetłuszczone łachmany, butelkę alkoholu do przemywania i trochę drobnych narzędzi. John obserwował jak Terminator ściągnął zakrwawione łachy i podał mu czyste.

Sara siedziała na pustym pudle obok cyborga. Zszywał jej ranę kawałkiem mocnego drutu, który odcięli ze zwoju prądnicy. W czasie sterylizowania wydawał on przyćmioną, czerwoną poświatę; przed rozpoczęciem Terminator potrzywał go przez parę minut nad palnikiem butanowym. Przypomniała sobie, jak Kyle mówił jej dawno temu, że ból można kontrolować, rozlokować, ujarzmić, tak żeby można było iść naprzód ze swą misją. Twarz Kyle'a zaczęła pojawiać się w jej pamięci, a wraz z nią powrócił dawny ból. Mogło to zmać jej świadomość w chwili, gdy była jej najbardziej potrzebna. Zatrzasnęła więc drzwi przed tą twarzą i powracając do swego ramienia starała się kontrolować ból. Używając ostro

zakończonych szczypiec, Terminator przeciągnął drut przez bladą skórę z precyzją maszyny.

Znalezienie miejsca na wszystkie ból sprawiło jej nieco kłopotu.

Terminator wychwycił leciutkie drgnienie na jej twarzy i mechanicznie osądził, jak mógłby przynieść jej ulgę. Ból nieco ustąpił, ale nawet gdyby wiedziała, jak cyborg to zrobił, nie podziękowałaby mu.

Rzekł coś, aby zmniejszyć jej stres i zwolnić akcję serca, dzięki czemu straty krwi byłyby zredukowane:

- Mam szczegółowe dane na temat ludzkiej anatomii.

Okazało się to niezbyt skuteczne. Sara zajrzała w jego twarz, oddaloną o kilka cali. Jej puls łomotał od ledwo hamowanej agresji.

- Założę się, że czyni cię to bardziej efektywnym mordercą, prawda?

- Prawda - powiedział Terminator nie przerywając szycia.

John przyglądał się temu, wdzięczny Terminatorowi za opiekę nad matką i zdumiony, że dostrzega ona tylko ciemne strony cyborga. W końcu było to tylko narzędzie, zaprogramowane przez niego samego w przyszłości, aby ochraniało ich teraz. Terminatorzy nie byli z natury źli. Po prostu byli. Różnie tylko ich się używało. Podobnie jak pistoletu. Pragnął wytłumaczyć to Sarze, lecz ona wyraźnie krążyła myślami gdzieś daleko.

Kilka minut później nadeszła kolej cyborga. Skórzana kurtka była usiana dziurami po kulach. Rozebrali Terminatora, odsłaniając jego szerokie, muskularne plecy, zeszpecone tuzinem ciekących otworów. Rany były też z tyłu ramion i nóg. Na szczęście wszystkie po kalibrze 9 mm, a więc niewielkie. Miały znaczenie tylko kosmetyczne.

- Czy to boli? - zapytał John.

- Czuję zranienie. Można by to nazwać bólem.

Sara zaczęła przemywać otwory w plecach alkoholem, przenosząc się myślami w zimną

noc, kiedy w kanale niezgrabnie opatrywała rany młodego mężczyzny.

Był to wówczas jej pierwszy polowy opatrunek. Pochwalił ją.

Znowu tamta twarz, odnajdująca inne drzwi do jej serca. Zatrzasnęła je wszystkie. Była to męka znacznie gorsza niż rwanie w świeżo zabandażowanym ramieniu, ale konieczna.

Wyszperała słowa, które przywróciłyby ją ponuremu Tu i Teraz:

- Czy to się zagoi?

- Tak.

- Miło to słyszeć. Bo jeśli nie będziesz wyglądał jak człowiek, nie na wiele nam się przydasz.

Sięgnęła szczypcami w głąb krwawych ran i znalazła pokryte miedzią kule, zgniecione o jego zbrojony szkielet. Jedna po drugiej z brzękiem wpadały do szklanki.

John zaczynał zdawać sobie sprawę, z kim mają do czynienia, Człowiek-maszyna, który mógł wejść pod bezpośredni ostrzał, a potem samemu poszukać kogoś, aby mu o tym powiedzieć, był w zasadzie nieśmiertelny.

- Jak długo żyjesz, mam na myśli - ostatnio?

- Na mojej obecnej komórce energetycznej - sto dwadzieścia lat w normalnych warunkach.

Sara wyjęła ostatnie kilka kul. Szklanka była prawie wypełniona zmiażdżonymi pociskami. Następnie zaczęła zamykać rany szwami z drutu. John patrzył w niemym zdumieniu.

Dwaj wojownicy spokojnie naprawiający się nawzajem.

- Czy możesz się uczyć? Tak, abyś mógł być... no, wiesz. Bardziej ludzki. Nie taki wał jak teraz.

- Mój CPU jest procesorem układu nerwowego... komputerem do uczenia się. Ale kiedy

SkyNET wysyła nas gdzieś samych, odblokowuje tylko włącznik "czytanie".

- Nie chce, żebyście za wiele myśleli, co?

W jego odpowiedzi nie było ironii, jedynie fakt:

- Tak.

- Ej, czy moglibyśmy nastawić ten włącznik?

Sara spojrzała na Terminatora, unosząc jedną brew.

- Tak - odpowiedział cyborg.

Terminator dał jej wstępne wskazówki, po czym Sara znalazła nóż i zaczęła wycinać skórę na szczycie jego czaszki. Głos Terminatora był równy i niewzruszony poczynaniami Sary, kiedy instruował ją, aby rozciągnęła krwawe nacięcie i zlokalizowała w chromowej czaszce pomocnicze wejście do CPU.

- Teraz zdejmij osłonę wejścia.

John wziął szmatę i stał wydobywającą się krew. Sara użyła podciśnieniowego śrubokręta, aby odkręcić osłonę.

Terminator przyglądał się cyfrowemu obrazowi pracy Sary w lustrze, które John przyniósł z umywalni. Jej ręce były unurzane we krwi, gdy czekała na dalsze instrukcje.

- Złap CPU za dolny uchwyt. Ciągnij. Sięgnęła do wewnątrz szczypcami i sprawnie zdjęła osłonę przeciwwstrząsową, potem weszła w głąb czaszki cyborga. Delikatnie złapała za dolny uchwyt CPU i wyciągnęła go z tulei.

Terminator poczuł rozsadzające nieruchomienie, a potem ciemność.

John i Sara patrzyli na to, co zostało usunięte. Czerwonawo-brązowy prostokąt z włącznikiem na jednym końcu. Mniej więcej wielkości i kształtu domina. Dokładne oględziny wykazały, że składa się z małych sześciątów złączonych ze sobą, identycznych jak ten rozbity z podziemi Cyberdyne. Teraz wiedzieli, co Miles Dyson ciągle próbował opracować: mózg



Terminatora.

John obszedł Terminatora i spojrzał na jego twarz. Była kompletnie bezwładna. Brak pracy płuc. Żadnych skurczów. Oczy otwarte.

Nieżywy.

Dla próby John uniósł jego ogromną rękę. Kończyny poruszyły się posępnie, kiedy siłą ciągnął je wzdłuż linii ruchu. Było to jak poruszenie kończyny zeszywniałych zwłok. Uwolnił rękę, a ona pozostała w uniesionej pozycji.

Dla Johna stało się jasne, że takie oględziny były dla Terminatora największym zagrożeniem. Mogli rozpocząć demontaż. Człowiek-maszyna rozłożony na części pierwsze był tylko kupą złomu. A jednak Terminator pozwolił im wyciągnąć swój mózg i unieruchomić go. Dowodziło to ogromnego zaufania.

- Ale - zastanowił się John - czy maszyna może ufać? Sara studiowała kostkę CPU pod lampą.

- Znalazłaś włącznik? - zapytał John.

Zignorowała go, topiąc zimny wzrok to w Terminatorze, to w kostce. Jej uczucia były więcej niż usprawiedliwione. Strategicznie było to niepożądane. Nie było też szczególnie konieczne. Terminator był już wyłączony z akcji. Jednak emocje były tak silne i irracjonalne, że, zanim John zorientował się co się dzieje, położyła kostkę na stole i chwyciła mały młot kowalski. Gdy uniosła go do ciosu, John zrozumiał i krzyknął:

- Nie!

Aby ochronić kostkę nakrył ją dłonią. Jedyne to mogło pohamować jej zamach. Sara z trudem wstrzymała młot nim zmiażdżył jego palce.

- Z drogi, John!

- Nie! Nie zabijaj go!

- Tego, John! Nie go! *Tego!*

- W porządku, *tego*. Potrzebujemy *to!*

John trzymał rękę dokładnie tam, gdzie przedtem.

- Lepiej się nam samym wiedzie.

- Ale jest to jedyny dowód o przyszłości, jaki mamy... o wojnie i o tym wszystkim.

Sara wahała się. Chłopiec miał rację. Ale ona była wciąż owładnięta nienawiścią do duplikatu tego czegoś, co zabiło Kyle'a Reese'a.

- Nie ufam *temu!* Te maszyny trudno jest uśmiercić, John, wierz mi. Ja to wiem.

Możemy już nigdy więcej nie mieć takiej okazji.

- Popatrz, mamó. Jeśli mam kiedykolwiek zostać tym wielkim przywódcą, powinnaś w końcu zacząć słuchać mojego zdania. Bo jeśli ty nie będziesz, to nikt nie będzie.

Kolejny dobry argument. Drzazga dumy z syna wśliznęła się między jej szal i bezradnego Terminatora.

John zdał sobie sprawę, że on i matka przeżywają przełomowy moment. Widział to w jej oczach. Przez lata desperacko próbował trzymać się jej programu, dopasować się do formy, którą dla niego odlała. Aż do tego momentu ponad wszystko pragnął jej zadowolenia. Teraz wyczuwał subtelny wymianę mocy między nimi. Z jej oczu wyglądało zmieszanie i niepewność, jakich John nigdy wcześniej nie widział. I to on je tam zasiał. Miał rację. A ona to wiedziała. Powoli odjął więc rękę od kostki, potem odstąpił krok w tył. Teraz wybór należał do niej.

John pokonał kolejny stopień ku zostaniu Johnem Connorem. Ponieważ w swej mądrości zachował się słusznie.

Sara wciąż drżała w furii jak napięta struna. Głowa kazała jej odłożyć młotek. Serce - kazało jej nim uderzyć. Tak też zrobiła.

Cał obok CPU.

- W porządku, zrobimy tak, jak ty chcesz.

John chwycił kostkę w dłoń i zbadał ją dokładnie, marszcząc czoło z intensywnością dziecka. Znalazł to, czego szukał i wzięwszy agrafkę przesunął niemal niewidoczny włącznik do przeciwnej pozycji, nadając CPU funkcję "pisać". Wykrzywiając usta, zręcznie umieścił mózg elektronowy w szparze w zbryzganej krwią czaszce Terminatora.

W nieskończonych ciemnościach światło znów zabłysło, aby ożywić znieruchomienie.

Dla Terminatora było to mgnienie, a jego świadomość nie ucierpiała. Widział w lustrze cyfrowe obrazy Sary i Johna stojących za nim. Nie czuł się inaczej niż zwykle. Badanie wnętrza nie wykazało żadnych uszkodzeń. Wszystkie systemy były sprawne. Jedynie zegarek wskazywał, że upłynęło więcej czasu niż wymagało tego wykonanie zadania,

- Czy były jakieś problemy? - spytał Terminator. John zerknął z zakłopotaniem na Sarę, potem uśmiechnął się do cyborga.

- Żadnych problemów. Nic z tych rzeczy.

Kilka godzin później Sara siedziała w ciemności ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o ścianę i kołysząc na kolanach "45". Obserwowała swego syna, który, pogrążony w głębokim śnie, leżał na tylnym siedzeniu samochodu. Sen dzieci jest niezgłębiony. Wszystkie horrory dnia przemieniły się w ujarzmione potwory albo w zabawne przygody. Nigdy jeszcze tak beznadziejnie nie pragnęła spać w ten sposób. Była cała obolała, a gdy się poruszała, czuła się tak, jakby jej stawy przepelniał piasek. Potrzebowała dobrego, solidnego posiłku i dwudziestu godzin snu bez absolutnie żadnych wizji.

Lecz jej oczy były szeroko otwarte.

Tak długo, jak długo Terminator będzie z nimi.

Stał obok okien biura, w blasku księżyca, cichy i nieruchomy, obserwujący noc.

Obłądny manekin. Tylko jego oczy się przesuwały, tropiąc samochody, które niekiedy przejeżdżały drogą.

Wierny, mechaniczny wartownik.

Wydawał się coraz jaśniejszy i promienisty, kiedy przebiegał po nim refleks światła kolejnego samochodu. W końcu jednak Sara zrozumiała, że to nie tylko on stawał się coraz jaśniejszy. Cały pokój wypełniał się światłem. Myśląc, że to samochód skręcił do nich, zerwała się i zacisnęła dłoń na "45".

Po chwili odetchnęła. To nie był samochód.

To poranek.

*Musiałam się zdrzemnąć, pomyślała z przerażeniem. Ta przeklęta maszyna ciągle stoi w tej samej pozycji.*

*Mogła zrobić cokolwiek, kiedy nie uważałam.*

Samokrytyka Sary była zbyt surowa. Z kompletnego wyczerpania lekko przysnęła, ale jej mózg był tak wyczulony na niebezpieczeństwo, że gdyby Terminator poruszył się choćby o cal, wiedziałyby o tym. Niewiele mogłyby poradzić, ale wiedziałyby.

Starła się dosięgnąć do stóp, krzywiąc z bólu w ramieniu. Będzie tak dokuczało całymi tygodniami.

A wszystkie miejsca na ból były już wypełnione. Zmagając się ze sobą pokuśtykała do Johna i szturchnęła go łokciem na pobudkę.

Jego powieki zatrzepotały, otworzyły się i oczy ujrzały sylwetkę matki pochylającą się nad nim w mroku przedświt. Zaczął się uśmiechać z dziecięcą radością, aż, gdy znalazła się w smudze światła, zobaczył jak była wyniszczona i surowa. Uśmiech przetopił się w nadąsaną, senną minę, kiedy usłyszał jej niski, bezbarwny ton, niedaleki od brzmienia głosu Terminatora:  
- Robi się jasno. Musimy się ruszyć.

John i Terminator poszli do starego chevroleta-furgonetki zaparkowanego z tyłu garażu.

Słońce wieńczyło horyzont na bezchmurnym niebie. Powietrze było rześkie i ostre, wiatr dmuchał w ich ubrania i włosy. Tumany pyłu goniły się po ziemi. Zapowiadał się długi, upalny dzień.

Furgonetka była zamknięta, więc Terminator wybił pięścią boczną szybę i zwyczajnie otworzył drzwi. Wspięli się do wnętrza i Terminator jednym ciosem zmiażdżył deskę rozdzielczą dookoła kierownicy. Kiedy się rozprysła, zdarł resztę jednym ruchem, po czym obrócił koniuszkami palców kikut stacyjki. Zanim John sięgnął do blendy przeciwsłonecznej, silnik już chodził. John opuścił blendę i komplet kluczyków upadł mu na kolana. Uśmiechnął się szeroko i zadyndał nimi przed oczami Terminatora:

- Uczymy się jeszcze?

Terminator nic nie powiedział, jednak wewnątrz robił coś, czego nigdy wcześniej nie czynił. W przeszłości krzyżował już ze sobą nowe dane, znajdując ich kontekstowe znaczenie i umieszczając w pamięci. Była jednak subtelna różnica. Terminator tylko połowicznie był jej świadom. Umieszczenie kluczy, ludzka motywacja, by ukryć tam zapasowy komplet i podtekst tej motywacji, przetworzyły niemal organiczną mieszankę wiadomości w rozległą świadomość, niepodobną do żadnego z zapisów o nowych danych, jakie wcześniej przeżył w swym krótkim życiu. Przebiegał nowe dane w te i z powrotem, analizując je małą cząstką swego umysłu, podczas gdy pozostała część prowadziła ciężarówkę wzdłuż pomp i napełniała jej bak do pełna.

Sara wyszła z biura stacji. Znalazła kurtkę mechanika, dobrą do przykrycia krwi na bluzie. Używaną, ale całkiem czystą. Nie leżała na niej zbyt dobrze, ale była lepsza niż ta ze szpitala. Wciąż była bosa.

Słońce poraziło ją w oczy. Zawsze oglądała je przez zadymione, okratowane i zadrutowane okna. Tak długo nie stała w jego pełnym blasku, na otwartej przestrzeni, z

wiatrem we włosach. Pragnęła czuć się wolna.

Tymczasem czuła się niebezpiecznie odsłonięta.

Terminator i John wsiedli już do furgonetki. Kiedy i ona wspięła się na miejsce obok syna, Terminator wydał pierwsze tego dnia oświadczenie:

- Należy odjechać od miasta tak daleko, jak będzie można.

Sara też była za tym. Znała tę drogę ucieczki. Opracowała ich z tuzin przez te lata.

Spojrzała w dół szosy, która zbiegała się na horyzoncie:

- Trzymaj kurs na południe.

## **Niedzielną przejażdżka**

SZOSĄ 215, NA POŁUDNIE

9 czerwca 1992,

Niedziela, 9:46 rano

Furgonetka grzmiała w dół długiego pasma otwartej, niezatłoczonej szosy. Terminator prowadził, a Sara siedziała na miejscu pasażera. John z tylnego siedzenia obserwował tyły ich głów, zdumiewając się, jak bardzo byli podobni do jakiejś przedziwnej rodziny na niedzielnej przejażdżce. Sara przechyliła się, aby spojrzeć na szybkościomierz.

- Trzymaj poniżej sześćdziesięciu pięciu. Nie możemy sobie pozwolić na dachowanie.

Terminator lekko przymknął przepustnicę, mówiąc:

- Potwierdzam.

- Nie, nie, nie - skarcił go John - posłuchaj jak ludzie mówią. Nie pleć takich rzeczy, jak *potwierdzam* albo innych robotowych bzdur. Masz mówić *nie ma sprawy*, jasne?

Terminator pokiwał głową, znów wpisując informacje w ten leciutko odmienny sposób, kojarzący się z

chwytnością złudnych duchów podtekstów i wzajemnych zależności, które nie od razu są oczywiste.

Sara, zagubiona w myślach, nie zwracała uwagi na lekcję.

John udzielał dalszych objaśnień, profesor bieżących wyrażen potocznych:

- Jeśli ktoś podchodzi do ciebie z jakąś sprawą, mówisz *ugryź się gdzieś*. Jeśli chcesz ich zatkać, to *hasta la vista, mały*.

— Hasta la vista, mały? - zapytał Terminator, niepewny wymowy chłopca, ale czując, że pasuje to do kontekstu.

— No, albo *później, frajerze*. Albo jeśli ktoś jest zdenerwowany, mówisz: *odsmuć się*.

Lubię to. Albo możesz sobie kombinować.

W kilka sekund pomysł został zarejestrowany w syntetycznym umyśle, po czym Terminator rzekł:

- Odsmuć się, frajerze.

- Świetnie! Widzisz, chwytasz to!

- Nie ma sprawy - dodał Terminator. John uśmiechnął się od ucha do ucha z dumą nauczyciela, któremu powiodła się lekcja.

# Tankowanie

## KAWIARNIA JACK'A

10:01 rano

Stał tam dystrybutor paliw oraz licha budka z szybkim jedzeniem. Z boku były ustawione stoły do konsumpcji. Przy jednym z nich siedziała rodzina z dziećmi, które bawiły się i biegały w pobliżu. Matka, trzymająca dwuwarstwowego cheeseburgera kobieta pod pięćdziesiątkę i o dwadzieścia kilo za gruba, bezmyślnie spoglądała nad ramieniem męża, jak zakurzona furgonetka podjeżdża do dystrybutora.

Sara odwróciła się do Johna i zapytała:

- Masz jakąś gotówkę?

John wyciągnął to, co zostało z jego pieniędzy z włamania i szybko przeliczył:

- Tylko dwie stówki. Dam ci połowę. Sara wyrwała mu z ręki wszystkie pieniądze, wyciągnęła z pliku dwudziestkę i wręczyła mu z powrotem:

- Kup trochę jedzenia - poleciała, po czym otworzyła drzwi i wyszła. John spojrzał na Terminatora.

- Brak poczucia humoru. Cyborg nie odpowiedział. John westchnął:

- Chodź.

Wyszli z furgonu i ruszyli w kierunku budki z jedzeniem.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział John. - Mógłbyś trochę się uśmiechać. Ta rutynowa powściągliwość staje się nudna. Śmiech to zdrowie.

- Śmiech?

Terminator rozważał nowe pojęcie. Nie wydawało mu się, aby mogło ono przyczynić się w najmniejszym stopniu do sukcesu misji.

- Tak, śmiech. No, wiesz, ludzie się uśmiechają, co nie. Patrz.



John podszedł do okienka w budce i uśmiechnął się do kobiety w średnim wieku o wyblakłej twarzy, stojącej niecierpliwie w środku.

- Cześć. Fajna okolica. Jak biznes?

Kobietę bardzo bolały nogi i nie miała czasu dla zasmarkanych pętek.

- Odczep się.

John odwrócił się do Terminatora wzruszając ramionami.

- W porządku. Zły przykład.

Po chwili zauważył coś za plecami cyborga.

- Spójrz tam.

John wskazał młodą dziewczynę spoglądającą na swojego chłopca dzwoniącego z automatu. Ktoś po drugiej stronie słuchawki go rozśmieszył i dziewczyna zaczęła się śmiać razem z nim.

- Tak jak tamci - powiedział John.

Terminator skupił ostrość na uśmiechającej się parze. Po chwili kopia uśmiechu chłopaka pojawiła się na elektronicznym ekranie. Rozciągnięte na boki wargi wypełniły cały obraz. Terminator powtórzył to jeszcze raz w zwolnionym tempie. Tym razem graficznemu wykresowi uśmiechu towarzyszyło pojawienie się danych.

I znowu różnica w porównywanych danych uderzyła Terminatora. Musiały gdzieś być jakieś nieokreślone przecieki danych z podświadomości do jego mózgu obwodowego.

Terminator się uczył.

Wiedząc wszystko co potrzebował wiedzieć na temat uśmiechu, spróbował go zrealizować w praktyce. John skrzywił się. Rezultat był kiepski. Cyborg zaledwie skrzywił smętnie górną wargę.

- Lepiej nie rób tego publicznie. Spróbuj jeszcze raz. Następny wysiłek Terminatora

przyniósł niewielki postęp.

- Nie wiem. Być może powinieneś ćwiczyć przed lustrem, lub coś w tym rodzaju.

Terminator spróbował ponownie.

Otyła kobieta spojrzała nad ramieniem męża na wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę, stojącego przy budce z jedzeniem. Robił jakieś dziwne miny.

- Ralf - powiedziała niepewnie. - Myślę, że coś jest nie w porządku z tamtym facetem.

Kiedy Ralf obejrzał się, zobaczył, jak mężczyzna dla próby wykrzywia usta.

- Widocznie wpadłaś mu w oko - powiedział powracając do jedzenia.

Uderzyła go w rękę. Mocno.

Kiedy Sara wyszła z toalety, John i Terminator przynieśli już cheeseburgery i colę do samochodu. Dołączyła do nich i drapieżnie porwała torbę frytek.

Zaparkowali z dala od innych rodzin, przy końcu zwirowego parkingu. Terminator, zupełnie niezainteresowany jedzeniem, napełniał chłodnicę. Sara, głęboko zamyślona, mechanicznie przeżuwała cheeseburgera i analizowała w milczeniu całą sprawę.

Co było po nich?

Jaka była strategia Skyneta?

Co mogli zrobić, aby powstrzymać T-1000?

Zaczynała czuć się trochę lepiej, bardziej kontrolować. Teraz wiedziała, co musi zrobić.

To, co próbowała zrobić już dawno temu. To, co ją zobowiązało. Był to pomysł, który porzuciła, ale dzięki istnieniu T-1000 w jej czasach wiedziała, że nadszedł czas realizacji.

Skynet dostarczył dowodu, którego potrzebowała. Uwierzył, że podróże w czasie mogą zmieniać historię.

Ten przypuszczalnie najbardziej złożony mózg w historii mógł rozwinąć takie podróże do rangi broni taktycznej.

SkyNET rzeczywiście był pewien, że przemieszczenia w czasie mogłyby go uchronić od porażki. Dlatego wysłał dwóch Terminatorów, jednego w rok 1984 i jednego w dzień dzisiejszy. Po to, by usunąć matkę, a gdy to się nie uda - dziecko.

Usunięcie tych ludzkich istot jak kawałków łańcuchów miało mu dać nadzieję na wynurzenie się nowego historycznego ładu, bardziej po jego myśli. Układając przeszłość chciał zmieniać teraźniejszość.

- W porządku - pomyślała Sara.

Jej organizm zwiększył ilość wydzielanej adrenaliny.

- Dlaczego nie mam zrobić tego samego? Dlaczego nie znaleźć sposobu, aby zmieniać teraźniejszość zmieniając przyszłość?

To było to, czego usiłowała dokonać przed laty, zanim po raz pierwszy zaatakowała Cyberdyne. Zrozumiała teraz, że trzeba się bardziej skupić na jednej istotnej osobie. Żeby w pewnym momencie historia została jak najbardziej oddalona od wojny nuklearnej.

John chciał z nią porozmawiać. Nie o strategiach, nie o broni i nie o przyszłości. Po prostu porozmawiać. O milionach rzeczy i o niczym. Tu raczej ton był ważniejszy. Trywialne nic, nie mające końca i dostarczające im obojgu przyjemności. Ale widział mrok w jej spojrzeniu, mrok będący tam zawsze. Bo oczywiście nie znał innej Sary. Tej przed jego narodzinami. Przed Terminatorem. Nie wyobrażał jej sobie jako niezwykle pięknej dziewczyny, której jedyną poważną decyzją w życiu było jaką w college'u obrać specjalizację. Wszystko co widział, to pogrążona w myślach, pozbawiona spokoju Sara. Jej życie przemieniło się w misję z nim jako celem.

Nie udzielało mu się jej skupienie, więc wstał i poszedł do miejsca, gdzie pracował Terminator.

John widział dzieci bawiące się w pobliżu karabinami na wodę. Pomiędzy chichotami z

zaciekłością się nawzajem oblewały.

- Zabity!

- Wcale nie!

- A właśnie, że tak!

Bardzo stara gra w udawanie wojny i śmierci. Udawanie ostatecznego upadku w bezdenną głębię nicości. Wyczuwalna, ale niewyobrażalna dla dziesięcioletniego dziecka. Chyba, że jest się Johnem Connorem.

Sara okrążyła samochód i dostrzegła, jak John ciężko wzdychając spogląda na cyborga.

Nie zauważając Sary zapytał:

- Nie mamy zamiaru tego zrobić, no nie? Mam na myśli ludzi. Terminator spojrzał na walczące dzieci.

- W waszej naturze leży niszczenie się nawzajem.

John skinął głową. Widział prawdziwych ludzi z prawdziwymi karabinami grających w grę śmierci. Przemoc zdawała się nadchodzić w wielu formach. W telewizji, w kinie, w gazetach, w kawałach. Pomiedzy kochankami i przyjaciółmi. Wrogowie byli wszędzie. A krew płynęła swobodnie.

Inne dzieci widząc to wszystko mogłyby znaleźć powód do śmiechu. To było przecież takie nierealne, takie odległe - dopóki nie znalazłeś się w samym środku. Dopóki twoja matka ci tego nie uświadomiła zmuszając cię do myślenia, aż w końcu wszędzie zamiast twarzy widziałeś czaszki.

Przyszłość.

To wszystko była prawda.

Tam będzie wojna.

I miliony zginą.

I to on powiedział tych, co przetrwają, przeciwko maszynom. Nic nie zostanie do wygrania, do odzyskania, oprócz okaleczonych ciał i rozległych ruin. Właśnie to czuł.

Ostatecznie mruknął:

- Hm, więc opór, tak.

Sara zgadła o czym myślał. W ten sam sposób od lat wyrażała swoją desperację.

Doskonale wiedziała, co oczekiwało jej syna. Zwycięstwo, tak, ale dopiero po latach walki w najpodlejszych warunkach.

John Connor był bez wątpienia osią, wokół której obracał się Los. Z pewnych względów był w samym środku okręgu. Pętla czasu obracała się wokół niego w jakiś niewytłumaczalny sposób. To był zabójczy ciężar. Żaden człowiek nie powinien być obarczony takim brzemieniem. Spoglądanie na swego syna, ukrywającego się przez wszystkie te lata, było jakby spoglądaniem na ludzkość krzyczącą każdą swoją komórką przeciw podłości i okrucieństwu Losu. Jego przeznaczeniem było zostanie zbawicielem, lecz jakże wielkim kosztem. Życie ich obojga było napiętnowane. Była skłonna to zaakceptować, aby ocalić miliony innych dzieci. Tak, poświęciłaby siebie i swojego syna. Kończąc porcję frytek Sara była gotowa do działania. Podeszła do Terminatora.

- Muszę wiedzieć, jak Skynet został zbudowany. Kto za to odpowiada? - zapytała.

Terminator przeszukał swoją pamięć. W obwodach miał umieszczoną ogólną historię swojego czasu. Dane przydatne jako podstawa do porządkowania wydarzeń w czasie obecnym. Zdobył dostęp do tych danych przez przedstawienie ich jako informacji taktycznych.

- W największym stopniu jest za to odpowiedzialny Miles Bennet Dyson, dyrektor Projektów Specjalnych w Cyberdyne Systems Corporation - odparł.

- Dlaczego on?

- W ciągu kilku najbliższych miesięcy stworzy rewolucyjny model mikroprocesora.

- No i co z tego?

Terminator zamknął bagażnik i wsiadając do furgonetki mówił:

- W ciągu trzech lat Cyberdyne stanie się największym dostawcą komputerowych systemów militarnych. Wszystkie bombowce będą potajemnie ulepszone i dzięki komputerom Cyberdyne staną się całkowicie niezależne od człowieka. Będą latać z perfekcyjną dokładnością operacyjną.

Sara podskoczyła za Johnem, gdy Terminator zaczął wyjeżdżać z parkingu.

- Och, wspaniale. A więc to tamte tłuste skurwiele z Waszyngtonu pozwalają komputerom prowadzić całe to widowisko, tak?

- Dokładnie - odparł cyborg po zinterpretowaniu jej kolokwializmu.

Przyspieszył wjeżdżając na szosę i kontynuował:

- Fundusze Skyneta będą na wyczerpaniu, gdy system wejdzie w życie 4 sierpnia 1997.

Decyzje człowieka zostaną usunięte z systemów obrony strategicznej. Skynet zacznie się uczyć w postępie geometrycznym. Zyska samoświadomość o 2:14 w nocy z 28 na 29 sierpnia czasu wschodniego. Ogarnięci paniką ludzie będą usiłowali go wyłączyć.

- I Skynet rozpęta wojnę?

- Tak - odpowiedział Terminator. - Wystrzeli swoje ICBM-y przeciwko celom w Rosji.

- Dlaczego zaatakuje Rosjan? Przecież są teraz naszymi przyjaciółmi.

- Ponieważ Skynet wie, że rosyjskie przeciwuderzenie usunie jego tutejszych wrogów.

Sara zaczęła dostrzegać nikły promyk nadziei na ciemnym dotychczas niebie.

- Jak dużo wiesz o Dysonie? - zapytała.

- Posiadam szczegółowe dane.

- Chcę wiedzieć wszystko. Jak wygląda. Gdzie mieszka. Wszystko.

John ujrzał dobrze mu znaną zawziętość na twarzy matki. Oznaczało to wyzwanie.

# Domator

POŁUDNIOWA LAGUNA, CALIFORNIA

10:51 rano

Dom Milesa Dysona był luksusowym osiągnięciem najnowszych technologii. Był to jeden z tych domów z przydymionego szkła i stali. Głęboko zamyślony Dyson siedział w swoim gabinecie przy masywnym obsydianowym biurku i stukał w klawiaturę. Obok biurka stały półki z wymyślnymi przyrządami elektronicznymi. Większość z nich stanowiły urządzenia sprawdzające obwody. W niedzielny poranek, kiedy większość ludzi odpoczywa spędzając czas z rodzinami, Dyson był w swoim żywiole.

Cieężko pracował.

Jego umysł grasował po labiryncie Partii Drugiej, owego mikroprocesorowego Kamienia z Rosetty, i dlatego nie zauważył pięknej kobiety stojącej w drzwiach i przyglądającej mu się z uwagą. Nie miał też najmniejszego pojęcia, że zaczęła się skradać za jego plecami. Gdyby miała pistolet, z łatwością mogłaby go zabić. Zamiast tego nachyliła się nisko, wysunęła język i przesunęła koniuszkiem po jego karku.

- Dzień dobry, Tarriso - powiedział uśmiechając się i odwracając, aby pocałować żonę, która wciąż jeszcze była w szlafroku, a w ręku trzymała filiżankę gorącej kawy.

- Znowu byłeś całą noc na nogach - powiedziała ze śladem irytacji w głosie.

- Uhm - mruknął powracając do komputera.

Patrzyła przez chwilę na niego, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie już zapomniał, że stoi obok. Tajemnicze symbole przebiegające ekran nie znaczyły dla niej zupełnie nic. To ją zaniepokoiło. Tarissa wiedziała, że nie ma żadnego punktu zaczepienia, dzięki któremu mogłaby wejść do jego magicznego świata. Świata, któremu poświęcał osiemdziesiąt procent swojej dziennej aktywności. Oczywiście na początku małżeństwa

spędzali ze sobą więcej czasu, ale odkąd zaczął pracować dla Cyberdyne, poczuła się jak w klasztorze.

- Chcesz pracować cały dzień? - zapytała, próbując stłumić swoją irytację.

Nie chciała skończyć tak jak inne żony, jęczące bez końca o pustynny życiu u boku zwariowanych mężów. Miała wiele możliwości nadania swojemu życiu znaczenia. Poślubiła Milesa Dysona, bo uwielbiała z nim przebywać i dlatego chciała, aby ich związek trwał dwadzieścia cztery godziny na dobę, odejmując oczywiście dziesięć do dwunastu godzin, które poświęcał na pracę. W rzeczywistości te czternasto-, piętnastogodzinne dni zamieniały się w jedną noc w tygodniu, kiedy pozwalał sobie na zaspanie i późniejsze wyjście do laboratorium. Dyson oczywiście zdawał sobie sprawę, że jego żona jest nieszczęśliwa. Przypuszczał jednak, iż jest to problem do rozwiązania. Gdyby udało mu się rozwikłać zagadkę Partii Drugiej, mógłby spędzać więcej czasu z rodziną i zdjąć z barków żony część problemów wychowawczych z dziećmi. I znowu wszystko byłoby pięknie. Ale teraz zdarzało mu się postawić żonę na drugim miejscu; a to pozostawiało rany na ich małżeństwie.

- Przykro mi kochanie. Ta robota daje mi po dupie. Myślałem, że już to mamy...

Wskazał na prototyp Partii Drugiej, który w formie metalowego pudełka długości dwóch stóp spoczywał na jego biurku. Była to niewykończona zbieranina małych sześcianów, gigantyczna wersja CPU Terminatora... Myślę, że to przez sposób, w jaki powielam kolejność rozkazów. Ponownie wrócił do komputera. Mógłby równie dobrze mówić po marsjańsku. Było to co prawda miłe z jego strony, że próbował jej cokolwiek wytłumaczyć, ale miał tylko bardzo inteligentną żonę, a nie genialną, jak on sam. Nie chcąc mu tego uświadamiać, spróbowała małej dywersji, włamując się pomiędzy jego czynności:

- Potrzebujesz przerwy. Będziesz wszystko wyraźniej widział jak wrócisz.

Bezpieczna ogólnikowa rada. Oczywiście nie mógł się zgodzić:



- Nie mogę.

Teraz pozwoliła już dojść do głosu swojej irytacji:

- Miles, jest niedziela. Obiecałeś zabrać dzieciaki do Raging Waters.

- Och, kochanie. Nie mogę. Jestem już blisko.

Ze wzrastającym entuzjazmem chwycił ją za dłonie. Zauważyła na jego twarzy takie podekscytowanie, jakie można spotkać u dzieci. *On tak bardzo chce przeżyć dreszcz prawie że fizycznej rozkoszy wynikający z odkrycia, satysfakcję tworzenia*, pomyślała. W pewnym sensie go rozumiała.

- Kochanie, to ich wszystkich wywali w powietrze - mówił dalej. - To jest neutralny procesor...

- Wiem. Mówiłeś mi. To jest neutralny procesor myślący. On myśli i uczy się tak jak my. Jest superprzewodnikiem w temperaturze pokojowej. Inne komputery w porównaniu z nim są kieszonkowymi kalkulatorami.

Cofnęła dłonie.

- Ale dlaczego to jest takie ważne, Miles? Naprawdę chcę wiedzieć, bo czasami czuję, jakbym tu miała zwariować.

Teraz wyciągnęła to na światło dzienne. Trzymała to w sobie, zanim nie poczuła się jak żona Stepforda. Nie chciała mówić tego akurat dzisiaj, ale nie przypuszczała, że jest zdolny złamać obietnicę daną dzieciom.

- Przepraszam, skarbie. To dlatego, że jestem już tak blisko. - mówiąc to podniósł kciuk i palec wskazujący, pozostawiając pomiędzy nimi minimalną odległość.

Skrzywiła usta i podniosła prototyp:

- Wcale na to nie wygląda.

- Wyobraź sobie odrzutowiec z pilotem, który nigdy nie popełnia błędów, nigdy się nie

mężczy i nigdy nie pokazuje się w pracy na kacu.

Poklepał pudełko w jej dłoniach.

- Oto pilot. Poznajcie się.

Wszystko w porządku. Ale ona i tak chciała od dawna zadać mu to pytanie, i wyrzuciła je z siebie teraz, zdumiewając Dysona jego bezpośredniością:

- Dlaczego się ze mną ożeniłeś, Miles? Po co mamy dwoje dzieci? Przecież ty nas nie potrzebujesz. Twoje serce i umysł są tutaj.

Wskazała na prototyp.

- Ale on cię nie kocha tak, jak my.

Wzdychając odebrał delikatnie pudełko z jej rąk i postawił na biurku. Potem położył dłonie na jej ramionach i pocałował w usta. Na początku niechętna, w końcu uległa jego pieściwości. W chwili, gdy się od siebie odsuwali, jej uczucia były diametralnie zmienione. W oczach błyszczała miłość. To nie był tylko pocałunek. I nie był to sposób, w jaki ją pocałował, męski i seksowny, a przy tym czuły i delikatny. To był wyraz jego oczu.

Zapomniała, jak zapominała już wcześniej, że chociaż niewiele o niej wiedział, to przecież szczerze ją kochał.

- Przykro mi - powiedział.

Teraz mu uwierzyła. Ciągle mogła do niego dotrzeć. Jeszcze nie był całkiem stracony. Jeszcze.

Ponownie zaczął ją całować, ale Tarissa powstrzymała go, ruchem głowy wskazując na drzwi.

Stały tam ubrane w piżamy jego dzieci, ze zmierzwionymi włosami i buziami zapuchniętymi od snu. Danny i Blythe. Słońce i księżyc. Namacalny dowód jego miłości do żony. Był szalonym, z przymusu opętanym naukowcem. Ale nie umarł dla świata. Roztopiał się

jakby pod wpływem nadziei malującej się na ich twarzyczkach.

- Co powiesz na spędzenie z nimi trochę czasu?

To był głęboki konflikt. Z jednej strony nieskończone możliwości na dobro dla całej ludzkości, leżące w mrocznym wnętrzu metalowego prototypowego obwodu. Z drugiej — jego własna rodzina, niewielki wycinek ludzkości, ale czekający na niego tu i teraz.

Chciał obu tych rzeczy. Ale dzisiaj mógł mieć tylko jedną. Jedna z nich miała zamiar rozwijać się nawet bez jego udziału i nie mogła czekać. Siły ciemności przegrały tą rundę.

Dyson uśmiechnął się i wyciągnął ręce do nadbiegających dzieci.

## **Arsenał**

### PUSTYNNIA NA PÓŁNOCNY ZACHÓD OD CALEXICO

12:04 po południu

Ziemia płonęła w słońcu jak w delirycznej halucynacji. Gorąco zniekształcało obraz jak miraż, gdy Terminator zjechał furgonetką z betonowej szosy i poprowadził ją wzdłuż piaszczystej, zwirowanej drogi, pozostawiając za sobą chmurę kurzu. Minęli znak, który mówił: CHARON MESA 2 MI, a pod nim - CALEXICO 15 MI.

Z przodu Sara zobaczyła żalosną oazę ludzi na tym olbrzymim pustkowiu: parę starzejących się domków na kółkach, otoczonych przez złomowisko pojazdów i śmietniska, jakie spotyka się na pustyniach. Za domami było prowizoryczne lądowisko i stojący nieopodal zdemontowany helikopter huey. Ktokolwiek tu mieszkał, nie dbał specjalnie o komfortowe życie. Albo o przyjemności zorganizowanej społeczności. I przypuszczalnie nie płacił żadnych podatków.

Furgonetka wtoczyła się i zatrzymała w chmurze kurzu.

- Zostańcie w samochodzie - powiedziała Sara, wysiadając powoli.

Zorientowała się, że ktoś próbował nadać temu miejscu taki wygląd, jakby było

opustoszałe. Drzwi najbliższego domku łomotały na wietrze. Nie było żadnego hałasu, poza samotnym lamentem wiatru w zaroślach jukki. *Dobra taktyka*, pomyślała, *biorąc pod uwagę, że musieli widzieć zbliżającą się chmurę kurzu już kilka minut temu.*

Gdy przechodziła przez podwórze, zaobserwowała lekki zarys przesuwających się cieni wewnątrz jednego z domków. Być może była przewrażliwiona, ale wydawało jej się, że dostrzegła błysk metalu. Najprawdopodobniej broni.

Mały, szatański obłoczek kurzu zawirował, kłując ją w oczy. Trzymając puste ręce daleko od ciała, ostrożnie podeszła do domku, mając nadzieję, że nie popełniła błędu. Być może jednak jej przyjaciele odjechali i miejsce było opuszczone.

Albo zostało zajęte przez mniej przyjazne dusze.

- Enrique? Jesteś tu? - spróbowała, jej głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w pustym powietrzu.

Usłyszała za sobą trzask ładowanej broni i odwróciła się błyskawicznie, wrywając zza pasa swoją czterdziestkę piątkę jednym gwałtownym ruchem. Rzeczywiście, zrobiła to szybko, Terminator wypadł z samochodu i wyciągnął swoją strzelbę o całe dwie sekundy po niej.

Celowali w mężczyznę, który nagle pojawił się na tle huey'a. Był to krępy

Gwatemalczyk po czterdziestce, z ogorzałą twarzą i wielkimi wąsami, w kowbojskich butach i wojskowej kamizelce na nagiej, prawie bezwłosej piersi. Miał AK-47 wycelowany w czoło Sary. Zmarszczył brwi i przemówił tak cicho, że ledwie go słyszała:

- Connor, ty śliczna nerwusko.

Palec Terminatora zaciskał się na spuście, ale John położył mu ręce na ramieniu, potrząsając przecząco głową. Cyborg zawahał się i obserwował. Uczył się.

Dziki rysy Enrique'a Salcedy rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Opuścił karabin i podszedł do Sary, zarzucił jej ramiona na szyję i zamknął w mocnym uścisku.

Kiedy się cofnął, żeby się jej przyjrzeć, oboje już się uśmiechali.

Salceda przemówił w niewyraźnym hiszpańskim, ale Sara doskonale go rozumiała:

- Dobrze cię widzieć, Connor. Wiedziałem, że wrócisz, prędzej czy później.

Pomachał Johnowi, wracając do kaleczzonego angielskiego:

- Hej, wielki John! Que pasa? Kim jest twój olbrzymi przyjaciel?

John odpowiedział bardzo dobrym hiszpańskim:

- On jest w porządku, Enrique. To jest... ee... mój wujek Bob. - zwrócił się do

Terminatora i powiedział po angielsku: - Wujku Bobie, to jest Enrique.

Terminator spróbował się uśmiechnąć. Musiał jeszcze dużo nad tym popracować.

Salceda zerknął na niego z ukosa. Rzucił spojrzenie na Sarę.

- Hmm, wujek Bob. Dobrze.

Potem krzyknął w kierunku jednego z domków:

- Yolanda! Chodź tu, mamy gości! I przynieś trochę pieprzonej tequili!

Szczupły młody Gwatemalczyk o imieniu Franco, mniej więcej osiemnastoletni,

wyszedł z domku z MAC-10A, a za nim pulchniutka, pomarszczona, ale wesoła żona Salcedy,

Yolanda. Trójka młodszych dzieci podążała za nią jak kaczki: Juanita, śliczna dwunastolatka,

Jannie, szczerzący zęby ośmiolatek, i Paco, dwuletni brzdąc. Yolanda pomachała Johnowi i

wykrzyknęła powitanie po hiszpańsku.

Terminator popatrzył w dół na Johna i powiedział cicho:

- Wujek Bob?

- No, Sarita - powiedział Salceda - robisz się sławna, wiesz? Ciągle o tobie mówią w tej cholernej telewizji.

Zerwał nakrętkę z butelki z teguilą i dal jej do picia. Podniosła butelkę i pociągnęła

kilka zdrowych łyków, potem oddała ją Salcedzie bez słowa.

Paco podszedł niepewnym krokiem do Terminatora i chwycił go za spodnie obśliniając je. Zafascynowany cyborg popatrzył w dół na małe dziecko. Nigdy dotąd nie widział tak małego człowieka. Szybko przeszukiwał swoją pamięć w poszukiwaniu danych na temat niemowląt. Niewiele tego było. Gdy inni rozmawiali. Terminator sięgnął po dziecko i podniósł je jedną wielką ręką obracając w różne strony, pod różnymi kątami, kodując wszystkie fizyczne dane. Dziecko wydawało się nie mieć nic przeciwko temu, gapiąc się w beznamiętną twarz cyborga.

Terminator postawił Paco na ziemi. Dziecko odeszło kołysząc się, z lekkim zawrotem głowy, i wpadło na ojca. Salceda podniósł go i podał żonie.

- Kochanie, weź Pacolito. Dziękuję, maleńka.

Salceda wziął butelkę od Sary i wypił połowę jej zawartości. Potem zwrócił się do "wujka Boba" i wyciągnął rękę z teguilą:

- Pijesz?

- Nie, dziękuję - odparł Terminator. Salceda zwrócił się znów do Sary:

- Długo zostajecie?

- Przyszłam jedynie po mój bagaż. I potrzebuję ubrania, jedzenia i jedną z twoich ciężarówek.

- Tak, a może jeszcze plomby z moich pieprzonych zębów, jak już przy tym jesteśmy? - burknął Salceda, ale śmiał się cały czas, gdy to mówił.

- No wiesz, Enrique - posłała mu czarujący uśmiech. Jeden z tych, którym nie mógł się oprzeć. Nie, żeby było między tymi dwójkiem coś więcej niż wzajemny szacunek i zaufanie.

Chociaż Yolanda nie była już ideałem piękna dla żadnego mężczyzny, to była matką jego dzieci, ciągle wspaniała w łóżku. Poza tym Salceda wiedział doskonale, że gdyby kiedykolwiek spróbował czegoś z Sarą, Amerykanka prawdopodobnie obcięłaby mu jaja i rzuciła je

kurczakom.

Zrobiła tak wiele dla jednego z jego młodszych kuzynów, kiedy była tu ostatnio.

Sara odwróciła się do Terminatora i swojego syna:

- Wy dwaj zajmiecie się bronią.

- Och, mammo... - zaczął John.

- Marsz! - rozkazała Sara.

- Chodź - powiedział John do Terminatora i poszedł w kierunku starego i zardzewiałego ciągnika gąsienicowego za jednym z domków. Wspiął się na siedzenie pilota i z miną eksperta obejrzał na Terminatora, który stał nieopodal, trzymając koniec ciężkiego łańcucha znikającego w piasku.

- Zaczep go - krzyknął John, ale kiedy się obejrzał, Terminator już wyciągał łańcuch ręką za ręką, wyszarpując olbrzymią metalową pokrywę zagrzebaną pod sześciocalową warstwą piasku.

- Niesamowity - powiedział John, zeskoczył z traktora i podszedł do sześciokątnej dziury w ziemi. Terminator przyłączył się do niego i popatrzył w dół na coś, co wyglądało jak wejście do grobowca,

- Jedna ważna rzecz o mojej mamie - powiedział John - ona zawsze planuje z wyprzedzeniem.

Najpierw John, a potem Terminator wskoczyli do dziury. Słońce wpadało ukośnie do pomieszczenia zbudowanego z żużlowych bloków, mniej niż na 6 stóp szerokiego, ale za to długiego na dwanaście. Piach sypał się po ścianach pokrytych bronią prawie każdego rodzaju. Były tam strzelby, pistolety, miotacze ognia, moździerze, RPG, aparatura radiowa. W przeciwległym końcu stały skrzynie z amunicją, granatami i raketami.

To było pomieszczenie, w którym Terminator nie miał żadnych kłopotów ze

zrozumieniom. Człowiek-maszyna przeszukał je szybko swoimi analizatorami, żeby zdecydować gdzie zacząć. Podniósł miotacz granatów M-79 z epoki wojny wietnamskiej. Była to bardzo prymitywna, ale efektywna broń. Otworzył zamek i zajrzał do lufy. Wystrzelono z niej zaledwie kilka razy.

- Wspaniale.

- Tak myślałem, że spodoba ci się to miejsce - John uśmiechnął się smutno.

Sara wynurzyła się z domku w butach, czarnych spodniach, koszulce z krótkimi rękawami i ciemnych okularach. Teraz była już inną Sara. Zwolniła wreszcie. Miała jedzenie i znajdowała się wśród tych kilkorga ludzi na świecie, którym mogła ufać. Była nie tylko odrodzona i odprężona - przygotowywała się równocześnie na atak przeciw ślepyim siłom Skyneta i Przeznaczenia.

Co nie znaczy, że już się nie bała. Jej syn nadal był celem czegoś, co czyniło bezsilnym nawet Terminatora. Czegoś, o czym nigdy nie pomyślałaby, że jest możliwe.

Ale ostatnio zaczęła się przyzwyczajać do niemożliwego. Człowiek zamknięty w szpitalu wariatów myśli o różnych niemożliwych rzeczach. Teraz, kiedy była wolna i widziała już T-1000, zaczęła się zastanawiać, czy niektórych z tych niemożliwości nie mogłaby wyprodukować sama.

Salceda był nie opodal, pakując z Yolanda żywność i inne potrzebne do przeżycia rzeczy. Popatrzył na Sarę jak podchodziła, uderzając w burtę wielkiego bronco obok niego.

- To najlepszy wóz, jaki mam, ale zapłon jest zepsuty. Macie trochę czasu, żeby to naprawić?

- Tak, będziemy czekać do zmroku, żeby przekroczyć granicę.

Odciągnęła go tak, aby Yolanda nie mogła ich słyszeć, nie chcąc martwić jej tym, co miała mu do powiedzenia.



- Enrique, tu jest dla was niebezpiecznie. Musicie wynieść się stąd dziś w nocy, rozumiesz?

Oczy mu się zwęziły, gdy na nią patrzył, zupełnie jakby go znieważyla, potem w uśmiechu odsłonił złote koronki na zębach:

- Tak, Sara. Jasne. Po prostu wpadnij, jak masz wolną chwilę, i całkowicie rozpiernicz moje życie. Klepnęła go po ramieniu:

- Przep...

- Przestań - odpowiedział. - Zrobiłabyś dla mnie to samo.

Wrócił do pakowania. Sara patrzyła przez chwilę jak pracował u boku żony i pomyślała o rodzaju ludzkim. Żli mężczyźni i kobiety miotali się rozpaczliwie w ciągłym kryzysie swego życia, bezlitośnie usuwając każdego, kto pojawił się na ich drodze. Były też owieczki, ludzie którzy nie mieli własnego życia, ale podświadomie podporządkowywali je innym, albo łatwo skłaniało się ich do wyrzeczenia się potrzeb, do zaniechania walki z wiecznymi zdobywcami, nawet jeśli prowadziło to do ich śmierci.

A oprócz tego byli jeszcze Salcedowie.

Mężczyźni i kobiety, którzy mieli swoje własne zasady. Nowocześni Cyganie, odmawiający ujarznienia przez materialne pokusy miasta i państwa. Tworzyli małe grupy, olbrzymie rodziny i przemieszczali się po kraju nie tykani przez władze, bo byli uzbrojeni i niebezpieczni, gdy ktoś się do nich przypieprzał.

Niczego od nikogo nie chcieli. Niczego od nikogo nie brali. A czasami dawali, ot tak.

Ludzie tacy jak Salceda pomogli Sarze zdecydować w czasie jednego z najciemniejszych okresów w jej życiu, że ludzkość warto jednak ratować.

Był taki czas, gdy jedyną rzeczą, o której mogła myśleć, było ukrycie Johna przed światem, przyczajenie się, przeczekanie wszystkiego w takim miejscu, gdzie będą mogli

przeżyć wojnę z maszynami, a potem żyć w jakiejś dziurze na końcu świata, przeżywając to, co im pozostało, na skraju totalnego zapomnienia. Pozwolić, by wiatr historii uniósł ludzkość. Do diabła, może to po prostu taka naturalna selekcja? Darwin zmechanizowany, zredukowany do efektywnej maszyny do zabijania grzebiącej swoich twórców.

Widziała wtedy wiele zła. Ludzi, którzy chcieli ją wykorzystać, nie zważając na to, że ma malutkiego synka. Ludzi, którzy byli zbyt ślepi, by dostrzec, jak nisko upadli. Ludzi, którzy to wiedzieli i byli z tego powodu niebezpieczni, bo gotowi na wszystko, byle tylko wyciągnąć się z tego dna.

Była taka noc gdy modliła się, tak, modliła się do Boga, którego istnienia nie była nawet pewna, żeby położył kres temu wszystkiemu. A gdy nikt nie odpowiedział na jej modlitwy, przesiadzała całą noc z pistoletem w rękach, czując jego przynoszący ulgę chłód i myśląc o skończeniu świata dla niej i Johna.

Ale nie mogła tego zrobić. Wtedy wszystkie te świnie rzeczywiście by wygrały. Po tej nocy stała się twardsza niż kiedykolwiek, jej miłość do Johna zapieczętowana została w żelaznym, nieugiętym postanowieniu. On nie umrze. I maszyny zostaną zwyciężone. I śmierć Kyle'a będzie miała sens.

Ale ciągle jeszcze nie dbała szczególnie o los ludzkości. Straciła umiejętność martwienia się o ludzi poza nią samą i Johnem, dopóki Salceda jej nie znalazł i nie przywrócił ludzkości dzięki swojej rodzinie.

I teraz Sara krzyczała w ciemność przeciw potwornemu zagrożeniu nuklearnym unicestwieniem. Dlatego, że widziała dzieci Salcedy umierające w radioaktywnych płomieniach.

Tak, jeśli kiedykolwiek w historii był czas na niemożliwe, było to właśnie teraz.

Na dole, w szybie z bronią, John wybierał karabiny z długiego stojaka. Terminator

powrócił po wyniesieniu kilku skrzynek z amunicją. John kontynuował swój potok myśli, zupełnie jakby przerwano mu przed chwilą:

- Widzisz, wychowałem się w miejscach takich jak to, więc sobie właśnie pomyślałem, że tak żyli ludzie... latając na helikopterach... zastanawiając się, jak wysadzić to gówno.

John wziął AK-47 i zarepetował, zupełnie jak człiekopodobne przedłużenie karabinu, badając go dokładnie. Jakies drobne wady broni sprawiły, że odłożył ją na bok. Jego ruchy były oszczędne. Jak u zawodowca. Bez szczególnego zainteresowania.

Terminator słuchał Johna tak, jak nie słuchałby go żaden człowiek. Każdy niuans intonacji nadawał słowom ukryte znaczenie, precyzyjnie zapisywane w elektronowym mózgu dla późniejszego przestudiowania, gdyby to było konieczne.

- Potem, kiedy mama zaczęła pracować, ja poszedłem do szkoły. Inne dzieci też tam były.

Gry. John myślał o tym, że do niedawna uważał, iż to wszystko było grą. Kiedy tak stał otoczony przez arsenał śmierci, zdał sobie sprawę, jak blisko śmierci był on i jego matka.

- Czy ty się kiedykolwiek boisz? - zapytał nagle cyborga. Terminator zatrzymał się na chwilę. Lęk. Taka myśl nigdy w nim nie powstała. Przeszukiwał dokładnie swoją pamięć, szukając odpowiedzi:

- Nie.

Strach był przeszkodą w całkowitym spełnieniu misji. A jednak, gdzieś na skraju tego zaprogramowanego faktu, błysnęła słaba iskierka. Ludzie bali się, bo byli śmiertelni. A jednak, mimo to, a może właśnie z powodu strachu, czasami poświęcali swoje życie dla spraw, które wydawały się Terminatorowi bezużyteczne. Miłość. To był bardzo interesujący paradygmat.

Terminator oddzielił część swojego umysłu, żeby się nad tym zastanowić; równocześnie ładował M-79 i zaczął rozglądać się za granatami.

- Nawet śmierci?

Żadnego wahania:

- Nie.

- Nic nie czujesz, gdy o tym myślisz, w ogóle nic? Terminator udzielił odruchowej odpowiedzi, chociaż ciągle o tym myślał:

- Muszę funkcjonować, dopóki nie wykonam zadania. Potem to już nie ma znaczenia.

John zaczął obracać na palcu dziewięćmilimetrowego sig saura... do przodu i do tyłu, jak Bat Masterson.

- Taak... Ja też muszę funkcjonować. - potem, naśladowując ton swojej matki: - Jestem zbyt ważny.

Litania jego życia. I otwierał swoje serce przed tą chodzącą śmiercionośną maszyną. *To smutne*, pomyślał John. Często tak robił. Dzielił się myślami tylko z sobą. Nie miał nigdy przyjaciół, jedynie rodzinę Salcedy. Co mógł powiedzieć swoim rówieśnikom? Próbował kilka razy rozmawiać z ludźmi. Obdarzali go jedynie dziwnymi spojrzeniami. John przypomniał sobie Tima. To był ktoś, do kogo zbliżył się najbardziej. Ale był tylko kimś, z kim podświadomie mógł dzielić swoją samotność, kumplem, z którym mógł łączyć.

Nawet Tim obdarzył go tym dziwnym spojrzeniem, gdy wspomniał o swojej zwariowanej matce.

Nie, dla Johna Connora świat był zimnym miejscem, nawet w chwilach ciepła. A tutaj, pomiędzy karabinami i brudem, rozmawiając z maszyną z przyszłości, naprawdę czuł, że jest słuchany.

Czy Terminator był przyjacielem?

Kilkakrotnie uratował mu życie w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Dawał rady.

Przyjmował je.

Nie robił wielu głupich błędów.

*Tak, pomyślał John, może to głupie, ale Terminator to przyjaciel. Sztuczny człowiek, bezlitosny w sytuacji, gdy był wymierzony przeciwko jego matce, okazał się obecnie całkiem fajnym facetem.*

Terminator wyciągnął kawał brezentu, odsłaniając squata, ciężką broń z sześcioma lufami umieszczonymi w tęnym cylindrze. Mini-Działo G.E. Prędkość strzelania - około 6000 kul na minutę. Ze stojącego obok pudła z amunicją zwisały pasy pełne naboji 7,62 milimetra. Najstraszliwsza broń epoki wojny w Wietnamie. Terminator umieścił pudło z amunicją w nylonowej torbie, po czym podniósł ciężki karabin.

John smutno pokiwał głową i powiedział:

- To właśnie cały ty.

Sara ułożyła przyniesioną przez nich broń i inny sprzęt na dwóch stolikach, żeby je wyczyścić i zapakować. Mapy, radia, dokumenty, środki wybuchowe, detonatory... rzeczy podstawowe. Następnym razem, gdy przybędzie T-1000, będą przygotowani. Czyściła broń metodycznie. Ani jednego zbędnego ruchu.

Nie opodal John i Terminator pracowali nad bronco, usmarowani po brwi, leżąc na plecach pod silnikiem. John mówił;

- Kiedyś jeden facet nauczył mnie trochę o silnikach. Oczywiście mama wszystko zepsuła. Prędzej czy później zawsze się wygada o tym Dniu Sądu i o mnie jako przywódcy ludzkości.

Część mózgu Terminatora składowała słowa i zachowanie Johna w zadziwiająco złożoną matrycę. Cyborg doszedł nagle do wniosku, że Johnowi brakowało w życiu czegoś bardzo ważnego. Jakiegoś elementu bardzo potrzebnego istocie ludzkiej do przetrwania.

Potrzebował więcej danych, żeby zorientować się, co to było.

Kontynuował pracę, prostą czynność, która wymagała jedynie części jego umysłowych możliwości.

- Śrubokręt proszę.

- Jest tutaj. Chciałbym poznać mojego prawdziwego tatę.

- Na pewno spotkasz.

- Też tak myślę. Mama mówi, że jak będę duży, wyślę go w podróż przez czas do roku 1984. Ale teraz on się jeszcze nawet nie urodził. Człowieku, mąci mi się w głowie od tego.

- Podaj mi sworzeń - poprosił Terminator, doskonale zaznajomiony z koncepcją pętli czasu i innej rzeczywistości.

John kontynuował:

- Mama i on byli ze sobą tylko raz, ale ona ciągle go kocha, tak myślę. Czasami widzę jak płacze. Ona oczywiście zaprzecza! Mówi, że coś jej wpadło do oka.

Wysunęli się spod furgonetki na pełne słońce.

- Dlaczego wy płaczecie? - zapytał Terminator, uświadamiając sobie, że była to część złożonej matrycy.

- Masz na myśli ludzi? Nie wiem. Po prostu płaczemy. No, wiesz. Kiedy coś cię boli.

- Rany to powodują?

- No, nie, to nie tak. To wtedy, jeśli nic ci nie jest, a jednak cię boli. Chwytasz? Cyborg stracił wątek.

- Nie.

John wzruszył ramionami.

- Musisz to poczuć, żeby zrozumieć, tak mi się wydaje.

- Też mi się tak wydaje - stwierdził Terminator, wskakując do bronco i przekręcając

kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył z warkotem.

- Juhuu!! Mój mężczyzna!! - John zawył z radości, klepiąc cyborga po odkrytym ramieniu.

- No problemo - powiedział Terminator uśmiechając się krzywo,

John roześmiał się i podniósł kciuki w geście zwycięstwa. Terminator nieśmiało powtórzył jego gest, niepewny jego znaczenia. John śmiał się, wyciągnął go z samochodu i zmusił do powtórzenia.

Po drugiej stronie placu Sara przerwała pracę i zaczęła przyglądać się Johnowi i Terminatorowi. Była zbyt daleko, by móc ich usłyszeć, widziała jedynie, jak John pokazywał cyborgowi różne gesty. Próbując nauczyć Terminatora chodzić bardziej normalnie, John przeszedł kawałek, potem Terminator spróbował, potem John zakreślił ręką szeroki gest, mówiąc coś szybko, tłumacząc podstawowe zasady. Spróbowali jeszcze raz. Tym razem ciężki mężczyzna zakołysał biodrami tak, jak to zrobił John.

Kiedy Sara obserwowała Johna z człowiekiem-maszyną, zdała sobie sprawę, że znalazła rozwiązanie jednego z punktów planu, który sobie układała. Terminator nigdy nie przestanie chronić Johna, nigdy go nie opuści... przeżyje całe życie Johna w tym jedynie celu. I nigdy go nie skrzywdzi, nie będzie na niego krzyczał, nie upije się i nie uderzy, nie powie, że nie ma dla niego czasu, bo jest zbyt zajęty. On umrze nawet, żeby go ochronić. Ze wszystkich ewentualnych ojców, którzy przewinęli się przez te lata, ta maszyna, ta rzecz, była jedyną, która się liczyła.

W całym tym chorym świecie, było to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Sara zacisnęła szczęki i powróciła do pracy... twarda kobieta, zahartowana przez lata wyborów niczym żelazo.

# Pocztowy trop

PERRIS, CALIFORNIA

1:23 po południu

T-1000 zaparkował policyjny motocykl na poboczu cichej, pustej drogi, obok rzędu uschniętych drzew pomarańczowych. Wstęga przejeżdżających samochodów przesuwiała się w oddali. Na brązowym wzgórzu za nią kilka szybów wypompowywało z ziemi ropę.

T-1000 przejrzał w pamięci wszystkie zwrotne adresy Johna. Sprawdził wszystkie oprócz ostatniego.

Charon Mesa, Calif.

Prędzej niż później.

Dla płynnego mózgu ten świat był jedynie prostą łamigłówką skrzywionej rzeczywistości. Kawałkami, które łatwo dawały się ponownie ułożyć w kosmicznym porządku.

Przyczyna i skutek były pojęciami najbliższymi stanom umysłu tak obcego, że nawet Terminator miałby problemy ze zrozumieniem go. Wypunktował kilka możliwych dróg pościgu. Metodycznie podążał jedną, konstruując równocześnie następną. Najważniejszą rzeczą było zbadanie wszystkich adresów na kopertach. Potem - wywnioskowanie ze spisu uzewnętrzniionych analogii, jaki będzie następny ruch celu, i uprzedzenie go. Po trzecie - czekanie nawet latami, jeśli to konieczne, i zbieranie mikroskopijnych okruchów informacji o wszystkim, co celu dotyczy. T-1000 miał zaprogramowaną wystarczającą ilość faktów historycznych, by wiedzieć, kiedy zacznie się wojna. Wiedział też, gdzie można spodziewać się Johna Connora w jej początkowych etapach. John Connor wreszcie się ujawni.

A T-1000 będzie tam już na niego czekał.

Sam Skynet wahał się, budując tę najnowszą broń. Były pewne nieprzewidywalne aspekty, związane z umiejętnością wykonywania poleceń bez interpolacji własnych



priorytetów maszyny. Była to tak niestabilna konstrukcja, że dopiero pod wpływem gwałtownego bólu całkowitej klęski, kiedy miał być zadany ostateczny cios, Skynet wysłał Terminatorów przez czas, by zmienić wynik wojny. I dopiero w ostatniej mikrosekundzie przed zapadnięciem zasłony wysłał T-1000.

Einstein powiedział kiedyś, że Bóg nie gra w kości ze Wszechświatem.

Skynet nie miał wyboru..

T-1000 zapalił silnik. Kawasaki 1100 szybko przyspieszał, dochodząc do 120 mil na godzinę. Był niczym metalowa plama, przemieszczający się prawie poza czasem, własnym szlakiem, który miał zaprowadzić go prosto do celu.

# Kowal losu

## OBOZOWISKO SALCEDY

5:56 po południu

Sara siedziała przy wyblakłym turystycznym stoliku. Broń była wyczyszczona, praca wykonana. Wzięła głęboki oddech, czując na ramionach ciężar całego świata. Słońce zniżało się coraz bardziej.

Nad tyloma sprawami,

Wyciągnęła nóż z pochwy przy pasku. Zaczęła bezmyślnie wyskrobywać coś na blacie stołu... literę N.

John i Terminator kończyli pakowanie bronco.

Sara popatrzyła ponad wyżłobioną literą, na dzieci Salcedy bawiące się nieopodal... pasujące się z małym kundlem. Yolanda wyszła z domku, prowadząc za rękę swojego berbecia.

Tutaj była równowaga. W tym obozowisku była jedność. Miłość. Dobra wola. Czulość.

Równowaga, której jej brakowało. Było jednak tak dużo do zrobienia. Żaden inny człowiek nigdy nie zrobił tak wiele jak ona. Jakże więc miała nie popełniać błędów?

Kiedy jednak patrzyła, jak Salceda podrzuca dziecko w powietrze, zupełnie jakby Paco był jakimś małym ptaszkiem, zerknęła do tyłu, na Johna ponuro ładującego broń i żywność na furgonetkę.

Za jego plecami dokazywały dzieciaki, ich śmiech był niepohamowany, a ciała skręcały się w szaleńczej swobodzie, której John nigdy nie poznał.

Słońce świeciło jej prosto w oczy. Kłuło. Przetarła je machinalnie i poczuła wilgoć na spodzie dłoni. Ból był zbyt duży. Zamknęła oczy.

Tylko na moment.

Był to błąd.

Wróciła na podwórko z koszmaru, a dzieci Salcedy były tam z innymi, bawiąc się z tą swobodą, którą rodzi zaufanie, że ich rodzice nie są aż tak szaleni, by spalić siebie samych latając helikopterami, skacząc ze spadochronem i uprawiając gimnastykę w dżungli. Trawa była jaskrawo zielona, a słońce nie boleśnie gorące, lecz ciepłe i życiodajne.

Sara wczepiła palce w ogrodzenie z siatki. Wpatrywała się w młode matki bawiące się ze swoimi dziećmi.

Małe dziewczynki skakały przez skakankę. Ich wyliczanki przebijały się przez wrzawę czynioną przez inne dzieciaki.

Pojawiła się matka prowadząca za rękę dwuletniego synka. Była ubrana w biało-różowy strój kelnerki. Odwróciła się. Miała taki pogodny uśmiech na ustach.

To była ona. Ona sama. Piękna. Promienna Sara nie skażona straszliwą wiedzą, nie obciążona ponurą przyszłością. Wpatrywała się w tę dziwną grupę za ogrodzeniem.

Wiedziała, że to nadchodzi. Niczym nieubłagane uderzenie boskiego młota.

Ze skurczoną twarzą Sara napierała na ogrodzenie. Zaczęła krzyczeć w ich kierunku, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Bezsilna, potrząsała kurczowo trzymaną siatką ogrodzenia. Wyła bezgłośnie.

Uśmiech Sary-kelnerki opadał jak jesienny liść. Przez moment ich spojrzenia skrzyżowały się w pozaczasowym wirze. Ale tamta odwróciła się. Jeszcze raz uśmiechnęła się, gdy jej mały chłopiec radośnie pokrzykując zaczął obsypywać piaskiem nogi swej mamy. Śmiała się coraz serdeczniej, zapominając o Sarze przy płocie, tak jakby była ona jedynie cieniem, złudzeniem wywołanym przez światło.

Na jaskrawym błękicie nieba rozkwitła nagle nieziemska biel. Dzieci zapaliły się niby łebki zapalek. Paliła się Sara, wraz ze swym niemym krzykiem wirując w zamkniętej pętli własnego piekła.

Nagle uderzenie powietrznej fali unicestwiało przerażone matki i ich dzieci w rozpętanym wirze nienawiści. Wycie Sary mieszało się z wyciem wiatru i jak wstrząs elektryczny rozdzierało jej ciało, unicestwiało ją i...

... podniosła nagle głowę, wpatrując się w horyzont. Usiane kępami roślinności wzgórza. Ściemniające się niebo, całe purpurowe o zmierzchu. Dzieci nie opodal nie przestawały się bawić. Sara rzuciła okiem na zegarek. Minęło nie więcej niż piętnaście minut. Złana potem, oparła się o stół. Przegarnęła ręką spocone włosy. Czuła, jak drży jej każdy mięsień. Z trudem oddychała. Jak ciężko...

Mogła uciec ze szpitala, ale nie od szaleństwa, które usiłowało ją dopaść.

Sarze wydawało się, że Los, Przeznaczenie czy jakaś inna kosmiczna siła stanowi realny byt narzucający swój porządek wszystkim rzeczom. Czas sam w sobie byłby tylko jednym aspektem tego porządku. Jak arteria biegnąca poprzez ciało Wszechświata, którą płynęły zdarzenia. Może ludzie byli komórkami tego ciała, nie wiedzącymi wprawdzie dokładnie, czym jest Wszechświat, ale posłusznymi jego prawom? Komórki, nawet pojedyncza komórka, mogłyby - znalazłszy się we właściwym miejscu - rozpocząć brzemienne w skutkach przemianę ciała. I to także mogłoby stanowić część kosmicznego porządku - z góry określone miejsce poszczególnych komórek, które mogą podejmować indywidualne decyzje i tym samym decydować o swoim miejscu w ciele jako całości.

Sara wiedziała, że nigdy się nie dowie, czy jej wizja jest prawdziwa, czy też fałszywa.

Była żdźbłem porwanym przez huragan. Czy wierzyła w kontrolujące bóstwo, czy też w siły przypadku, prowadzące swój ślepy taniec w jakimś przeogromnym tyglu, to i tak wszystko, co mogła pojąć, to chwilowy porządek rzeczy i ulotne przyczyny i skutki swoich własnych czynów. A każde alternatywne działanie przepełnione było nieprzewidywalnymi możliwościami (oczywiście dopóki sny stanowią cząstki wzorca, zsyłanego nocą, w oślepiającym

przebłyску nagłego zrozumienia bardziej sercem niż głową, i otrzymującego w naszym niespokojnym umyśle nową postać).

Dopóki ludzkość nie nauczy się patrzeć przez czas w obu kierunkach, albo raczej poza czasem, musi zakładać, że jej działania przyniosą pozytywne wyniki. Było to przekleństwo ludzkości: być świadomą siebie i znać ograniczenia tej świadomości.

Ludzie grali w kości ze Wszechświatem.

Na tysiące małych sposobów, we wszystkich drobnych, pozornie nieważnych wyborach ludzie byli zniewalani przez siły, których istnienia nie podejrzewali, w swoich próbach uczynienia życia takim, jakiego pragnęli. To były ich wybory. I nawet jeśli zachowanie niektórych wydawało się najbardziej przewidywalne, mogły zdarzyć się niespodzianki, nieoczekiwane rozwiązania, nieoczekiwane konsekwencje.

Los znów zapraszał ją do tańca, żeby wybrała kilka ścieżek z wielkiej mnogości, żeby uderzyła w serce Przeznaczenia, odwróciła je, jak kwiat zamykający się przed nocą.

Sara miała zamiar przeciąć pętlę.

Popatrzyła w dół na słowa wyryte w stole, pomiędzy sercami i ptaszkami: "NIE MA PRZEZNACZENIA".

*Nie ma przeznaczenia, a jedynie to, co robimy dla nas samych.* Kyle przekazał jej te słowa od przyszłego Johna Connora. Powinien był wiedzieć. Poza tym, pierwszy Terminator i T-1000 byli dowodami, że Skynet myślał, iż można zmienić przeszłość. Dlaczego ona nie mogłaby zmienić przyszłości?

Uderzyła nożem w stół, wbijając go głęboko w słowo "PRZEZNACZENIE", potem wstała i odwróciła się do odejścia.

Przeszła wielkimi krokami przez obozowisko z jasnym celem, niosąc małą nylonową torbę i karabin szturmowy CAR-15. Jej twarz była nieruchoma. Zdecydowana,

pozbawiona uczuć maska.

Stała się Terminatorem.

John popatrzył na bronco w chwili, gdy matka wrzuciła karabin za siedzenie kradzionej furgonetki, wskoczyła do środka i zapaliła.

Salceda podszedł do Johna.

- Powiedziała, żebyś szedł z nim na południe... - wskazał na stojącego nie opodal

Terminatora. - Dziś wieczorem, tak jak planowaliście. Przyłączy się do was w...

- Mamo! Zaczekaj!

Sara usłyszała syna i popatrzyła na niego we wstecznym lusterku. Był gwałtownie zmniejszającą się krzyżującą figurą. Skręciła na zwirowaną drogę i odjechała, znacząc swoją trasę smugą kurzu.

Kiedy dojechała do głównej szosy, skręciła w nią i przyspieszyła do 75 mil. Nie zwolni, dopóki nie osiągnie celu.

John i Terminator oglądali wiadomość wrytą na stole. Nóż Sary ciągle był w niego wbity.

- *Nie ma przeznaczenia, a tylko to, co robimy.* Mój ojciec jej to powiedział... To znaczy, skłoniłem go do przekazania jej tej wiadomości. Kiedyś, w przyszłości.

Znów czasowa dezorientacja. Zamęt w głowie, zamieszanie spowodowane przez paradoksy czasu.

- Nieważne - powiedział John, rezygnując z prób zrozumienia tego chaosu, - Dobra, chodzi o to: *Przyszłość nie jest ustalona. Nie ma przeznaczenia, a jedynie to, co dla siebie robimy.*

Terminator nie miał żadnego problemu z interpretacją tej informacji. Podteksty i wolne skojarzenia rozszerzały się wykładnikowo. Jednak wszystko, co powiedział, brzmiało:

- Ona ma zamiar jakoś zmienić przyszłość.

- Co? Jak?

- Nie wiadomo.

John chwycił go kurczowo za rękę:

- O cholera! Dyson.

Terminator czekał z cierpliwością chronometru. John kręcił się w kółko, bardziej przerażony niż dwa dni temu:

- No tak! Miles Dyson! Ona chce go sprzątnąć! Podszedł do Terminatora:

- No już! Gońmy ją! GOŃMY!

Terminator zawahał się przez sekundę, przetwarzał. W końcu potwierdził, że zrozumiał słowa Johna. Były równoważne faktom.

Sara Jeanette Connor wypełniała właśnie śmiertelną misję.

Terminator ruszył, z łatwością wyprzedził biegnącego Johna i skoczył za kierownicę bronco.

Kilka mil przed nimi Sara pędziła przez pogrążającą się w mroku pustynię. Z twarzą bez wyrazu, w ciemnych okularach, wyglądała równie bezlitośnie jak monstrualna modliszka.

Terminator i John skierowali się na północ, w kierunku Los Angeles; cyborg beznamytnie poganiał niemrawego bronco - przeciążonego ponad miarę ciężkim sprzętem bojowym - w potokach wolno posuwających się pojazdów. Posługując się radarowymi detektorami, wykrywał posterunki policyjne i w porę ograniczał szybkość do obowiązującej. Później dopiero znowu przyspieszał - nie mogli sobie pozwolić teraz na to, by ich zatrzymano.

Terminator dokonał oceny wydarzeń wieczoru:

- Taktycznie jest to niebezpieczne.

John, pełen obaw, obejrzał się i powiedział:

- Jedź szybciej.

- T-1000 ma te same programy co ja. Może przewidzieć ten ruch i oczekiwać na ciebie w domu Dysona.

- Nie dbam o to. Musimy ją powstrzymać. Terminator doszedł do takiego samego wniosku, do jakiego prawdopodobnie doszedł i T-1000:

- Zabicie Dysona na tym etapie mogłoby zapobiec wojnie.

Sfrustrowany John walił pięścią w siedzenie obok cyborga:

- Nic mnie to nie obchodzi! Musi być inny sposób. Czy dowiedziałeś się już WSZYSTKIEGO? Czy odkryłeś już, dlaczego nie możesz zabijać ludzi?

Terminator nie odpowiedział.

- Słuchaj! Może tobie jest wszystko jedno, czy jesteś żywy, czy martwy. Ale nie wszyscy są tacy jak ty, jasne? My czujemy. Cierpimy. Boimy się. Człowieku, musisz coś o tym wiedzieć, to nie są błahostki. To naprawdę ważne.

Za nimi i pod nimi rozciągało się ogromne morze światła. Wielkie, pełne życia miasto.



# Terminator

POŁUDNIOWA LAGUNA

7:18 wieczorem

Dla strzelca stojącego na skarpie z tyłu domu, Miles stanowił dobry cel. Odwrócony plecami do okna, na chwilę przed swym końcem siedział zagłębiony w pracy nad Partią Drugą. Jedyne oświetlenie jego pracowni stanowił niebieskawy odblask monitora kineskopu katodowego. Ciemna figura ukradkiem przemknęła przez porośnięte bluszczem wzgórze. Sara podniosła karabin CAR-15 i zaczęła przykręcać do końca lufy ciężki, długi cylinder tłumika. Danny i Blythe bawili się w hallu zdalnie sterowanymi samochodami. Danny prowadził “Błyskawicę”, a Blythe pędziła za nim, próbując go dogonić. Zatrzymali się przed pracownią Dysona i zobaczyli, że pracuje przy biurku. Danny z łobuzerskim wyrazem twarzy położył palec na ustach, żeby uciszyć Blythe.

Kiedy tłumik był już na swoim miejscu Sara otworzyła zamek i przesunęła go do przodu. Załadowała nabój kalibru 0,223. Następnie położyła się na skarpie. Jej policzek naciskał na zimną kolbę strzelby. Powoli zsunęła rękę, obejmując broń w taki sposób, że jej środek ciężkości znajdował się na łokciu. Drugą dłoń wprawnie przesunęła ku językowi spustowemu. Popatrzyła przez celownik na mężczyznę w domu. Uniosła karabin. To nie był mężczyzna. To był jeszcze jeden decydujący czynnik Przeznaczenia. Oś koła Fortuny w rzece czasu, która musi być usunięta, musi być wyrwana z rzeczywistości zanim ją zniszczy. Sara wiedziała, że może to zrobić. To będzie całkiem łatwe. Jedyne mechaniczne naciśnięcie spustu. Ćwierćcalowy zaledwie ruch i mężczyzna zostanie wyłączony z gry.

I miliony ludzi będą mogły żyć bez strachu przed unicestwieniem.

Dyson nie zdawał sobie sprawy z miękkich, rytmicznych dźwięków uderzanych klawiszy. Jego umysł był skoncentrowany wyłącznie na zmianie symboli na ekranie. Stawało

się coraz bardziej pewne, że będzie to ostatni obraz zarejestrowany przez jego mózg, nim rozprysnie się on na ekranie komputera.

Jarząca się czerwona plamka pojawiła się na jego plecach - kropka laserowego celownika Sary. W milczeniu przesunęła się w górę pleców, w stronę głowy. Oczy Sary próbowały przeniknąć ciemność nocy. Oddychała równo, miarowo. Czerwona plamka prawie nie zsuwała się z celu. Palec Sary mocniej oparł się na spuście powoli go naciskając. Głęboko wciągnęła powietrze. Najwyższy czas już z tym skończyć. Plamka lekko zachwiała się na tyle szyi Dysona i po chwili zatrzymała na jego czaszce.

“Błyskawica” Danny'ego zaryczała na dywanie iż łomotem uderzyła w sporą przeszkodę - stopę Dysona. Naukowiec wzdrygnął się, nagłym uderzeniem sprowadzony na ziemię z prometejskich wyżyn rachunku, i pochylił, żeby podnieść ciężarówkę.

Nagle okno z tyłu rozprysnęło się obsypując mu plecy szkłem. Poczuł, czy może raczej wyczuł, że coś bardzo małego i bardzo szybko lecącego świsnęło mu koło ucha. Ekran monitora wybuchł słupem iskier. Kompletnie zszokowany Dyson spadł z krzesła i patrzył na wielką dziurę w oknie. To go ocaliło, ponieważ - BACH! - drugi wystrzał trafił w oparcie krzesła zamieniając je w drzazgi. Za ledwie o cal od jego głowy. Kolejne pociski wlatywały przez okno. Uderzały w biurko i komputer, robiąc z klawiatury sito. Ponieważ minitor został wysadzony, pokój ogarnęła zupełna ciemność.

Sara nie widziała już wyraźnie.

Dyson wpadł pod biurko, kiedy pocisk za pociskiem sypał się na nie, roziskrzając je z jednej strony. Przerażony, z twarzą przyciśniętą do dywanu, zobaczył coś jeszcze straszniejszego... swoje dzieci stojące w hallu - zdezorientowane i przerażone.

- Uciekajcie, dzieciaki! Już! Uciekajcie!

Chwilę wcześniej Tarissa usłyszała strzały. Nie miała pojęcia, co to było. Najpierw

-myślała, że to petardy. Zbliżał się lipiec, więc może dzieci wcześniej świętowały. Ale gdy usłyszała brzęk tłuczonego szkła, przestała myśleć, zgadywać, czy robić cokolwiek innego. Poderwała się z kanapy i jak rozpędzony parowóz bez maszynisty pognała przez dom w poszukiwaniu dzieci. Biegając bez tchu uderzyła w ścianę i ujrzała, że zapłakane zmiierzają w jej stronę. Przytuliła je mocno, a następnie ostrożnie zeszła do hallu, zaglądając zza rogu do pracowni. Dyson nadal leżał na podłodze pośród odłamków i okruchów szkła. Strzelanina nie ustawała.

- Miles! O, mój Boże!

- Nie wchodź!

Dyson uchylał się przed spadającymi na niego kawałkami drewna i roztrzaskanymi częściami komputera. Z rozpaczą popatrzył w kierunku drzwi, ale wiedział, że będzie całkowicie odsłonięty. Nigdy mu się nie uda.

Na skarpie karabin Sary szczękął po raz ostatni i umilkł. Odrzuciła go i płynnie wyjęła czterdziestkę piątkę z kabury na ramieniu. Wstała i zaczęła iść w kierunku domu, odciągając suwadło i wprowadzając do komory nabój.

To było łatwe.

Łatwiejsze niż kochanie się.

Lub dawanie życia.

Lub napisanie wiersza.

Zabijanie było konieczne i tak cholernie łatwe... jeśli się o tym nie myślało.

Spod podziurawionego biurka Dyson zobaczył kawałek podwórza. Ktoś się zbliżał.

Wojstkowe buty pewnie i miarowo uderzały o ziemię. Naprężył się - gotowy do ucieczki przez drzwi hallu.

Sara - z oczami przykutymi do rozbitego okna pracowni - uniosła pistolet ciągle

regulując oddech w przygotowaniu do kolejnej serii strzałów. Dyson zerwał się na nogi i ostrym sprintem ruszył w kierunku drzwi.

Zbyt wolno. Wytropiła go i nie mogła chybić.

Ale był to czas niemożliwości. Dyson zahaczył nogą o sznur zrzuconego komputera, a jej wystrzał roztrzaskał lampę tam, gdzie moment wcześniej widziała jego głowę. Dyson ciężko zwalił się na podłogę, ale nadal poruszał się, gramolił naprzód.

Usłyszał za sobą chrzęst stłuczonego szkła. Nie mógł się powstrzymać, by nie zobaczyć, kto próbuje go zabić. Podczas gdy ręce i nogi niosły go do przodu, rzucił szybkie spojrzenie do tyłu. Zdumiał się bezgranicznie na widok obcej kobiety w mundurze, która stała w sięgającym od podłogi do sufitu oknie i mierzyła weń z pistoletu.

Tarissa histerycznie wrzeszczała.

Jego poczucie rzeczywistości zagubiło się na błędnych ścieżkach strachu. Pchnęło go w kierunku hallu. Wykonał nagły skok, ale jej następny strzał dosięgnął go i rzucił na podłogę w przejściu. Dyson poderwał się oszołomiony. Tarissa wpatrywała się w zranionego męża. W jego lewym ramieniu widniała dziura po pocisku kalibru 0,45, który przeszedł na wylot.

Słaniając się, zostawiał za sobą na beżowej ścianie ciemną smugę krwi. Odwrócił się i ujrzał kobietę podążającą za nim przez pracownię, nieubłaganą, nieugiętą, zdecydowaną odebrać mu życie.

Przez moment był jak zahipnotyzowany jej niewzruszoną, beznamiętną, kamienną twarzą. On dla niej nie był nawet człowiekiem. Był mięsem. A ona tłuczkiem. Prawie pragnął tej kuli, schwyty w pułapkę nadludzkiego strachu. Ale się powstrzymał. Walczyć lub uciekać!

A może była uosobieniem Przeznaczenia? I to ono chciało go uśmiercić?

Ale siła rozpędu pozwoliła mu żyć kilka chwil dłużej. Przewrócił się w drzwiach,

podczas gdy kule rozrywały gzymsy w miejscu, gdzie stał przed chwilą.

Na zewnątrz Terminator i John z warkotem wjechali na trawnik przed domem Dysona.

Wyskoczyli z mustanga i puścili się biegiem w kierunku budynku. John nie miał już żadnej nadziei, gdy usłyszał kilka przytłumionych strzałów:

- Cholera! Jesteśmy za późno!

Tarissa mocno trzymała dzieci, cofając się do salonu. Sara podążała za Dysonem, który uchodził potykając się. Danny wyrwał się matce i podbiegł do boku ojca. Tarissa mocno trzymała Blythe i krzyczała do Danny'ego, żeby wrócił.

Ale chłopak cisnął się do ojca łkając:

- "Taaatuuusiuuu!"

Tarissa, działając pod wpływem impulsu, puściła Blythe i podbiegła do męża i syna.

Obu otoczyła ramionami. Sara zamajaczyła za nimi z wycelowanym i odbezpieczonym pistoletem.

Tarissa zawyła:

- „Nieeeee”

Sara po raz pierwszy zawahała się. Stał w jej żyłach zapłonęła gorączką chwili.

Wrzasnęła:

- Do cholery, nie ruszać się! NIE RUSZAĆ SIĘ DO CHOLERY!

Skierowała broń na Tarrisę:

- Na podłogę! Już! Do cholery! JUŻ!

W oczach miała szaleństwo. Drżała z napięcia.

Zabójstwo nie udawało się: piszczały dzieci, wmieszała się żona - rzeczy, których nie przewidziała. Tarissa rzuciła się na kolana i przerażona patrzyła w wylot lufy. Blythe objęła

Dysona swymi małymi rączkami. Jej dziecięcy głosik drżał, kiedy piszczała:

- Zostaw mojego tatusia!

Siła rozpędu była wielka. Sara chciała nacisnąć spust musiała go nacisnąć.

- Zamknij się, dzieciaku! Zjeżdżaj stąd!

Dyson pomimo bólu podniósł wzrok. Nie mógł pojąć, dlaczego to się działo. Pieniądze?

Szaleństwo? Kultystka? Czarny wylot lufy był teraz tylko o stopę od jego twarzy. Krzyknął impulsywnie:

- Proszę... pozwolic... dzieciom... odejść...

- Zamknij się! ZAMKNIJ SIĘ, IDIOTO! Kurwa mać! To wszystko twoja wina! TO TWOJA WINA!

Teraz to już nie było takie łatwe. Była zbyt blisko. Zastanawiała się za długo. Widziała jego oczy. On nie był już celem. On był istotą ludzką, jak ona. Potrzebowała czegoś, czego Terminator nigdy nie potrzebował.

Nienawiści.

Do człowieka, którego nawet nie знаła. Mrużąc oczy, gwałtownie otarła pot jedną ręką.

Położyła rękę z powrotem na broni. Pistolet się trząsł. Notowała w pamięci twarze Dysona,

Tarissy, Blythe i Danny'ego - rodziny skulonej ze strachu przed oczekującym ich losem.

A ona była ich katem.

Wzięła głęboki oddech. Wszystkie mięśnie jej ramion napięły się do strzału. Ale jej

palec nie chciał się poruszyć. Zimna stal i gorący ogień po prostu wyparowały. Nie zostało jej nic, co pomogłoby jej w tej chwili.

Bardzo powoli opuściła broń.

To koniec.

Cała energia i powietrze uszły z niej. Z trudnością podniosła wolną rękę w dziwnym

geście, jakby chciała powiedzieć: *Zostańcie gdzie jesteście. Nie ruszajcie się!* Gdyby się przez

przypadek poruszyli, krucha równowaga mogłaby zakończyć się czym innym.

Ciężko dysząc odsunęła się od nich, jakby uciekając z przerażeniem od tego, co prawie zrobiła. Dotarła do ściany i oparła się o nią. Osunęła się na kolana. Broń miękko wysunęła się z jej palców i głucho upadła na dywan. Sara dotknęła policzkiem ściany.

To był naprawdę koniec.

Nie mogła nic zrobić.

Nic...

Ktoś kopnął frontowe drzwi. Wszedł Terminator. John chwycił go za rękaw i wepchnął się za nim, lustrując sytuację w ciągu dwóch sekund: Sara, pistolet, pochlipująca rodzina. John zbliżył się do matki, podczas gdy Terminator ukląkł przy Dysonie i zaczął oglądać jego ramię. Łzy spływały po policzkach Sary. Łzy, których nie umiała już powstrzymać. Łzy ze źródła, które uważała za wyschnięte już od dawna.

John dotknął jej czule:

- Mamo, w porządku?

- Nie mogłam. O Boże... - wyglądała, jakby dopiero co go zobaczyła: - Przyjechałeś...

tu... by mnie... powstrzymać?

Skinął głową, oczekując najgorszej w życiu oracji o tym, jak wiele znaczy dla przyszłości, i jak nie powinien ryzykować. Ale - nic takiego. Zaskoczyła go, wyciągając ręce i mocno go obejmując. Wstrząsnęło nią łkanie, gdzieś w głębi. Jego ręce objęły ją za szyję.

Trzymali się nawzajem, gdy trzęsła się od spazmów.

To było wszystko to, o czym John zawsze marzył. Wszystko, dla czego żył. Łzy rozpały mu oczy, gardło ścisnęło się. Z trudem wykrztusił:

- Już dobrze, mamo. Będzie dobrze. Wytrzymamy to!

Szepnęła mu do ucha:

- Kocham cię, John. Zawsze cię kochałam. Serce zaczęło mu bić szybciej. Pocałował ją w zaczerwieniony policzek.

- Wiem, mamó. Wiem.

Tarissa spoglądała na tę całą dziwną scenę: krew na ścianach, szlochające dzieci, kobieta i chłopak wtuleni w siebie i pochlipujący, wreszcie ogromny mężczyzna, w milczeniu rozdzierający zakrwawioną koszulę jej męża i badający ranę, jakby spodziewał się tego, co tu zastał.

Mężczyzna odwrócił się do niej i łagodnie powiedział:

- Na wylot. Kości całe. Ucisk powinien zatamować utratę krwi.

*Wspaniała wiadomość*, myślała oszołomiona, podczas gdy mężczyzna wziął jej rękę i zacisnął na otworach po wlocie i wylocie kuli.

- Czy ma pani bandażę?

Dyson dopiero teraz odczuł ranę poprzez swe łomoczące serce.

- W łazience. Danny, mógłbyś je przynieść? Próbował mówić naturalnym głosem i nie zdradzać bólu, żeby dzieci się uspokoiły. Danny smutno kiwnął głową i pobiegł do hallu.

John niechętnie oderwał się od matki. Sara otarła łzy, wewnętrzny nakaz "bycia twardym" brał górę. Ale wiedziała, że ten moment uzdrowienia mimo wszystko przyniesie efekt.

John stanął przy Terminatorze.

Dyson spojrzał z ukosa na swych surrealistycznych gości.

- Kim jesteście?

John wyciągnął nóż z buta Terminatora, a następnie wręczył mu go.

- Pokaż mu.

Terminator zdjął kurtkę. Ukazały się jego silne, nagie ramiona. John wziął Blythe za



rękę i wyprowadził ją do hallu, z daleka od tego, co miało się za chwilę wydarzyć. Za dużo już przeżyła, jak na tę jedną noc.

Tarissa zaczęła protestować. Chciała wyjść, ale nie mogła zdjąć rąk z ran męża. Czuła krew, w każdej chwili gotową trysnąć pomiędzy jej palcami.

Wtedy nowe przerażenie ścisnęło jej serce. Ujrzała, jak wielki mężczyzna unosi duży, płaski nóż i zatapia go w swym przedramieniu robiąc głębokie nacięcie poniżej łokcia. Jednym gładkim ruchem Terminator przeciął skórę wokół ramienia. Drugim cięciem rozplątał skórę od łokcia do nadgarstka i szybko ją ściągnął, jak chirurg rozrywający gumową rękawicę. Zeszła z odgłosem ssania, ukazując zakrwawiony szkielet.

Tarissa zagryzła dolną wargę, usiłując powstrzymać się od krzyku.

Dyson przypatrywał się. Szkielet zrobiony był z błyszczącego metalu i otoczony hydraulicznymi aortami. Palce - wykonane precyzyjnie jak części zegarka - zginały się w pięść i rozprostowywały. Terminator trzymał je do góry, dłońią na zewnątrz,

Dyson wiedział teraz, czym była Partia Pierwsza, także inne metalowe ramię, trzymane prawie dokładnie w takiej samej pozycji - w podziemiach Cyberdyne.

- Mój Boże! - szepnął.

Terminator opuścił ramię.

- Teraz słuchajcie uważnie. - rozkazał.

Nieco później Sara siedziała na blacie w kuchni Dysonów. Ukryła twarz w dłoniach oddychając głęboko. Długo, stopniowo dochodziła do siebie. John usiadł koło niej. Czuła ciepło jego ciała. Na tym mogła się oprzeć. Tarissa trzymała Blythe w ramionach. Danny leżał zwinięty w kłębek na kocu na podłodze. Dzieci słuchały, dopóki nie ogarnął ich sen. Dyson słuchał z twarzą oświetloną jedynym światłem z góry. Przypominał człowieka ze ściany Kaplicy Sykstyńskiej, tę przeklętą duszę - oczy utkwione i patrzące z przerażającą wiedzą.

Ramię miał obandażowane. Ręka Terminatora była owinięta poniżej łokcia bandażem przesiąkniętym krwią. Stalowe przedramię i dłoń połyskiwały w ostrym świetle kuchennym. Dyson słuchał Terminatora. Skynet. Dzień Sądu Ostatecznego - dzieje spraw, które nadejdą. Nie każdego dnia można dowiedzieć się, że jest się odpowiedzialnym za śmierć 3 miliardów ludzi. Dobrze to przyjął, zważywszy że...

W końcu Dyson powiedział:

- Czuję, że się porzygam.

Popatrzył na nich, kurczowo trzymając się stołu, jak gdyby zaraz miał wybuchnąć. Jego oczy, postawa i chrypiący głos wyrażały szarpiące duszę przerażenie. Został wyrwany normalnemu życiu i wepchnięty w ten ponury nocny koszmar. Powiedział usprawiedliwiającym tonem:

- Sądźcie mnie za rzeczy, których jeszcze nie zrobiłem. Jezu! Skąd mogliśmy wiedzieć?

Sara odezwała się zza nich, z cienia. Patrzyła prosto na niego, ale w rzeczywistości przez niego, myśląc o wszystkich mężczyznach, których znała - z wyjątkiem Salceda i Kyle'a.

Słowa wypowiadała pospiesznie, rozpalona długo powstrzymywanym gniewem, który czuła na myśl o niegodziwym mordowaniu ludzi od Dnia Stworzenia:

- No tak. Skąd mieliście wiedzieć? Wszystko, co wiecie, to jak wtrącać się do świata z waszymi parszywymi pomysłami i bronią. Czy nie wiedzieliście, że każda broń na świecie jest nazwana imieniem mężczyzny? Colt, Browning, Smith, Thompson, Kałasznikow. To mężczyźni, nie kobiety, skonstruowali bombę wodorową. Mężczyźni, jak pan, to wymyślili. Jesteście tacy twórczy! Nie wiecie, co to znaczy naprawdę coś stworzyć - stworzyć życie. Czuć je, rosnące wewnątrz siebie. Wszystkim, co potraficie stworzyć jest śmierć. Cholerne skurwysyny!

John dotknął jej drżącej ręki i powiedział:

- Mamo! Mamo! Musimy być bardziej konstruktywni. Nie sądzę, żeby to była kwestia płci! - zwrócił się do Dysonów: - Ona jest jeszcze trochę napięta.

Odwrócił się z powrotem do Sary:

- Ciągle jeszcze musimy wymyślić jak to wszystko powstrzymać. Co nie?

- Ale ja myślałam... - Tarissa była zmieszana. - To znaczy, czy nie zmieniamy stanu rzeczy właśnie teraz? Nie zmieniamy kolei rzeczy?

Dyson usiadł.

- No właśnie! Teraz już nic mnie nie zmusi, żebym skończył nowy procesor. Nigdy.

Skończyłem z tym. Jutro rzucam Cyberdyne. Sprzedam ten dom. Nie dbam o to...

- To nie wystarczy.

Głos Dysona przybrał błagalny ton:

- Słuchajcie! Zrobię cokolwiek chcecie. Chcę przecież, żeby moje dzieci miały szansę dorosnąć.

- Nikt nie może kontynuować pana pracy - rzekł cyborg.

- Zatem dobrze. Macie rację. Musimy zniszczyć materiał z laboratorium, akta, twarde dyski, wszystko, co tu mamy. Wszystko! Nie zależy mi na tym!

Tarissa wzięła go za rękę. Spojrzał na nią. Nigdy nie widziała w jego oczach takiej miłości.

Jakiś czas potem na podwórzu Dysonów zapłonął ogień w metalowym pojemniku na śmieci. Zostały do niego wrzucone sterty akt. Terminator obficie polewał je benzyną. Ogień buchał płomieniami, oświetlając demonicznie twarz cyborga.

Sara, Dyson, Tarissa i John wrócili z pracowni niosąc więcej materiałów - akta, notatki, optyczne dyski komputerowe. Nawet dzieciaki coś niosły. Wszystko poszło do ognia. Dyson

wrzucił prototyp procesora. Jego oczy, głęboko osadzone w oczodołach, miały nieobecny wyraz. Wpatrywał się w płomienie, patrząc jak ginie jego świat. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl,

- Czy wiecie o płytce?

- Jakiej płytce? - spytała Sara.

- Mają to w podziemiach Cyberdyne. - zwrócił się do Terminatora: - Musi być z takiego jak ty. Cyborg wyjaśnił Sarze:

- CPU pierwszego Terminatora.

- Skurwysyn, wiedziałam o tym! - wysyczała.

- Powiedziano nam, żeby nie pytać, skąd to mają. Myślałem - Japonia... Do diabła, nie wiem. Nie chciałem wiedzieć. To był przerażający materiał, bardzo nowoczesny. To było roztrzaskane. Nie pracowało, ale dawało nam pewne pojęcie. Ukazało nowe kierunki - rzeczy, które by nam nigdy nie przyszły do głowy. Cała ta robota jest oparta na tym materiale!

- To musi zostać zniszczone - powiedział Terminator.

Sara chwyciła Dysona za ramię. Jej oczy odbijały płomienie.

- Czy możesz nas tam przeprowadzić przez strażę?

- Myślę, że tak. Kiedy?

Dyson popatrzył na nią, później na Terminatora i Johna. Odpowiedź ujrzał w ich oczach.

- Teraz? - wziął głęboki oddech: - No dobrze.

Obrócił się do żony. Łzy spływały strużkami po jej twarzy, ale spojrzenie było silne i jasne. Położyła rękę na ramieniu Dysona i powiedziała:

- Miles, tak się boję. Wiem. Ale jedyną rzeczą, która przeraża mnie bardziej niż to, że pójdziesz, jest to, że... nie pójdziesz.

Skinął głowę. Miała oczywiście rację.

Sara zwróciła się do Terminatora:

- Czy oni są tu bezpieczni?

W odpowiedzi Terminator odwrócił się do Tarissy i rzekł:

- Proszę zabrać dzieci i jechać do hotelu. Natychmiast. Nie pakować się!

Następnie skinął na resztę:

- Ruszajmy.

# Karmaniola Przeznaczenia

## IRVINE

10:09 w nocy

Sara obserwowała migający chodnik w świetle przednich świateł samochodu. Wyżej zalegała ciemność pochłaniająca horyzont. Pomyślała, że przyszłość - zawsze tak przejrzysta - stała się jak czarna autostrada nocą. Znajdowali się teraz na nieznanym terenie i tworzyli historię. Po raz pierwszy poczuła, że wzięła Przeznaczenie za rękę i teraz ona prowadzi w tańcu. To, co zamierzali zrobić, albo zmieni przyszłość, albo ją zniszczy. Uniosła głowę, kiedy zamajaczył przed nimi rozległy prostokąt światła.

Budynek Cyberdyne.

Dyson jednym ruchem wsunął swoją kartę do otworu identyfikatora. Dał się słyszeć szcęk automatycznie otwieranego zamka. Wszedł do przestronnego hallu. Za nim podążała Sara, John i Terminator w podziurawionej od kul kurtce i czarnej rękawicy okrywającej odsłonięty wcześniej wewnętrzny szkielet ręki.

Strażnik na frontowym posterunku był spokojnym, zrelaksowanym mężczyzną.

Nazywał się Gibbons. Właśnie z zainteresowaniem czytał w czasopiśmie Westways artykuł o drzewach jukowych i ich pochodzeniu, gdy ujrzał zbliżającego się Milesa Dysona.

Dyson był blady i spocony, ale uśmiechał się ciepło i zaczął mówić zanim jeszcze dotarł do biurka:

- Witaj, Paul. To są moi przyjaciele spoza miasta, Właśnie sobie pomyślałem, że ich tu przyprowadzę i pokażę im co nieco.

- Przykro mi, panie Dyson. Zna pan przepisy dotyczące zwiedzania laboratorium.

Trzeba mieć pisemne zezwolenie.

Trrach! Gibbons wpatrywał się w lufy broni Sary i Terminatora. Terminator

powiedział:

- Nalegam.

Gibbons był zbyt zszokowany, by się poruszyć. Jego oczy powędrowały w kierunku przycisku tajnego alarmu na biurku, lecz Sara, idąc za jego wzrokiem, rzekła:

- Nawet o tym nie myśl.

Gibbons skinął głową, pozostając tak cicho, jak na to pozwalało mu jego łomoczące serce. Terminator szybko obrócił i ściągnął strażnika z krzesła. John wyciągnął rolkę taśmy z żołnierskiego plecaka. Oderwał kawałek.

W kilka minut później otworzyły się drzwi windy na drugim piętrze i Terminator ostrożnie wyprowadził grupę na korytarz. Prowadzili wózek wyładowany wysokim stosem narzędzi w nylonowych workach. Dyson skręcił w prawo. Po drodze nadal ich wtajemniczał:

- Do podziemia potrzebne są dwa klucze. Jeden mam ja, a drugi znajduje się w sekcji specjalnej.

Stali przed szerokimi drzwiami sekcji specjalnej, nad którymi widniał napis: ODDZIAŁ PLANÓW SPECJALNYCH. WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH. Dyson wsunął swoją kartę do identyfikatora. Drzwi otworzyły się.

Moshier, strażnik wędrujący, zszedł z 1 piętra i przechodził przez długi korytarz.

Zegarek kołysał się na łańcuszku u jego boku. Właśnie kończył obchód budynku. Minął windy i skręcił w stronę frontowego posterunku wykrzykując:

— Kochanie! Jestem już!

Zobaczył opuszczone, nieprzyjazne biurko. *Gibbons jest pewnie w kiblu, lepiej sprawdzić, niż od razu alarmować.* Z westchnieniem powędrował do toalety za rogiem. Pchnął drzwi.

- Ej! Chłopie! Nie powinieneś opuszczać...

Gibbons był przywiązany do pisuaru i próbował coś wybełkotać poprzez taśmę zalepiającą mu usta. Moshier od razu domyślił się wszystkiego. Rzucił się pędem do biurka i przycisnął guzik tajnego alarmu.

W sekcji specjalnej Dyson raz po raz wsuwał swoją kartę do identyfikatora w szafce.

Nic się nie działo. Światelko na biurku mrugało czerwono.

Sara z niepokojem spytała:

- Co? CO SIĘ DZIEJE?

Dyson zbliżył się do światelka błyskającego na szafce i powiedział:

- Włączono tajny alarm. To unieruchamia kody w całym budynku. Nic się teraz nie otworzy.

Kiedy to sobie uświadomił, nerwy go zawiodły:

- Powinniśmy wycofać się. Sara chwyciła go za łokieć:

- NIE! Robimy do końca. Rozumiesz, Dyson?

Zobaczył ogień w jej oczach. Przemknęła mu przez głowę myśl o jego pracy płonącej na podwórzu. Miała rację. Nie było teraz odwrotu.

Moshier uwolnił Gibbonsa, który teraz, pochylony nad telefonem, rozmawiał z policją:

- ...kilku uzbrojonych podejrzanych. Myślę, że to jest ten facet ze strzelaniny na deptaku. Kobieta... tak, to ona. Całkiem pewny. Przyślijcie wszystkie siły, które macie w pobliżu...

Na drugim piętrze John wskoczył na biurko obok wmontowanej w ścianę szafki. Dyson patrzył ze zdumieniem, jak chłopak wyciąga z plecaka elektroniczny deszyfrator. Wyglądało to na jeszcze jeden zasilany miotacz.

- Wy zaczynajcie w laboratorium. To ja otworzę.

Dyson zaprowadził Terminatora i Sarę do drzwi głównego laboratorium. Jeszcze jeden



automatyczny zamek. Wsunął kartę. Nie działa. Terminator przystąpił do niego i powiedział:

- Pozwól, że spróbuję moim kluczem.

Jednym ruchem zdjął z ramienia miotacz granatów M-79.

Sara gwałtownie chwyciła Dysona i zaciągnęła go z powrotem do hallu.

Terminator otworzył zamek i wsunął jeden z 40-mili-metrowych granatów burzących.

Zamknął. Sara wrzasnęła, gdy biegli:

- John! Za chwilę wybuch!

John rzucił robotę i zatkał uszy. Terminator wystrzelił z niebezpiecznej odległości.

Drzwi rozsadziło na kawałeczki. Siła wybuchu rozwiała połę jego kurtki, lecące odłamki świstały obok. Jeszcze zanim ucichł odgłos wybuchu, Terminator wszedł przez włóm pełen ognia i dymu.

John nie tracąc ani chwili zabrał się z powrotem do pracy.

Sara z oszołomionym Dysonem weszli przez płonący próg do laboratorium Sztucznej Inteligencji.

Zaczęła wyc syrena ostrzegawcza, włączył się halonowy system przeciwpożarowy.

Niewidzialny gaz wtargnął dławiąc płomienie. Dyson krzyknął:

- Ogień uruchomił system halonowy! Tutaj! Pospieszcie się!

Podbiegł do gabloty w ścianie i wyciągnął z niej kilka masek przeciwgazowych. Jedną wręczył Sarze, drugą założył sam. Następnie poszedł dać maskę Terminatorowi:

- Masz!

- Nie, dziękuję - powiedział wielki cyborg zdejmując jednocześnie plecak i otwierając go. Terminator nie potrzebował maski, bo jego zapotrzebowanie na tlen było bardzo niewielkie. Dyson wzruszył ramionami i rzucił maskę na biurko.

- Sara, będziemy musieli nosić to przez jakiś czas, dopóki nie oczyści się powietrze.

Zgodnie z planem Terminator przeszedł przez hall i wyciągnął z magazynu trzy

5-galonowe kanistry z rozpuszczalnikiem. Sara zaczęła wyciągać oliwkowo-brązowe bomby rozmiaru książki z opóźnionym zapłonem i przytwierdzać je na wierzchu kanistrów.

Dyson patrzył na to wszystko. Z jednej strony nie mógł uwierzyć, że naprawdę to robili

- tego ranka był na progu przełomu, który mógłby go uczynić bogatym na resztę życia, a teraz znajdował się w samym środku wojny mającej zniszczyć ten przełom. Z drugiej - myśl o tym, co w ten sposób mogli ocalić, dodawała mu otuchy.

Po przejechaniu przez miasto T-1000 zmierzał wolno w kierunku zdewastowanego

gabinetu Dysona, próbując wydedukować, co tutaj się zdarzyło. Przeszedł przez ciemny

korytarz. Wszędzie było pusto. Płomienie ogniska na podwórzu przygasały. T-1000 stał,

lustrując wzrokiem tłący się żar. Przybył do obozu Salcedy zaledwie w parę minut po ich

wyjeździe. Przełączając się na drugi wariant strategiczny, T-1000 przerzucał swe dane, dopóki

nie natknął się na wiadomość o Milesie Dysonie. Przy pomocy wziętego z motoru policyjnego

walkie-talkie zlokalizował swój następny cel.

Tutaj.

Policyjne walkie-talkie, obecnie przypięte do jego paska, odezwało się:

- Wszystkie jednostki, wszystkie jednostki! Dwa-jedenaście w drodze do budynku

Cyberdyne. Wielu uzbrojonych podejrzanych. Jednostka SWAT-u2 już tam jedzie. ...

T-1000 wybiegł z domu. Przerzucił nogę przez siedzenie kawasaki i zapalił. Opony

pozostawiły na chodniku ślad, gdy obrócił się i odjechał z rykiem silnika.

Na drugim piętrze budynku Cyberdyne ognista siekiera przeszła przez obudowę

dużego, precyzyjnie wykonanego komputera, gruchocząc go doszczętnie. Całe pomieszczenie

przedstawiało obraz dewastowania wysokiej techniki. Terminator rozbił komputer na drobne

kawałki i zabrał się do następnego. Trzask! Rutyna. Zniszczył już pół tuzina. Sara rozbijała

szafkę z aktami, rozrzucając je na wszystkie strony. Dyson przytargał całe narzędzie ciężkich dysków magnetyczno-optycznych. Rzucił je na rosnącą na środku podłogi stertę. On i Sara mieli maski tlenowe przerzucone przez szyję. Halon już się rozproszył. Dyson dyszał:

- Tak, cały ten materiał! Wszystkie dyski z tych biur. Szczególnie z mojego. Wszystko z mojego biura!

Sara weszła do pokoju Dysona i zaczęła wyrzucać wszystko przez drzwi na stertę na 2 SWAT - Special Weapons and Tactics, super-elitarna jednostka policji z Los Angeles, komando do walki z terroryzmem i gangami handlarzy narkotyków, istnieje od 24 lat i ma opinię najlepszej na świecie.

środku podłóg U książki, archiwa, wszystko z biurka. Obramowana fotografia żony i dzieci Dysona wylądowała na szczycie stosu. Tarissa obejmująca Danny'ego i Blythe, wszyscy uśmiechający się. Szkło stłukło się.

Terminator dokonywał dzieła zniszczenia pod kierunkiem Dysona. Rozbijał sprzęt z niehumanym rozmachem.

- Te też. To jest ważne.

Była to rzeź. Miliony w żelazie i nieodtwarzalne owoce całych lat pracy naukowej - rozwalone, rozbite, wyrzucone na stos wielkiego ognia Przeznaczenia.

Dyson, dysząc ciężko, zatrzymał się na chwilę.

- Daj mi to na chwileczkę.

Terminator wręczył mu siekiere. Dyson ważył ją w jednej ręce. Zwrócił się w kierunku stołu laboratoryjnego, na którym stał prototyp procesora.

- Przez lata nad tym pracowałem.

Biorąc niezręczny rozmach, ale z dużą siłą, uderzył siekiere w prototyp i roztrzaskał go na kawałki. Ramię okropnie go bolało, ale wyglądał na zadowolonego.

W sekcji specjalnej John stukał w swoją małą klawiaturę, która odprowadzała kombinacje kodów do zamka na karty identyfikacyjne. Nagle na szafce zapaliło się zielone światełko i zamek otworzył się ze szczękiem. *Łatwe pieniądze.*

Otworzył szybko drzwiczki zakrywające rzędy kluczy. Klucz do podziemi wyróżniał się: był to długi stalowy prostokąt zawieszony na łańcuszku. John chwycił go i pobiegł w kierunku laboratorium. Zatrzymało go jaskrawe światło wiewające się oknem. Ryk silników oznajmił przybycie policyjnego helikoptera unoszącego się w pobliżu budynku. Ksenonowe światło jego reflektorów przeszukiwało drugie piętro. John wpadł do pobliskiego pomieszczenia z monitorami kontrolnymi, na których ujrzał z wielu stron teren parkingu przed budynkiem. Budynek tonął w światłach samochodowych reflektorów. Czarno-białe wozy policji tłoczyły się na parkingu, zamieniając go w dyskotekę wirujących czerwonych i niebieskich świateł.

Sara i Terminator pracowali nad montowaniem materiałów wybuchowych jak banda włamywaczy. Sara skończyła przyczepianie bomb do kanistrów, które zamieniły się w ogromne bomby zapalające. Niedaleko od niej Terminator przytwierdzał do głównego komputera bomby i kawałki plastiku. Wszystkie ładunki były połączone przewodami z jednym detonatorem.

- Jak się to wysadza? - spytał Dyson. Terminator pokazał mu mały nadajnik z czerwonym guziczkiem.

- Zdalnie sterowane.

Zrobił ruch kciukiem, jakby chciał nacisnąć guzik, jednocześnie naśladowując odgłos pstryknięcia. Dyson z powagą skinął głową na znak, że rozumie. W tej chwili wbiegł John trzymając klucz w dłoni.

- Mam klucz! Bagatela! Mamy towarzystwo!

- Policja? — z niepokojem zapytał Dysgn.

John potwierdził. Sara odwróciła się od okna:

- Ilu?

John wzruszył ramionami.

- Wszyscy.

Sara zwróciła się do Dysona:

- Idź! Ja to skończę.

Terminator wziął mini-działo i plecak z amunicją.

- Zajmę się policją.

John-niespokojnie popatrzył na cyborga i spytał:

- Jesteś pewien, że nikogo nie zabijesz? Terminator odparł:

- Zaufaj mi.

Uśmiechnął się. Tym razem dobrze to wszystko obmyślił.

Moshier i Gibbons, starając się wypełnić polecenie zakładu, aby budynkowi zapewnić całkowite bezpieczeństwo, skulili się w ukryciu za samochodami na przednim parkingu. Policji przybywało coraz więcej.

Na drugim piętrze John i Dyson puścili się pędem przez sekcję specjalną w kierunku podziemi. Terminator szedł ku oknom zajmującym całą ścianę. Był wyraźnie widoczny w świetle reflektorów helikoptera, kiedy ich światło omiatało ciemne pomieszczenia biura. Bez wysiłku wypchnął kierownicze biurko przez okno. Szkło wyleciało na zewnątrz, a wywrócone biurko upadło na chodnik. Terminator stanął na krawędzi ściany i oddał długą serię, która zbombardowała linię samochodów policyjnych. Gliniarze skulili się, chowając głowy gdy przednie szyby samochodów rozbryzgiwały się wokół. Terminator, mistrz nie ludzkiej precyzji, nikogo nawet nie zranił.

Lecz była to prowokacja. Gliniarze, najwyraźniej w poszukiwaniu uzasadnienia własnego istnienia, odpowiedzieli ogniem.

Terminator spokojnie zaprojektował koordynaty ostrzału parkingu, wymierzył, naciągnął spust Mini-Działa G.E. i nacisnął. Cztery tysiące kul kalibru 7,62 mm podążyło ku swoim celom.

W piętnaście sekund każdy z osobna wóz policyjny został podziurawiony jak sito i zamieniony we wrak. Żaden policjant nie został trafiony. Ci, którzy jeszcze nie uciekli, popatrzyli teraz na swoją fatalnie nieodpowiednią broń i czmychnęli. Kilku nadzwyczaj odważnych ludzi wystrzeliło ponownie. Terminator wymierzył z M-79 i odpowiedział ogniem. Granaty wysadziły w powietrze kilka policyjnych wozów, które opadły majestatycznie, wybuchając płomieniem. Policja wycofywała się przegrupowując.

Ciężarówka SWAT-u przechyliła się mocno wypadając zza rogu i zatrzymała poza zasięgiem ognia.

W przedsionku podziemia John i Dyson stali niezdecydowani, z rękoma na kluczach.

Chłopiec powiedział:

- To zobaczymy, co jest za drzwiami nr 1.

Dyson skinął głową i razem przekręcili klucze. Rozległo się charakterystyczne skrzypnięcie, gdy zasuwę cofnęły się z ostatecznym KLONK! Wspólnie odciągnęli olbrzymie drzwi.

W hallu elita wzięła sprawę w swoje ręce, gdy do ataku ruszyli komandosi ze SWAT-u - najlepsi z najlepszych. Oskrzydlili korytarz i zrobili przejście środkiem. Rozwijali się błyskawicznie, ruszając szybko i drżąc od nadmiaru adrenaliny. Byli uzbrojeni w szturmowe pistolety maszynowe Heckler i Koch MP5K, miotacze gazów łzawiących, maski gazowe i liny. Nie można wykonywać roboty dobrze bez odpowiednich narzędzi. Wysyłali sobie sygnały

rękami, trzymając usta zamknięte.

Rzymscy centurioni byliby zachwyceni.

Na zewnątrz policja zaczęła strzelać gazami łzawiącymi przez wybite okna do biur na drugim piętrze.

W przedsionku sejfów, w milczącym stalowym łonie, John i Dyson byli izolowani od świata. Dyson otworzył gabinet zawierający pozostałości Terminatora. John wpatrywał się niespokojnym wzrokiem w rękę Terminatora i jego centralny procesor CPU. Wreszcie jednym, pełnym złości ruchem sięgnął ręką po pojemniki z gazem obojętnym i cisnął je na ziemię.

Roztrzaskały się. John schwycił CPU i metalową rękę obsypaną zbitym szkłem.

- Chodź, Miles, zmywamy się!

Wybiegł, chwytając stalową rękę i wsuwając do kieszeni pudełko z CPU, jakby to był baton "Mars". Dyson pobiegł za nim.

Na pierwszym piętrze wysunięty oddział komandosów zbliżył się do jednej z klatek schodowych. Wyłaniali się dwójkami, kryjąc się i asekurując jak na manewrach. John pognął do laboratorium, a Dyson potykał się zaraz za nim. Sara właśnie zakończyła uzbrajanie centralnego detonatora.

- Gotowy do wybuchu?

- Gotowy.

John rzucił jej metalową rękę. Złapała ją i nachyliła się, by włożyć do swojego pustego plecaka. Rozsunęła zamek i zaczęła ją wciskać.

Dyson stał pośrodku laboratorium, żegnając się z nim w duchu. Był u kresu sił. Bandaże na jego ramieniu przesiąkały uchodzącą krwią. Terminator wkroczył do laboratorium:

- Już czas iść. Teraz.

On i John skierowali się z powrotem drogą, którą przyszlizli, przez sekcję specjalną. Sara

skończyła swoją pracę i skierowała się do detonatora, dwadzieścia stóp dalej, niedaleko miejsca, gdzie stał Dyson.

- Miles, podaj mi detonator i chodźmy.

Delikatnie podniósł detonator i ruszył w jej kierunku. Wtedy...

Trzask! Drzwi w drugim końcu laboratorium zostały odrzucone z rozmachem.

Dowódca grupy uderzeniowej i dwóch jego ludzi otworzyli ogień. Ich peemy pokryły ogniem całe pomieszczenie. Sara dała nura za wielki komputer. Dyson został trafiony kilkakrotnie i padł na podłogę jak ścięte drzewo.

W halu John usłyszał strzelaninę i rzucił się z powrotem:

- Mamo!

Terminator chwycił go, kiedy kule już uderzały w jego szerokie plecy. Rzucił się z chłopcem za narożnik, by zejść z linii ognia.

W laboratorium kule przelatywały nad głową Sary, trzaskały wokół niej, natrętne jak stado os.

Zobaczyła Dysona padającego gwałtownie na ziemię.

Detonator trzymał kurczowo w ręce. Obrócił się i spojrzał na nią. Jego oczy rozszerzone były bólem - wnętrzości miał poszarpane na kawałki.

- Idź - wyszeptał.

Przez ułamek sekundy Sara zawahała się. Patrzyła mu w oczy. Wzrok jej przesunął się po tłuczonym szkle, postrzelanym rumowisku i zatrzymał na najbliższym wejściu. Duży błąd.

To był "czysty pokój". Oczyszczony, pozbawiony okien, dokładnie opieczętowany. Nie było tu innego wyjścia poza tym jednym, którym weszli. Kolejna seria przeszła pokój. Sara skryła się za biurkiem.

Terminator biegł hallem w kierunku łoskotu broni maszynowej. Zawahał się koło



szeregu monitorów. Jeden z nich skierowany był na Sarę znajdującą się w czystym pokoju. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Wykonał szybki zwrot i ruszył swą poprzednią drogą.

W pokoju Sara czołgała się w kierunku rogu. Ale to niczego nie zmieniało. Pociski rozrywały się tuż obok, pudłując zaledwie o cale.

Nagle ściana za nią runęła i wszedł Terminator. Chwycił ją za kołnierz i jak kociaka wyciągnął do hallu.

Biegli, a pociski uderzały o ściany tuż za nimi. Skręcili za róg. John czekał na nich i razem minęli punkt kontroli bezpieczeństwa.

John dobiegł jako pierwszy do zewnętrznych drzwi i szarpnął. Zamknięte. Terminator podniósł M-79, by zrobić wyrwę w murze.

- Cofnąć się! - rozkazał.

Wyciągnął granat z pasa przewieszzonego przez plecy i wcisnął go do komory. Jednym precyzyjnym ruchem ręki zatrzaskał zamek. Sara i John mieli tylko ułamek sekundy na ukrycie się. Terminator obrócił się i wycelował, mówiąc:

- Zakryjcie uszy i otwórzcie usta.

Natychmiast wykonali rozkaz, a cyborg pociągnął za spust. Pół ściany zostało wysadzone razem z drzwiami. Fala wybuchu uderzyła w Terminatora z ogromną siłą, ale on wpadł w zadymiony otwór, zanim odłamki zdążyły spaść na podłogę.

Terminator poprowadził Sarę i Johna ciemnym korytarzem. Gaz łzawiący wydobywał się spod drzwi biura i unosił w powietrzu. Zaczęli kaszleć i dusić się. Sara ściągnęła swoją maskę przeciwgazową i założyła Johnowi.

Terminator wyprzedził ich i w marszu ładował broń powtórnie. Przed nimi było jeszcze jedno zablokowane wyjście. Zamknął magazynek jednym ruchem ręki i strzelił.

Drzwi zniknęły. Obsypały go resztki ściany. Jednak nie cofnął się, ani nie zwolnił. John i Sara podążyli za nim do innego korytarza. Terminator znów załadował swój granatnik.

W cichym teraz, zadymionym laboratorium przywódca grupy antyterrorystycznej przesunął się ostrożnie przez pokój. Kocim krokiem okrążył biurko i skierował karabin na...

Milesa Dysona, który nie był jeszcze zupełnie martwy. Ale wiedział, że wkrótce będzie.

Siedział na podłodze opierając się o biurko. Trzymał ciężki techniczny podręcznik dokładnie ponad głową detonatora. Komunikat był jasny:

- Zastrzel mnie, książka opada na głowę. Adios.

Dyson charczał, starając się wciągnąć w płuca choć tyle powietrza, by móc mówić:

- Nie wiem... jak... długo jeszcze... mogę... utrzymać to...

Lider grupy specjalnej po raz pierwszy zobaczył przewody i kanistry dookoła siebie.

Nawet przez maskę gazową można było zauważyć strach w jego oczach. Podjął natychmiastową decyzję: gwałtownie odwrócił się i dał znak swemu oddziałowi do odwrotu.

- Wycofać się! Wszyscy! Ruszcie się! WYCOFAĆ SIĘ!

Posłuchali, zderzając się z następną grupą idącą w górę schodów.

Terminator dobiegł do głównej windy i wcisnął guzik. Sara i John byli tuż za nim, krztusząc się i potykając w zadymionym holu. Drzwi otworzyły się. Weszli do windy i zjechali na dół.

Dyson leżał na zgliszcach swych marzeń, rozwalony na podłodze, plecami oparty o biurko, skąpany we własnej krwi, która spływała w długich strumieniach w poprzek kafelków. Jego oddech był płytki i chrapliwy. Nadal trzymał książkę, drżącą nad detonatorem. Zobaczył coś w pobliżu z bardzo drogimi obecnie rupieciami. Fotografia jego rodziny. Sięgnął po nią, balansując książką, po czym położył ją na swoich kolanach. Jego żona i dzieci, uśmiechali się do niego poprzez zbitę szybę. Łza spłynęła mu z oka. Nie zamierzał starać się żyć dłużej.

Powiedziało mu to całe jego ciało. I głos z tyłu głowy, jego głos, jakoś zmieniony, spokojniejszy, rzekł po prostu *Możesz teraz odejść!* Ale chciał jeszcze raz zobaczyć swoje dzieci i wyjaśnić im, dlaczego odchodzi tak szybko. Nie wiedziałyby co on wiedział i widział poza fotografią swojej rodziny.

Błysk białego, gorącego światła rozlał się w powietrzu.

I co usłyszał...

Megafony, helikoptery, odległe syreny, wszystko stawało się słabsze... zastępowane rykiem, który nabrzmiewał, kiedy biały kwiat na niebie stawał się zmaconą chmurą czerwieni i czerni... krwisto-czerwony ogień kipiący przez gęstą chmurę, czarną jak żelazo.

Była to chmurna kolumna bomb wodorowych, wstrząsająca ziemią swoją niewyobrażalną siłą. Ale wtedy Dyson zobaczył, że zaczęła się cofać. Grzmot oddalił się, zamierając na wietrze, który był jak ostatnie podmuchy wielkiego sztormu, opadające do łagodnego powiewu, kiedy żelazne chmury potoczyły się w dal, dając drogę delikatnemu, przejrzystemu światłu.

I z tego wyszli Danny i Blythe, biegnąc w kierunku Dysona, śmiejąc się. Tarissa stała za nimi uśmiechając się. Byli w jasnym świetle słonecznym, biegnąc w dół zielonego pola, wprost do zrujnowanego laboratorium. Dyson przyciągnął ten płatek pamięci, tak żywy i cenny, że mógł stawić czoło wieczności. Alboż był to podarunek z zewnątrz? Nie wiedział. Mógł odczuwać głębokie powiązanie z rzeczami tej ziemi, zaczynającymi się usuwać. I tęsknota, aby jeszcze raz zobaczyć swoją rodzinę, zaczęła się rozplýwać, a później napłynęło zabawne poczucie ironii.

Było to prawie śmieszne, wydawało mu się, leżącemu tutaj jak zarżnięta świnia, że jest ofiarnym jagnięciem krwawiącym na rumowisku pracy swego życia. Niemądrzy ludzie, którzy musieli posunąć się do takich ostateczności, aby ocalić siebie przed swoimi własnymi

narzędziami wojny.

I zobaczył samego siebie w przeszłości, poważnego człowieka z misją, wychodzącego z chaosu getta w jasne światło wiedzy Rzeczy, i w jednej chwili zrozumiał potrzebę swojego udziału w grze Tutaj. Zrobił to bardzo dobrze, musiał przyznać.

Ale teraz, kiedy umierał, chciał zostać i stać się tym innym Dysonem, kochającym człowiekiem tak oddanym swojej rodzinie, jak zwykł być oddany nauce. Dyson chciał się śmiać, ale pomyślał, że rozpadłby się i uczynił większy kłopot od tego, którym już był, więc zaprzestał. Zamiast tego podniósł ponownie oczy w górę, aby zobaczyć swoją rodzinę. Ich włosy rozwiewał wiatr, który - teraz to wiedział - był wiatrem wiejącym przez samą Historię i zmieniającym ją na zawsze. Myślał...

Ludzie mogą wpływać na swoje Przeznaczenie.

Jeśli by Losy pozwoliły.

Życie posunęłoby się naprzód.

Ale Historia byłaby

martwa.

Spojrzenie Milesa Dysona było nieruchome, widział coś, czego żaden żyjący człowiek nie mógł zobaczyć. I pod wpływem tej zamierającej wizji ślad uśmiechu pojawił się na jego twarzy. Ale z chwilą, gdy światło zniknęło z jego oczu -

Opuścił rękę i książka uderzyła w detonator...

Na zewnątrz policjanci, odłożywszy broń i skuliwszy się za osłonami, nadal oczekiwali w napięciu spodziewanego krwawego szczytu. Spodziewali się, że ciała będą wynoszone na noszach. Albo - że podejrzani zostaną odprowadzeni pod eskortą do wozów patrolowych. Albo - że grupy komandosów wycofają się, aby przebroić się i przegrupować. Nie spodziewali się tego, co wydarzyło się faktycznie.

Cała lśniąca frontowa ściana budynku eksplodowała w gejzerze szkła i ognia. Okna drugiego piętra zasypały szklanym gradem teren parkingu, a ogromna kula ognia jak język diabła skoczyła ku niebu.

Płonące fragmenty budynku padały między policyjne samochody. Funkcjonariusze rozbiegli się w panice. Szeregi zostały złamane.

Tylko jeden policjant na motocyklu przeciskał się przez zdezorientowany tłum w kierunku płonącej budowli.

T-1000. Raz tylko zwolnił - rzucił się na uciekającego gliniarza i wyrwał mu broń z pochwy. Potem oddał serię przez roztrzaskane okno do biur i hallu. Metodycznie badał wzrokiem wszystko dookoła. Po chwili dostrzegł klatkę schodową i sforsował ją przy wyciu torturowanego na wysokich obrotach silnika.

Wpadł na pierwsze piętro, które było teraz jednym zadymionym labiryntem. T-1000 ujął mocniej pistolet maszynowy Heckler i Koch MP5K i wolno krążył po oświetlonych ogniem pomieszczeniach, beznamiętnie lustrując je wzrokiem.

W miarę posuwania się korytarzem T-1000 napotykał coraz więcej płomieni.

Wewnętrzny analizatorami badał skaczące cienie w poszukiwaniu swoich ofiar.

W korytarzu na dole drzwi windy otworzyły się i Sara wyjrzała na zewnątrz. Ściany po obu stronach były podziurawione kulami, a koniec korytarza zablokowany.

Znaleźli się w pułapce, odcięci. John obrócił się do matki i spróbował ją pocieszyć:

- Nie zapominaj, że po burzy zawsze jest słońce. Jesteś całkowicie rozbita.

Komandosi ze SWAT-u otworzyli w kierunku windy ogień pociskami z gazem

łzawiącym. Karabiny pluły obezwładniającym gazem CS i wirująca chmura obejmowała już Sarę i Johna, przyciśniętych do tylnej ściany windy.

Terminator skończył penetrację korytarza, wrócił do nich i powiedział:

- Zamknijcie oczy. Nie ruszajcie się. Kiwnęli głowami i zacisnęli powieki. Terminator przewiesił broń przez plecy i opuszczając windę powiedział:

- Wróćę.

Pocisk z gazem obezwładniającym odbił się rykoszetem od ściany. Terminator biegł korytarzem. Pocisk wybuchł przed nim, wyrzucając białą chmurę, która szybko wypełniła ciasną przestrzeń.

W windzie Sara i John dusili się miotając rozpaczliwie. Byli teraz w pułapce.

Klaustrofobia spowodowana zatrutym powietrzem i winda, która była maleńką redutą, doprowadzały Johna do paniki. Był tylko o krok od opuszczenia schronienia i wyjścia na korytarz.

Komandosi stali w dalekim końcu holu, dzierżąc mocno w rękach broń, patrząc w chmurę i czekając na swe ofiary, by otworzyć ogień.

Ktoś pojawił się w dymie, stąpając ostrożnie, z kamiennym spokojem.

- Zatrzymaj się! Połóż się na podłodze twarzą w dół! Na podłodze, NATYCHMIAST!

Terminator wciąż szedł w ich kierunku, jakby zupełnie nie słyszał rozkazów.

Komandosi sprężyli się. Nigdy czegoś takiego nie widzieli.

Terminator podchodził bliżej i bliżej.

Dowódca podjął nową decyzję i wydał rozkaz:

- Rozwalić go!

Korytarz natychmiast wypełnił się hukami.

Kule trafiły Terminatora w klatkę piersiową.

W żołądek.

W twarz.

W uda.

Jego skórzana kurtka, już wcześniej podziurawiona jak sito, stała się teraz jednym strzępem.

Dowódca jednostki specjalnej pewien był, że Terminator nosi broję. Wycelował więc dokładnie w twarz. Głowa trafionego powinna odskoczyć jak dojrzały melon. Zamiast tego lekko zadrżała, a dziura w kości policzkowej bluznęła krwią.

Mężczyzna nadal szedł w ich kierunku!

Komandosi robili to, czego ich nauczono.

Naciskać spust.

- Celuj w twarz! - krzyknął dowódca, myśląc, że jakimś sposobem jego kula musiała być wadliwa. Ale jakiś człowiek obok niego krzyknął ze śladem przestachu w głosie:  
- Bez efektu!

Terminator płynnie wyciągnął swoją czterdziestkę piątkę. Jego wewnętrzny skaner zabłysnął: OSZACOWANIE ZAGROŻENIA - GRANICE PRZEKROZONE - TYLKO INWALIDZI. Bez szczególnego pośpiechu, jak gdyby spoglądał na półki w supermarkecie, wybrał swoje cele. Strzelił w lewe udo najbliższego człowieka. Kiedy ten krzyknął i upadł, Terminator pochylił się i podniósł jego rozpylacz z gazem obezwładniającym. Było to jedno z tych nowych urządzeń, które posiadało dwanaście naboji w dużym bębnie. Terminator strzelił do następnego komandosa z rozpylacza. Pocisk gazowy uderzył w kamizelkę kuloodporną i nie przebił jej. Ale było to jak uderzenie w żołądek kijem baseballowym z pełnego rozmachu. Człowiek przegiął się dwa razy i uderzył w płyty chodnika ciężko oddychając.

Terminator był wizerunkiem z piekła - wysoka figura w postrzępionej czarnej skórze, pokryta smugami krwi. Jedno oko było teraz krwawym oczodołem połyskującym metalowym serwo-okiem. Ciało jednego policzka zwisało w strzępach, odkrywając chromową kość policzkową poniżej. Cały przód jego kurtki był odrzucony na zewnątrz, odkrywając metalowe

piersi.

Kilku komandosów było wystarczająco blisko, żeby to wszystko zobaczyć. Było tego zbyt wiele nawet jak na ich nerwy. Nawet w gorączce bitwy, pomimo tysięcy godzin hartujących ćwiczeń, zaczęli się wycofywać.

Jeden zawrócił, aby biec i -

Trrrach! Pocisk gazowy uderzył go w plecy, powalając na ziemię. Terminator odpalił trzy granaty gazowe w korytarzu. Wypełnił się on natychmiast białym gazem, duszącym i zmniejszającym pole widzenia do kilku stóp. Było to istne piekło.

Dowódca komandosów przykucnął w tej mgle ściskając swój pistolet i zupełnie nie wiedząc, co począć w tej sytuacji. Nagle z mgły, wprost naprzeciw niego, wynurzył się Terminator.

Zanim dowódca zdołał zareagować, nastąpiła eksplozja i rozległ się głuchy odgłos, kiedy kula Terminatora przewierciła mu nogę. Gdy zawył i upuścił pistolet, aby chwycić nogę, Terminator zerwał mu maskę. Oficer upadł zwijając się na podłodze, dusząc się, rozdziawiając usta, bezmyślnie chwytając swe rozerwane udo i próbując zatamować upływ krwi.

Terminator podszedł do dwóch żołnierzy przed drzwiami. Trzasnęły strzały. Noga i noga. Kiedy upadli, zerwał im maski.

Ogień pistoletowy ustał. Nikt już nic nie widział. Wrzaski i jęki odbijały się echem we mgle.

Dym wypłynął przez drzwi, gdy stanęła w nich wysoka postać. Trzymając miotacz jedną ręką, Terminator wystrzelił wszystkie pozostałe naboje z gazem w kierunku pojazdów policyjnych. Nie chronieni niczym policjanci uciekli dławiąc się, na wpół oślepieni, zatraskując się w samochodach, potykając o przeszkody i wpadając na siebie nawzajem.

Była to druzgocąca klęska.



W ciężarówce oddziału antyterrorystycznego jeden z mężczyzn prędko wręczał wolne maski nieosłoniętym policjantom. Jakaś postać wyłoniła się z dymu obok niego. Podniósł oczy, kiedy Terminator wręczył mu pusty miotacz. Instynktownie pochwycił go. Wtedy Terminator zerwał mu maskę, schwycił go za kuloodporną kamizelkę jedną ręką i wyrzucił w dym. Następnie przeszedł dużymi krokami wzdłuż ciężarówki i wspiął się na siedzenie kierowcy. Żadnych kluczyków w zapłonie. Szarpnął daszek przeciwsłoneczny.

Klucze spadły mu do ręki. Cyborg zużył kilka mikro-sekund, aby coś zanotować. Uczył się.

Zapalił silnik i wrzucił bieg.

W korytarzu gaz obezwładniający rozpływał się w lekką mgiełkę. Sprawni komandosi opiekowali się, zmieszani, pobici pierwszy raz w dziejach formacji, rannymi kolegami. Unieśli głowy na dochodzące krzyki i niski gang ryczącego silnika.

Ciężarówka SWAT-u roztrzaskała przednie drzwi rozbijając je w gruzy. Komandosi rozsypali się, kiedy wóz zapiszczał przejeżdżając korytarzem, ślizgając się, aby wreszcie zatrzymać się w poprzek przejścia prowadzącego do wind. Terminator wycofał ją, aż z chrzęstem zablokowała swoim tyłem wejście w tę odnogę.

Sara i John usłyszeli huk i po chwili zobaczyli ciężarówkę cofającą się w głąb korytarza. Z radością opuścili windę, ciągle krztusząc się i kaszląc pobiegli wzdłuż hallu i wskoczyli na jej tył w momencie, gdy Terminator dojechał do przejścia do wind. Ciężarówka przejechała z łoskotem przez korytarz i skierowała się ku wyjściu przez rozbite okna, rozpędzając policjantów w różnych kierunkach.

Wszystkich oprócz jednego.

Na odgłos toczącej się poniżej walki T-1000 poderwał swoje potężne kawasaki ku jednemu z okien biura i popatrzył w dół, na umykającą co siłą przez parking ciężarówkę i

bezszykownie ostrzeliwujących ją policjantów.

Wiedział doskonale, że ponownie znalazł swój cel.

Szybko rzucił okiem na teren analizując ewentualne możliwości ataku. Przez otwarte drzwi pokoju znajdującego się w dalekim końcu korytarza zobaczył na zewnątrz budynku wznoszący się do lotu helikopter. Było wiele innych sposobów osiągnięcia celu, ale ten jeden wydawał się być najbardziej naturalnym torem postępowania. T-1000 czuł wszystkie optymalne warianty, przepływające przez niego tak, jakby był zbiornikiem pełnym energii.

Magnetycznie przyciągany przez obracające się śmigła, T-1000 odkręcił przepustnicę w potężnym motorze do końca. Kawasaki stanął dęba, a potem runął w wąski korytarz, wciąż przyspieszając i kierując się wprost na okna. W pełnym pędzie uderzył w szklaną taflę i poszybował przez powstałą wyrwę. Trzasnął we wznoszący się helikopter i zgruchotał jego pokrycie. Uderzenie maszyny i jeźdźca spowodowało radykalne obniżenie helikoptera.

Zaskoczony pilot walczył o odzyskanie kontroli nad maszyną, jednak środek ciężkości przesunął się ponownie, gdyż motor spadł na chodnik.

Ale nie T-1000. On przywarł do roztrzaskanej kłapy. To było koszmarne. Pilot maszyny patrzył, jak T-1000 przebija głową pokrycie z pleksiglasu i błyskawicznie wlewa się przez wyszczerbiony właz. Nie tracąc serca starł się z funkcjonariuszem Austinem w części helikoptera przeznaczonej dla pasażerów. Jednak T-1000 pochwycił go i wyrzucił z rozdziawionymi ustami na zewnątrz kokpitu, a następnie wśliznął się za aparaturę kontrolną.

Helikopter zataczał się w powietrzu, wirując bez pilota i opadając w kierunku parkingu. T-1000 udało się w końcu odzyskać kontrolę nad nim, gdy do ziemi było już tylko dziesięć stóp.

Ponownie wzniósłszy się do góry, z wielką trudnością przeleciał z ogłuszającym hukiem przez parking w kierunku uciekającej ciężarówki.

Skierowując ciężarówkę na autostradę Terminator popatrzył za siebie, na dwoje swoich

pasażerów. Sara i John oddychali z trudnością i ciągle kaszleli z powodu gazu. Cyborg spojrzął w tylne lustro - wypełniło je właśnie ksenonowe światło reflektora śmigłowca.

Sara sprawdziła wnętrze wozu. Był on kołyszącą się zbrojownią. Znajdowały się w niej karabiny, strzelby, kamizelki kuloodporne i wszelkiego typu wyposażenie.

- John, opanuj się i pospiesz!

John usiadł naprzeciwko frontowej ścianki przegradzającej ciężarówkę i Sara ułożyła na nim stos kuloodpornych kamizelek całkowicie go przykrywając. Potem chwyciła dwa M-16 ze ściennego wieszaka i załadowała. Zaczęła ściągać strzelbę, kiedy Terminator po mistrzowsku wyprowadził z łuku chwiejny pojazd. Inne samochody i ciężarówki w porównaniu z nim wydawały się tylko pełzać. Ciężarówka osiągnęła swoją maksymalną prędkość 80 mil na godzinę. Nagle skręcili w bok, by uniknąć zderzenia z białym samochodem ciężarowym na osiemnastu kołach. Było to dobre posunięcie, jeśli chciało się przeżyć, gdyż duże niebieskie litery na samochodzie objaśniały, że ciężarówka jest własnością spółki akcyjnej CRYOCO zajmującej się dostarczaniem płynnego azotu.

Śmigłowiec krążył nad nimi, szybko się zbliżając. T-1000 przecisnął się przez roztrzaskaną klapę z pistoletem maszynowym MP5K, po czym wypalił. Tył ciężarówki zabrzączał.

Terminator jechał zygzakiem, by udaremnić zamiary T-1000. Niepewny pojazd, jakim była ciężarówka, zapiszczał i zachybotał na krawędzi wytrzymałości. Natomiast szyby w drzwiach roztrzaskały się, a kule przemieszały rzeczy znajdujące się we wnętrzu ciężarówki. O mały włos nie zraniły Sary i jej przykrytego stosem kamizelek ochronnych syna.

Sara miała dosyć bycia ofiarą. Raz wcześniej doświadczyła już takiego napadu wściekłości, kiedy pierwszy Terminator zastrzelił Kyle'a. Wydawało się, że nie była ostatecznym celem ataku. Ale fakt, iż był nim ktoś, kogo kochała, sprawił, że jej furia była tak

głęboka, że nie wiedziała nawet skąd mogła pochodzić. Jak gdyby wszyscy aniołowie śmierci z innego świata uczynili z jej duszy bastion oporu.

Czuła palącą wściekłość, która popychała ją, gdy kopnięciem otworzyła tylne drzwi ciężarówki i błyskawicznym ruchem podniosła M-16. Otworzyła ogień krzycząc do granic możliwości, a kule, przekaźniki jej woli, dziurawiły to, co zostało z kopuły helikoptera.

T-1000 otworzył ogień perforując ciężarówkę. Otwory pojawiły się w cienkiej metalowej warstwie ścian. Kule rozpruwały wnętrze. Kaftany osłaniające Johna zostały trafione ponownie. Sara skryła głowę za dwa kaftany z kevlaru i tylne drzwi ciężarówki, a kule świstały wokół niej.

W chwili ciszy wychyliła się ponownie i oddała serię celując w wirniki. Kilka pocisków zaiskrzyło się na łopatach. Opróżniła M-16 i chwyciła drugi.

Terminator przechylał na boki wymykający się spod kontroli samochód, obijając jego i tak już sponiewierane burty. Chwilę później minął ich helikopter.

Sara nie przestawała strzelać.

Tak samo nie ustawał T-1000.

Poczuła uderzenie w udo, a kilka innych kul zabębniło po jej kaftanie. Odrzuciło ją w tył, na podłogę.

Terminator zobaczył celującego T-1000. Nacisnął hamulce ciężarówki. Opony zapiszczały, kiedy pojazd zatrzymał się. Sara została wyrzucona w przód, przesuwaną się do przepierzenia blisko Johna, z dala od otwartego pola widzenia. Ale...

Sara i John ujrzeli przerażający widok: helikopter rósł im w oczach, płynąc prosto na tył ciężarówki. Samochód został odrzucony z drogi i pchnięty naprzód, jak gdyby jakaś gigantyczna ręka zagarnęła go kilka stóp od autostrady i rzuciła kilka jardów wzdłuż drogi.

Wirnik rozpadł się. Tylne drzwi ciężarówki były zmiażdżone. Cała przednia część

kadłuba helikoptera zamieniona została w kupę złomu, zatrzasnąjąc T-1000 wewnątrz skręconego metalu. Helikopter uderzył w chodnik, zarzuciło nim na boki i przeokołkowało... zmiądzony w bezkształtną masę skręconego metalu daleko za ciężarówką.

Terminator walczył, aby utrzymać kontrolę nad samochodem, który miotał się gwałtownie jak rybi ogon. Trzasnął w centralny rozdzielnicę skrzecząc i drąc beton, następnie pociągnął dalej. Terminator przycisnął pedał przyspieszenia do podłogi i ciężarówka ponownie osiągnęła osiemdziesiątkę. Prawa strona przedniego zderzaka, zgnieciona przez uderzenie, wznosiła się w oponę, która nagle rozdarła się na wylot spadając zupełnie z obręczy. Stalowe koło potoczyło się wzdłuż drogi krzesząc smugi iskier. Wreszcie ciężarówka osunęła się na stronę i przewróciła.

Stal zapiszczała na chodniku, kiedy ciężki wóz runął na ziemię.

Wewnątrz John podczołgał się do Sary, która jęczała i trzymała krwawiącą nogę. Była biała od szoku.

- Mamusiu! - powiedział John.

Powoli odwróciła się do niego, płytko oddychając, zdezorientowana.

Terminator zaczął wyplątywać się ze zgniecionego siedzenia kierowcy.

W tyle wrak helikoptera był dymiącą, zgniecioną kulą metalowego złomu. Za nią, ciężko podrygując i jęcząc, hamowała ciężarówka z cysterną, usiłująca zatrzymać się z piskiem przed dziwną przeszkodą. Ogromne koła schowały się w chmurach dymu z palonych opon.

Dana Shorte wyskoczył z kabiny krańcowo przerażony, serce mu łomotało, a krew rozsadała żyły. Był zbyt wstrząśnięty, aby prowadzić tą samą trasą następnego dnia. Kursował teraz na północ, zamiast na południe i wschód, i trasa ta oddalała go od szaleństw pustyni. Sam tak chciał. Ale teraz zaczynał wątpić w mądrość tego wyboru. Tego wieczoru widział już dwa inne wypadki.

Prowadząc wóz leniwie pozwolił odpłynąć myślom i ukazała mu się twarz kelnerki, tej od obiadu po drodze. Jak było jej na imię? Klaudia. Jej piersi...

I wtedy nagle wyłoniło się to rumowisko na drodze i musiał wciskać hamulce do oporu.

Czuł tony skondensowanego i nieprawdopodobnie chłodnego płynu azotowego za plecami.

Wpadł w panikę, wyobrażając sobie uderzenie w ścianę cysterny i napływające do szoferki fale płynu... natychmiast zamieniające go w ludzki szkielet.

Spojrzał dookoła, szukając z narastającym obrzydzeniem ewentualnych śladów

pozostałych przy życiu pasażerów. Zza wraka wyłonił się policjant. Szedł w jego kierunku i wyglądał wyraźnie zdrowo.

- Cholera, wszystko w porządku... - Dana zdołał wyjść przed...

SZSZZSZT! T-1000 przebił mu sztyłem brzuch i przeszedł obok nie zwalniając, nawet bez spojrzenia na niego.

Dana opadł na kolana, sięgając do gorącego piekła bólu, jakim właśnie stał się jego

żołądek. Czuł, jak zamazują mu się przed oczami przedmioty, kiedy niepewnymi rękoma

natrafił na stróżkę tryskającą mu z brzucha. Obserwował oniemiały, jak policjant z ręką -

harpunem wspiął się do otwartej szoferki jego cysterny i zwolnił hamulec. Ogromny pojazd

zaryczał i potoczył się naprzód, jak szalejący smok ziejąc dymem przez otwór wydechowy.

I kiedy uderzał twarzą o chodnik, zapadając w utęsknioną nieświadomość, z której

nigdy już nie miał się podnieść, Dana pomyślał, że Bóg jest jednak surowym i niełatwo

wybaczającym facetem.

Dalej na drodze John i Terminator wynosili Sarę z przewróconej ciężarówki oddziału

antyterrorystycznego. Terminator miał na ramieniu granatnik i pas z granatami, a swoją

załadowaną "45" zatknął za pasek. John pożyczył sobie z ciężarówkowego arsenału strzelbę

"12".

Na odgłos metalicznego dźwięku Terminator i John spojrzeli w stronę, z której przybyli. W oddali zobaczyli wrak helikoptera, odrzucany właśnie na bok przez nabierającą szybkości ogromną ciężarówkę z cysterną.

John złapał ręce Sary:

- Do diabła. Chodź, mamuś... musimy uciekać... Chodź.

Lekka ciężarówka, którą minęli parę chwil wcześniej, zahamowała przy nich z piskiem opon. Osłupiały kierowca był pięćdziesięcioletnim Hiszpanem. Wyskoczył z szoferki, aby zaoferować im swoją pomoc. Terminator zbliżył się i powiedział:

- Potrzebujemy twojego pojazdu.

Bez czekania na odpowiedź przeszedł obok kierowcy, złożył Sarę na przednim siedzeniu i wspiął się za kierownicę. John obiegnął samochód i zajął miejsce pasażera. Kierowca wycofał się nerwowo. Z doświadczenia całego życia wiedział, kiedy nie można nawet próbować zatrzymywać takich krwawych, szalonych ludzi.

Wielka cysterna zaryczała, wypluwając dym z chromowanych kominów. Terminator wrzucił bieg i sprawdził we wstecznym lusterku: prześladowca był teraz o sto stóp za nimi i przyspieszał. Szybko obliczył - siedem sekund do zbliżenia. Dużo czasu. Otworzył przepustnicę, ale wóz był bardzo stary i przyspieszał powoli.

Terminator poprawił obliczenia - trzy sekundy. Czterdziestoprocentowa szansa na usunięcie się z drogi cysterny. Osiemnastokołowa maszyna za nimi uderzyła w koniec rozbitej ciężarówki SWAT-u, zrzucając ją z drogi ze zgrzytem i piskiem dartej i skręcanej metalu. Nadal przyspieszała.

Z cysterną za plecami Terminator skrzył kierownicę próbując uniku w poprzek pasów.

T-1000 zahamował tuż za nimi, uderzając gwałtownie cysterną.

- Prędeż! Już nas ma! - pisnął John.

Terminator nie odpowiedział. Ze strategicznego punktu widzenia czynnością lepiej służącą zachowaniu życia było szybkie zdjęcie pasa, nadal owiniętego wokół szyi, i sięgnięcie po granat. Tak właśnie uczynił, trzymając kierownicę jedną ręką.

John spojrział ponownie na majaczący chrom i światła cysterny z płynnym azotem.

Déjà vu.

TRRRACH! Uderzyła w tył ciężarówki i rzuciła ją w poślizg. T-1000 pociągnął przyczepę cysterny wzdłuż ich wozu i przejechał, właczając i rozdzierając drzwi od strony pasażera.

Ciężarówka bryknęła i szarpnęła szaleńczo, odbijając się rykoszetem od wielkiej maszyny, John schwycił zakrwawioną rękę matki, kiedy usłyszeli wysokotonowy lament torturowanego metalu.

Iskry sypały się morzem ognia z obu stron.

Szyba ochronna rozsypała się, a drzwi skrzywiły.

Metal i szkło sypnęły gradem, przez boczne okna.

Rama przekręciła się i wygięła.

Powoli byli miażdżeni.

John czuł się tak, jak gdyby zęby miały mu zaraz wypaść ze szczęki.

T-1000 mocno trzymał kierownicę bezlitośnie miażdżąc ciężarówkę. Terminator przesunął się na stronę pasażera. Trzymając stopę na gazie, podniósł Johna ponad sobą i usadowił na siedzeniu kierowcy. Mówił, jak gdyby właśnie szedł wydostać coś z przedziału:

- Prowadź przez chwilę.

Stosowne pytanie wpadło Johnowi do głowy:

- Dokąd idziesz?

Terminator odpowiedział trzaskiem gruchotanego szkła osłonowego. Trzymana dotąd



przez plastikowy laminat, szyba buchnęła z ram i wypadła na maskę ciężarówki.

Przerażony John chwycił kierownicę, niepewnie obserwując, jak cyborg wstaje i ponad tablicą rozdzielczą wysuwa się na zewnątrz. Terminator obrócił się i wycelował jednorącz z granatnika M-79. Odpalił.

Granat przeleciał niecałą stopę od T-1000 i eksplodował tuż przed frontową ścianą cysterny, niemal na jej powierzchni. Metal został przedziurawiony, a z otworu wypłynęła struga sprężonego, płynnego azotu, którą podmuch powietrza o prędkości 65 mil na godzinę wypychał z powrotem do wnętrza.

Maszyna skręciła, gdy T-1000 udało się odzyskać nad nią kontrolę. Cysterna przechyliła się jak ogromne wahadło.

Gdy cofnęła się nieco uwalniając furgonetkę, John gwałtownie przyspieszył, aby oddalić się choć o kilka jardów.

Niestety, cysterna już powracała do bitwy, ciągnąc za sobą, niby ogon komety, opar azotu.

Terminator, wciąż stojąc, otworzył zamek i załadował. John przeciął szosę i wjechał na rampę. Dymiący potwór także skręcił na przeciwną stronę trasy i puścił się w pogoń wzdłuż rampy. Wkrótce nabrał szybkości i zmniejszył dystans do 20 stóp, jednocześnie próbując zatoczyć koło. Terminator zatrzasnął zamek i wypalił.

Granat uderzył w przednią osłonę, roztrzaskał chłodnicę i połowę maski. Buchnęła para, przysłaniając cały przód ciężarówki. Plując dymem i parą, rozpędzona cysterna, podobna teraz do jakiejś demonicznej lokomotywy, z łomotem zderzyła się z tyłem furgonetki. Pchnęła ją aż poza skrzyżowanie na końcu rampy, wprost ku zakładom przemysłu ciężkiego.

Terminator usiłował ponownie załadować, nie zważając na ogólny chaos i wstrząsy. W ładownicy zostało tylko kilka granatów.

Zbliżali się właśnie do zimnych, szarych kominów ogromnej fabryki. Popychana

furgonetka wyrwała z zawiasów bramę Kalifornijskiej Fabryki Stali.

John rozpaczliwie usiłował kierować, ale nic nie można już było zrobić. Samochodem rzucało na szerokim podjeździe, prowadzącym wprost do rozległego, głównego budynku fabryki. Gdy mijali bramę, Terminator spróbował załadować granat. Wyśliznął mu się z ręki.

Nie było czasu na poszukiwania. Zamiast tego cyborg pochwycił karabin szturmowy, podciągnął się na dach furgonetki, przeskoczył na maskę cysterny i wypalił w przednią szybę.

Prosto w twarz T-1000.

Twarczą T-1000 eksplodowała tuzinami metalowych odłamków. Przez chwilę wstrząsy balistyczne ogłuszyły go. Terminator, sięgnąwszy w głąb szoferki, uchwycił kierownicę.

Pojazd zaczął się przeginać, powoli, jak we śnie. Kabina przechylała się na boki, aż w końcu koła zawyły, oderwane od jezdni, i starły się z prawym rogiem przyczepy, która teraz kołysała się na burty.

Bestia zatrzęsała się, gdy opony zadymiły drogę. Cała maszyna zaczęła się walić.

Terminator nie ustawał w wysiłkach do chwili aż kabina przekoziółkowała. Z nieopisanym rykiem, przy prędkości 60 mil na godzinę, machina przewaliła się na bok.

Posypała się szeroka na czterdzieści stóp struga iskier. Zniszczenia jak Czwartego Lipca. Bilety byłyby wyprzedane za każdą cenę, była to przecież dopiero wstępna przygrywka.

John spojrzał na to, co działo się w tyle, po czym skierował uwagę na szybko wyłaniający się przed nim budynek. Potężne, rolowane drzwi były tylko częściowo otwarte.

Nie ma wyboru.

Skierował się wprost na nie, wgniatając boki i tak sprasowanej już furgonetki. Gdy wjeżdżał do fabryki, Terminator, nie tracąc ani sekundy, skoczył z szorującej kabiny prosto w

uchylone drzwi. W tej chwili cysterna uderzyła w budynek z ogłuszającym hukiem.

Terminator upadł głucho na podłogę głównej hali fabrycznej i przetoczył się jak najdalej w głąb, gdyż tylko kilka jardów za nim zastopowana została, roztrzaskana o betonowe zabezpieczenie drzwi, przyczepa cysterny.

Był to stos poskręcane metalu. Wielka cysterna rozwarła się szeroko, wypływając rzekę płynnego azotu o temperaturze minus dwustu trzydziestu stopni.

John nacisnął ostro hamulce starej furgonetki, wymykającej się spod kontroli na gładkiej powierzchni płynu. Zdołał zwolnić niemal do zera nim pojazd wrył się w stalowy filar, a nim i Sara szarpnęło potężnie w przód.

Terminator, wciąż ściskając kurczowo M-79, ślizgając się po podłodze przebił na wylot barierkę i uderzył o podstawę jakiejś potężnej maszyny.

Szoferka cysterny kołysała się uczepiona wraku, aż w końcu spadła do wnętrza budynku, zadrzała i umilkła. Zbryzgał ją przy tym płynny azot, rozpluwający się naokoło w syczących, ultrazimnych falach. Mroźna para wirowała w powietrzu przysłaniając wrak.

Terminator leżał przez chwilę nieruchomo. Powracał do siebie przeprowadziwszy wewnętrzną kontrolę pourazową. Uniósł się na łokciu, aby ocenić sytuację.

W zniszczonej furgonetce poruszył się John. Był ogłuszony, z opuchniętego nosa płynęła mu krew. Oszołomiony zdał sobie sprawę, że znajduje się w hucie stali. Wyły syreny, biegali i krzyczeli ludzie... Obrócił się, by spojrzeć. Potężni hutnicy wydobywali z pieców po bokach hali pomarańczowe światło i ogień, tymczasem zamarzające opary wciąż snuły się dołem ku środkowi białym, płynnym lodem.

Głęboko wewnątrz falującej, szarej chmury John z trudem rozpoznawał kształt rozbitej kabiny cysterny. Wynurzała się z niej jakaś postać. T-1000 zataczając się odszedł kilka kroków od wraka, ale kipiąca rzeka płynnego azotu zaczęła już omywać mu stopy. Nogi przymarzały

mu do ziemi, udaremniając uporczywe wysiłki, by zbliżyć się do Johna. Chłopiec patrzył ze zgrozą, gdy - TRZASK! - jedna ze stóp złamała się w kostce, wykrystalizowanej przez intensywny chłód do połysku. Uczynił niepewnie krok w jego stronę i odłamała się druga stopa. Kiedy odzyskał równowagę na kikucie kostki, cała druga noga roztrzaskała się nagle. Upadł na kolano, podpierając się jedną ręką. Płynny azot trysnął dookoła dłoni.

Ręka zaczęła przylepiać się do podłoża.

T-1000 szarpnął i - TRZASK! - ręka oderwała się w nadgarstku. Spojrzał głupio na szklany kikut przegubu. Po raz pierwszy miał wyraz twarzy, o którym John wiedział, że znamionuje prawdziwy... ból. Ale nie ludzki, ani nawet nie cybernetyczny ból. To była płynno-metaliczna agonía. Molekularna struktura T-1000 zaczęła sztywnieć, strumienie energii przepływały przezeń coraz wolniej, by po chwili zastygnąć. Usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku, a szron łapczywie pokrywał nogi i ciało.

A potem przestał ruszać się całkowicie.

Zamarznięty na miejscu.

Maska wścieklej zniewagi zamknięta na zawsze w zeszywniałej twarzy.

Śmiercionośna machina stała się lodowym posągiem klęczącym w przemarzniętej mgle.

Płynny azot wypływał z cysterny i szybko parował. Terminator, tuż za granicą chłodu, doskonale widział T-1000. Wyciągnął swoją "45" i wymierzył:

- Hasta la vista, baby.

Klap! Pojedynczy strzał wstrząsnął krystalicznym metalowym człowiekiem, zwalniając straszliwe wewnętrzne napięcie, i rozwalił T-1000 na milion kryształków. Uniosły się w powietrzu i zamigotały na dwadzieścia stóp we wszystkich kierunkach.

Terminator opuścił rewolwer i uśmiechnął się krzywo. Mogłoby to wyglądać lepiej,

gdyby uśmiechnął się całą twarzą.

Wyglądał tak, jakby potrzebował długich wakacji.

W furgonetce Sara była w złej formie. Przytomna, ale bardzo słaba. John szarpnął drzwi. Były zablokowane. Kopnął, by je otworzyć.

- Okay, mam, musimy teraz wysiąść. Chodź! Tak...

Pomógł jej zsunąć się z siedzenia w pogruchotanej szoferce. Jej kolana drżały. John starał się ją podtrzymać biorąc swoją strzelbę z siedzenia. Skręcili i kulejąc podeszli do Terminatora.

- Martwy? - wrzasnął John.

Wciąż na kolanach, Terminator zajął w rozpraszającą się chmurę mgły otaczającej T-1000. Większość płynnego azotu wyparowała już w potwornym upale panującym w pobliżu wielkich pieców.

Szczałki T-1000 topiły się, obryzgując podłogę setkami kropel quasi-rtęci.

Pomarańczowy blask wielkiego pieca tańczył na płynnym metalu.

Terminator spróbował się podnieść. Jedno ramię było poszarpane, ręka pogruchotana i prawie bezużyteczna. Znaczna część mechanizmów nóg była zniszczona, choć możliwa do naprawienia. Teraz jednak z trudem utrzymywał się na nogach. Kiedy John i Sara podeszli do niego, powiedział:

- Nie mamy wiele czasu.

- Co? Dlaczego?

Terminator wskazał ręką, John i Sara zobaczyli, jak kilka bliskich, drobnych kropelek z ciała T-1000 zaczęło się do siebie czołgać. Moment później połączyły się w większe plamki.

Drobne odłamki drżały i łączyły się w większe, szybko tworząc centralną masę.

Sara widziała to wszystko jak przez mgłę. Przez moment była na wpół żywa. Ale

rozumiała okropne znaczenie tego, co się działo i szepnęła rozpaczliwie Johnowi do ucha:

- To jeszcze nie koniec.

John uwierzył jej:

- Chodźmy, chodźmy!

Terminator przełożył sobie ramię Sary przez plecy i kulejąc odeszli w głąb huty.

Za ich plecami coś się poruszyło. To tworzyła się i wynurzała z kałuży “rtęci” srebrna głowa. Unosiła się, aż nad płynną masą uformowały się zgarbione ramiona. Odwróciła się, by patrzeć wprost na swe ofiary.

John obejrzał się w nowym, panicznym strachu, bo...

T-1000 urósł do wzrostu człowieka. Był wciąż formą z “rtęci”, ale jego rysy tworzyły się błyskawicznie. Uczynił pierwszy krok w ich kierunku.

Sara potknęła się. Obaj podtrzymali ją pospiesznie i wciąż prowadzili.. Terminator wyraźnie utykał, wlokąc nogę ze zgruchotanym stawem. John był jedynym pospieszającym, popychającym ich naprzód. Minęli róg i weszli w przejście między wysokimi rozżarzonymi piecami. To był labirynt wielkiej, monstrualnej maszynerii. Gorąco było ogromne, a powietrze huczało. Sara krzyknęła z bólu i potknęła się znowu.

- Chodź, mamó - ponaglił John. - Możesz to zrobić! Chodź!

Pociągnęli ją i chwiejnym krokiem ruszyli naprzód. Jej noga była skąpana we krwi, a twarz śmiertelnie blada. John obejrzał się przez ramię.

W głównej galerii T-1000 uczynił krok, teraz już całkowicie uformowany jako funkcjonariusz Austin. Światło piekielnego ognia zamigotało na jego niewzruszonej twarzy gliniarza. Ruszył do przodu, najwyraźniej nieporuszony własną krystalizacją, ale gdy ręka jego dotknęła balustrady pokrytej żółto-czarną taśmą bezpieczeństwa, stawała się żółto-czarną, kolor zanikał w okolicy łokcia. Z trudem oderwał rękę od balustrady z dźwiękiem przylepca

oddzierającego się od powierzchni.

T-1000 spojrział na swą prążkowaną, żółto-czarną rękę, gotów przywrócić ją do normalności.

Był “pokolorowany”. Ale nie tylko ręką...

Z każdym krokiem wzór kafelkowej podłogi obejmował jego nogi. Zanikał dopiero, gdy stopa odrywała się od podłoża. Kończyny starały “stopić się” z otoczeniem, ulegały zmianom jak kameleon. Działanie to było już teraz poza kontrolą centralnego układu sterowania.

T-1000 uczynił krok do przodu patrząc przed siebie uważnie. Wypełniał swą misję i wciąż mógł zabijać. Minał róg i wszedł w przejście między piecami.

Terminator zobaczył w zadymionym mroku zbliżającą się ku nim sylwetkę policjanta Austina. T-1000 zaczął biec, gdy tylko ich zauważył.

Terminator oddał Sarę, w ręce Johna:

- Idźcie.

John potrząsnął przecząco głową.

T-1000 biegł, jego nogi ciężko uderzały o beton.

Terminator pchnął Sarę i Johna naprzód:

- Biegnijcie!

John usłuchał, powlókł się, prowadząc Sarę najlepiej jak potrafił. Wyęczała siły, by zostać przytomną, na wpół idąc i majacząc. Jej stopa pośliznęła się na kablu i upadła na kolana.

John pociągnął, ale nie mogła zebrać sił, by wstać. John krzyczał błagając:

- Chodź, musisz spróbować!... Proszę cię, mamó! WSTAŃ!

Za nimi Terminator usiłował załadować M-79 swą zgruchotaną ręką. Musiał wcisnąć

swój ostatni granat do komory. T-1000 pokonał ostatnie kilka kroków i wytrącił mu broń z ręki.

M-79 uderzyło podłogę. Granat potoczył się w kierunku pieca. Terminator pchnął T-1000 na ścianę całą swoją wagą. Bój się rozpoczął.

John i Sara doszli do końca korytarza.

A cul de sac.

Był zablokowany przez podstawę potężnego hutniczego tygła.

Odwrócili się, by zobaczyć walkę tytanów, oświetlonych od tyłu przez płynne iskry spadające z pieców. Bitwę, która miała zadecydować o losie setek milionów.

Terminator porwał T-1000 i cisnął nim z przerażającą siłą o przeciwległą ścianę wąskiej uliczki. W czasie krótszym niż obrót T-1000 przekształcił się... twarz wyłoniła się z tyłu jego głowy, ruszył wprost na Terminatora. Odparowując cios. Terminator grzmotnął swą zdrową pięścią. Pięść cyborga prawie do łokcia utonęła w rtęciowej twarzy.

Ale głowa T-1000 przeistoczyła się w ułamku sekundy w rękę, która ścisnęła przegub Terminatora, a głowa wynurzyła się gdzie indziej, kształty zmieniały się szybciej, niż Terminator mógł nadążyć. T-1000 zatrzasnął Terminatora w dużym podnośniku, przyciskając jego ramię do poruszającego się mechanizmu. Masywna, posuwająca się sztaba miażdżyła mu ramię, roztrzaskując je na złom.

Terminator naprężył mięśnie, by zatrzymać przyszpilającą go maszynę. Mechanizmy napędowe zatrzeszczały z przeciążenia. T-1000 obrócił się i skoczył do swej ofiary.

Sara zobaczyła coś idącego na nich z dużą szybkością i wrzasnęła, ciskając Johna w szparę między maszynami. John wpadł w labirynt rur i dźwigarów.

Chłopiec obrócił się i zobaczył ją w wąskiej szczelinie. Mogła za nim podążyć, ale wahała się. Ciemna masa zbliżała się do niego. John wstrzymał oddech, widząc jak wielka, stalowa przeciwwaga, ciągnięta przez kilkucalowy łańcuch, posuwa się w jego kierunku.



Wytoczył się z jej drogi. Gdy obejrzał się, nie mógł już więcej zobaczyć wylotu.

- Mamo! Mamo!

Terminator naprężył się, by osiągnąć stalowego drąga leżącego obok. Robotnicy używali ich do przesuwania rozżarzonych sztab. Chwycił za koniec i posłużył się nim jak lewarem. Tytanicznym wysiłkiem rozsunął blok, który go unieruchamiał. Cofnął rękę. Była zerwana w łokciu - złom wiszący na zmiażdżonym łączu.

Sara straciła Johna z oczu.

Odwróciła się, by stawić czoła T-1000, który runął na nią jak kosa. Na wpół osunięta na okopcone maszyny, ledwie przytomna, Sara szamotała się, by załadować pocisk do pustej komory. Wymierzyła błyskawicznie i strzeliła.

Twarz T-1000 eksplodowała, ale szybko przeformowała się, kiedy sięgał po nią. Sara szaleńczo i niezdarnie gmerała przy broni wprowadzając następny pocisk do komory, ale - THUNK! - stalowa igła trzasnęła kłując ją. Polimorficzny zabójca znów podniósł swą rękę.

Jego stalowy palec jak błyszcząca igła mierzył w jej oko, przygotowując się do cięcia. T-1000 odezwał się wygładzonym, lodowatym głosem:

- Zawołaj Johna. Natychmiast.

Sara była przerażona. Więcej, była szalona. Nie mogła powstrzymać własnego krzyku:

- Odpieprz się, skurwielu!

T-1000 zrozumiał, że jego żądanie zostało odrzucone. Podszedł i wygiął się w łuk, by zadać śmiertelny cios. TRRACH! Coś uderzyło T-1000 z taką siłą, że rozszczepiło jego głowę i ciało na dwie części aż po pas. Stalowa sztaba wbiła się w jego korpus. Terminator zrzucił zabójcę z Sary.

Za T-1000 znajdowała się belka, zawieszona na dwóch łańcuchach, używana do podnoszenia sztab do wytapiacza i przesuwająca się w linii prostej. Morderca chwycił ją i

pchnął, by potoczyła się wzdłuż swej ścieżki. Wprost na Terminatora. Dwutonowy dźwigar walnął go w klatkę piersiową i zmiażdżył ją.

T-1000 podniósł belkę i znów pchnął. Terminator szarpnął całym ciałem i otrzymał cios w plecy. Metal zachrząścił i części rozsypały się luźno wewnątrz ciała cyborga. Terminator pochylił się i odwrócił, by chwycić się ściany...

Zmysł równowagi człowieka-maszyny przestał istnieć. Stał na chwiejnych nogach, kiedy nastąpił trzeci cios. Trafił w plecy, roztrzaskując kręgosłup i miednicę. Terminator upadł na kolana, rozkrzyżowany na ścianie maszynerii.

Czwarty cios T-1000 był wymierzony między łopatki cyborga. Jego czaszka została częściowo zmiażdżona. Terminator osunął się na podłogę.

Główne połączenia komunikacyjne zostały zerwane. Siatki pamięci odłączone od swych elektrycznych końcówek. Terminator nie mógł już zobaczyć błysku przed oczyma, ale miał swe dane. I życie innych ludzi. Chaotyczny zbiór ludzkich emocji, który tak długo istniał w jego głowie w formie splątanej taśmy. Teraz w jednym mgnieniu zobaczył parę ostatnich dni. Sara i John, klęczący, obejmujący się wzajemnie jakby płakali. John, starający się ukryć łzy. Sara, stojąca twarzą w twarz z T-1000 ze swą tragicznie nieodpowiednią bronią. Sam T-1000, beznamiętnie reagujący na zmieniające się sytuacje. I w ciągu ułamka sekundy to stopienie losów pozwoliło mu zrozumieć całą swoją egzystencję, znaczenie ludzkich oddziaływań. I w tej eksplozji myśli przyszło coś, czego cyborgowi nigdy nie zaprogramowano.

Uzucie.

Terminator runął na beton. Strumienie energii przepływały przez jego syntetyczny mózg niczym źle sterowane rakiety. W konwulsjach mechanicznej śmierci nauczył się swej najważniejszej lekcji o życiu organicznym.

Niestety, nie miał już czasu na jej analizowanie.

Terminator był patetycznym kształtem na podłodze, bryłą zużytego materiału. Odarte włókna, oderwane od świadomości, szukały alternatywnych źródeł energii wewnątrz pękniętych łączy CPU. Skynet zaprojektował Terminatorów tak, by mogli przeciwstawiać się, wytrzymywać próbę destrukcji i przetrwać ze świadomością wystarczającą, by móc naprawić zniszczenia i dokończyć misję. A teraz mózg człowieka-maszyny znalazł tylnogórne obwody w łuskowych warstwach swego elektronowego mózgu. I, pomimo krańcowych urazów zewnętrznego i wewnętrznego korpusu, szukał alternatywnych zwojów, by przenieść rozkaz: ruszaj.

Ruszaj.

RUSZAJ.

Iskra błysnęła tu. I tam. A potem złącza nogi wygięły się w konwulsjach.

RUSZAJ!

Noga wykrzywiła się, wygięła.

Żaden zwykły człowiek nie mógłby wrócić z takiej krawędzi. Ale też żaden człowiek nie miał tak kategorycznych rozkazów zaprogramowanych w każdej molekułe swej sztucznej inteligencji.

Poza tym, Terminator dokonał wcześniej odkrycia, doznał objawienia, i teraz musiał się ruszyć. Kostniejące mechanizmy nie przeciwstawiały się.

Cyborg zaczął słabo czołgać się, pełzać, wlokąc swe źle funkcjonujące nogi za

zmiażdżonym kręgosłupem. Kikut jego ramienia zapiszczał na kafelkowej podłodze, kiedy przesuwał się o cal do przodu. Ale jego oczy maszyny płonęły czerwono, z determinacją.

Sięgnął po natychmiastowe rozwiązanie: M-79, z magazynkiem wciąż otwartym,

kołysał się w zgięciu jego leżącego opodal zrujnowanego ramienia. Jego stalowa sprawna ręka sięgała po ostatni granat, widoczny na skraju ciężkiego wytapiacza. Metalowy palec dosięgnął pocisku.

Po prostu, Terminator nie ukończył jeszcze swej misji.

Ale także T-1000 nie wykonał jeszcze swego zadania. Podniósł ciężką, stalową sztabę nad głowę i cisnął z niewiarygodną siłą. Uderzył w szczelinę roztrzaskanego pancerza na piecach Terminatora. T-1000 ruszył nią do tyłu i przodu powiększając dziurę. Potem znów podniósł sztabę i trzasnął nią Terminatora w klatkę piersiową.

Cyborg upadł na podłogę.

Jedyne, o czym mógł myśleć, to ostatnia odpowiedź.

Strategia 9085.

Terminator desperacko uczepił się tej myśli. Jego głowa zwisała w dół. Przestał się ruszać. Światło w oczach zgasło.

T-1000 spojrział w dół na cyborga i zrozumiał, że nie jest on już żadnym faktycznym problemem. Przesunął uwagę na swe główne ofiary i ruszył, by znaleźć je i wykonać swą misję.

John przegryzł się jak szczur przez gardziel wytapiacza. Ponad nim wielka maszyna pracowała nieobsługiwana. Usłyszał głos, donośny i niecierpliwy:

- John? John? Słyszysz mnie? Gdzie jesteś?

To była jego matka.

Wypełzył z ciemności szukając jej, stanął na podeście, obok masywnych tygli wytapiaczy. Płynna stal wybrzuszała się w piecu, powietrze drgało od gorąca, wokół świeciła łuna.

John zobaczył matkę blisko, kuśtykającą w jego kierunku. Ledwo mogła się poruszać, jej noga cała była we krwi. Podbiegł do niej, bo jęczała *pomóż mi kochanie...* Pokuśtykała do przodu, wyciągnęła ręce uśmiechając się szeroko. Ale John zaczął zwalniać, kiedy zobaczył rosnący za nią cień. To była jego matka. Trzymała strzelbę, wycelowaną najwyraźniej w tę pierwszą.

Chłopiec zatrzymał się, otworzył szeroko oczy. Które było które? Spojrzał w dół. Stopy pierwszej Sary dotykały podłogi przybierając kolory kafli, po których szła. Barwiły nogi aż do kolan.

John wrzasnął:

- “STRZELAJ!”

...i uskoczył na bok. Pierwsza Sara zmieniła się nagle w policjanta Austina. Druga zaczęła strzelać do T-1000.

BUM! T-1000 zachwiał się w tył.

KLAP! Wystrzeliła jeszcze raz.

BUM! T-1000 zatoczył się.

KLAP!

BUM!

I znów.

I znów!

T-1000 był odrzucany o krok za każdym strzałem. Sara podążała za nim. Wybuchające krater w ciele T-1000 “goiły się” teraz dużo wolniej. Jego siły nikły. Wycelowwała znów, jej oczy płonęły z dziką intensywnością.

Cofnęło go w tył, tuż do krawędzi dołu z płynną stalą.

KLAP!

KLIK.

Magazynek był pusty.

T-1000 stał na krawędzi, chwiejąc się od uderzenia ostatniej kuli. Za chwilę może odzyskać opanowanie, bo jego rany zamknęły się. Znów przegrała. Teraz może zabić ją, a potem Johna. I Skynet będzie miał swe zwycięstwo. Sara wrzasnęła z największą furją,

szykując się, by pognać tam i runąć razem z nim do ognistej, płomiennej śmierci czekającej poniżej.

Ale kiedy jej nogi naprężyły się, by skoczyć na mordercę, stalowe palce wcisnęły granat do komory M-79.

Leżąc na podłodze wśród maszyn i urządzeń, Terminator podniósł głowę.

Strategia 9085.

Udawaj martwego.

Na wpół ludzka, na wpół chromowa czaszka, czerwone oko patrzące jak niechętnie, wrogie światło. Włożył granat ze zgrzytem nadgarstka i szarpnął cyngiel.

T-1000 dostał dokładnie w brzuch. Pocisk wybuchnął wewnątrz jego ciała rozrywając tors.

Jego środek ciężkości radykalnie się przesunął. T-1000 przewrócił się, wpadając wprost do ciekłej stali. John podbiegł do Sary i patrzyli z przerażeniem, jak jego głowa i górna część tułowia pojawiają się nad cieczą.

T-1000 wrzeszczał. Przeraźliwy, nieludzki wrzask, wszystkie jego molekuly szukały dróg do poprzedniej struktury. Ale intensywny żar i płynny metal wokół niego uniemożliwiały wszelkie działania. Zmieniał się, przekształcał szybko w nicość i wszystko to, czym był kiedyś. John i Sara ledwo mogli nadążyć. Janelle Voight, strażnik Lewis, inne twarze, zapalające się na moment nowa twarz co mrugnięcie oka, dopóki nie zlepiły się w jedną...

Chromowa postać zawyła raz jeszcze i zniknęła pod powierzchnią cieczy. Płynne srebro tworzyło kręgi nad supergorącą powierzchnią... dopóki nie stały się rozżarzoną masą.

Stały się niczym.

Odszedł.

Pusta strzelba wypadła Sarze z ręki, uderzając o podłogę. Jej zdrowa ręka objęła plecy

Johna i uścisnęli się, ich ciała zadrżały.

Okaleczony cyborg usiłował wstać. Jego mechanizmy patetycznie zajęczały i zatrzeszczały, kiedy starał się unieść swe ciało do kłku. Upadł, spróbował jeszcze raz.

John zauważył to i podbiegł, by go podnieść. Sara przyłączyła się, pomagając jak tylko umiała najlepiej. Okaleczona maszyna zdołała tylko stać na własnych nogach. Podtrzymywany

Terminator podszedł kulejąc do krawędzi.

Spojrzał w dół i sam zobaczył, że wszystko już skończone. John otworzył szybko plecak Sary i wyciągnął rękę pierwszego Terminatora.

- Stopi się w tym? - zapytał.

Terminator odpowiedział, jego głos był dziwny, miękki, prawie ludzki, prawdopodobnie z powodu uszkodzeń:

- Tak. Wrzuć to.

John wrzucił tę pamiątkę, a ona utopiła się w lawie.

- I CPU - dodał Terminator.

John wyjął CPU z kieszeni i wrzucił do wytapiacza. Sara patrzyła, jak stopiło się niemal natychmiast. Westchnęła boleśnie i powiedziała miękko:

- Skończone.

- Nie. Jest jeszcze jeden egzemplarz.

Dotknął głowy swym metalowym palcem i spojrzał na Sarę. Oboje wiedzieli, co musi nastąpić. Oczy Johna zrobiły się wilgotne, bo zrozumiał nagie ich myśli. Potrząsnął głową, a jego oczy wypełniły się łzami:

- Nie!

Terminator spojrzał na Johna. Szkaradne oblicze, z całą karą, którą przyjął, ale jakby... szlachetnego rodzaju. Człowiek-maszyna powiedział:

- Muszę odejść, John. To musi skończyć się tutaj... lub będę przyszłością.

Obrócił się nieco, tak że jego sponiewierana, zmaltrretowana, ludzka część twarzy znalazła się w cieniu. John widział tylko chromową czaszkę i czerwone oko. Błagał wciąż:

- Nie rób tego. Proszę... wszystko będzie dobrze. Zostań z nami. Terminator położył rękę na ramieniu Johna.

- Muszę dokończyć swoją misję.

A kiedy to powiedział, ludzka strona jego twarzy powróciła do światła. Wyciągnął rękę do Johna i jego metalowy palec dotknął łyzy spływającej w dół po policzku. To było objawienie.

- Wiem teraz, czemu płaczesz, choć jest to coś, czego nigdy nie robiłem. Odwrócił się do Sary i rzekł:

- Żegnaj.

- Boisz się?

Zaległa krótka cisza:

- Tak. - odpowiedział.

Nie dlatego, że miał przestać funkcjonować jako Terminator, ale dlatego, że instynktownie odczuł obraz przekraczający jego program - kosmiczny porządek wykraczający daleko nawet poza pojmowanie Skyneta. I to dało mu wrażenie pierwszego uczucia.

Strach.

Przed tym, gdzie teraz szedł, jeśli w ogóle gdziekolwiek. Oczywiście nie był pytany o nic więcej, więc nie powiedział już niczego. Po prostu odwrócił się, stanął na krawędzi i uczynił krok.

Kiedy Terminator spadał, czas jakby zatrzymał się i błysk światła porwał w przepaść jego myśl. Spadał w dół tunelu, podążając za światłem w coś jak zapomnienie.

Lub zbawienie.



Sztuczny mózg był osmalony, kiedy ciało uderzyło o powierzchnię płynnej stali.

Niemal wszystkie elektryczne funkcje zostały zatrzymane.

Niemal.

Kiedy chromowy szkielet był już roztopiony w pierwotną swą masę, Sara i John patrzyli, jak Terminator topi się w lawie - metalowa ręka na końcu...

W ostatniej sekundzie zacisnęła się w pięść z uniesionym kciukiem... na końcu kciuk.

Potem wszystko było naprawdę skończone.

Matka i syn obserwowali przez chwilę płynny metal. John przypomniał sobie o drugiej ręce Terminatora w dole rzędu wytapiaczy i pobiegł ją wziąć. Była tylko kupką bezużytecznego, poskręcane metalu, ale pochodził on z przyszłości. Tym razem nie pozostawała im żadna szansa.

Kiedy John wrzucił kawałki do lawy, jeden po drugim, oboje z Sara czuli głęboko, wewnątrz ziemi, drżenie. Jak gdyby masywna oś przesuwała się.

Oczywiście później John, zastanawiając się, doszedł do wniosku, że była to tylko wielka maszyna, łomocząca gdzieś w fabryce.

Mógł się mylić.

Historia narodziła się na nowo.

## **Dzień Sądu**

WASZYNGTON, D.C.

11 lipca 2029 r.,

niedziela, 10:12 rano

Słońce świeciło czysto na jasnym błękitnie nieba. Niżej był soczysty, bujny park.

Odświętnie ubrani ludzie cieszyli się latem. Rowery, książki... dzieci bawiły się na placu, huśtały na huśtawkach, zjeżdżały ze zjeżdżalni.

Park nie był ani stopiony, ani spalony, ale pełen wrzeszczących do zachrypięcia dzieciaków. Mały, jasnooki chłopiec pedałowal na trójkołowcu.

Pewne przedmioty w tych dekadach technicznego postępu okazywały się ponadczasowe. Nie zmieniały się.

Ponad linią drzew, na tle nieba, rysował się alabastrowy kontur panoramy stolicy z odznaczającą się słynną kopułą Kapitolu i białą iglicą pomnika Waszyngtona.

Ale były także inne, nie istniejące wcześniej budynki - wysokie drapacze chmur kształtujące kierunki wiatrów. Dzięki kilku nowym zarządzeniom, które przeforsował ostatnio zuchwały młody senator, żyli w nich ludzie o skromnych dochodach. Mieszkania nie były opłacone. Ich lokatorzy musieli pracować na czynsz. Ale opłaty były dostosowane do ich możliwości i zdolności.

I to było w porządku.

29 sierpnia 1997 r. nadszedł i odszedł. I nic ważnego się nie stało. Michael Jackson świętował czterdziestkę. Ludzie jak zwykle poszli do pracy, śmiali się, narzekali, oglądali telewizję.

Nie było Dnia Sądu.

Przez całe 24 godziny tego dnia Sara Connor wstrzymywała oddech. A kiedy słońce już zaszło, i była już tego pewna, chciała biec ulicami krzycząc... chwytac ludzi i mówić im: *Każdy dzień od dzisiaj jest podarunkiem. Skorzystaj z niego dobrze!* Ale mogliby pomysleć, że jest szalona, a tego nie chciała.

Więc tylko się upiła.

Oczywiście miała wielu mężczyzn, niektórych dość przystojnych, ale nigdy nie wyszła za mąż.

Nie martwiła się tym, nie zgorzkniała. Ponieważ Kyle nie umarł, a jego misja nie była

niewpowodzeniem.

Gdyby cofnąć czas, to on, bardziej niż ktokolwiek inny, przez swoją ofiarę i wyrzeczenie spowodował, że to nie zagmatwało się. Był w centrum koła. Bo wyszedł z ruin, niosąc genetykę, która pomogła mu przetrwać i posiadał siły, które mogły przemienić historię. Ale...

Skąd pochodził? Kim była jego matka? Gdzie teraz była jego rodzina?

Sara nawet wynajęła kogoś, by go szukał, w każdym razie kogoś, kto, jak reszta świata, mógł się urodzić i przetrwać, i nigdy nie wiedzieć, że była kiedyś wojna nuklearna i rozpaczliwa walka o przetrwanie.

Kyle nie był martwy, ale żył gdzieś, we własnym świecie, prawdopodobnie żonaty z ładną i miłą kobietą, może miał dzieci, robił coś zwyczajnego.

Oczywiście nie znałby jej.

Ani nie kochał.

Ani nie rozumiał, dlaczego ona patrzy na niego oczami pełnymi łez, miłości i wdzięczności.

Ponieważ nie był to Kyle Reese, którego ona kiedyś kochała, i który odszedł, zanim się nawet urodził.

Dla niej.

Dla ludzkości,

I dla Johna Connora.

Zwolniła więc detektywa i dała temu wszystkiemu spokój.

Ale nie mogła nikogo poślubić.

Ani kochać żadnego mężczyzny tak, jak Kyle'a.

To było trzydzieści lat temu, ale ciemna przyszłość, która nigdy nie nadeszła, wciąż dla

niej istniała. I zawsze będzie istnieć, jak ślady snu nie odchodzące ze światłem poranka I wojna z maszynami wciąż trwa. Właściwie wojna z tymi, którzy zbudowali te zbrodnicze maszyny ze zbrodniczych powodów. Bo Skynet był właśnie naturalnym przedłużeniem ludzkiej samo-nienawiści i strachu. Był odpowiedzią na wszelką tyranie i ucisk, jakie świat kiedykolwiek widział - unicestwieniem.

Niektórzy ludzie wciąż chcieli budować swoje skynety. Inni walczyli z nimi. I, jak dotąd, ci inni zwyciężali. Bo choć były wciąż lokalne wojny, głód i rządowa korupcja, to ludzie uczynili ważny krok na drodze ewolucji. Krok, z którego ludzkość nie zdawała sobie sprawy. Poza garstką tych, którzy przeciwstawili się Przeznaczeniu lub - jak Sara myśli o tym teraz - podążali właściwą drogą.

Tak więc przez te lata Sara stała się pełną gracji pięknnością z dziwnymi szramami i słodko-gorzki blaskiem oczu.

A mężczyźni kochali ją na próżno.

Oczywiście, był jeden mężczyzna, którego kochała. Siedziała teraz w cieniu drzewa patrząc na niego. Mężczyzna tuż po czterdziestce, bawiący się nie opodal z dwójką małych dzieci.

John Connor miał te same surowe cechy jak ten z niespełnionej przyszłości, ale nie miał blizn. Był daleki od zmizerowanego, wychudzonego mężczyzny o surowym, ponurym losie w świecie, który mógł być. Ale z jego oczu wзираła ta sama wnikliwa inteligencja. Bo jego charakter był ukuty w płomieniach miłości, a mądrość uformowana przez wolę.

Sara uśmiechnęła się do niego z matczyną dumą i powiedziała do małego ręcznego magnetofonu:

- John walczy przeciw wojnie inaczej, niż to było przepowiedziane. Tutaj, na polu bitwy w Senacie, bronią jest zdrowy rozum... i nadzieja.

Wyłączyła magnetofon, wspominając pierwszą kasetę, którą nagrała dla swego syna zanim się jeszcze urodził, tak dawno temu, na wietrznej, meksykańskiej drodze. I “książkę”, którą nagrywała przez pierwsze lata jego życia. Oczywiście wciąż ją miała i nawet coś do niej czasem dodawała.

Ustna historia, która mogłaby zostać w ich rodzinie i przechodzić z pokolenia na pokolenie, aż stałaby się ogłupiającym mitem.

Lub istotnym faktem...

... kiedy ludzkość dowie się wreszcie, jak podróżować w czasie. Ładna czteroletnia dziewczynka podbiegła do niej i wskazując na swój bucik powiedziała:

- Zawiąż, babciu.

Babcia Sara uśmiechnęła się ciepło i pochyliła, kiedy mała dziewczynka położyła stopę na ławce. Gdy wszystko było już zrobione, dziewczynka dała Sarze całusa i odbiegła, by bawić się z ojcem.

Nie było potrzeby płakać nad Sarą. Bo ona miała miłość. I miała teraz czas, by rozważyć i spojrzeć na wszystko z perspektywy. A jej syn wciąż prowadził walkę o nią i Kyfe'a.

Podniosła znów magnetofon i mówiła do mikrofonu spoglądając ku niebu, na głębokie, niebieskie bogactwo atmosfery bez zanieczyszczeń:

- Luksus nadziei był mi dany przez Terminatora. Bo jeśli maszyna może docenić wartości ludzkiego życia... to może my też możemy.

Wyłączyła magnetofon i usadowiła się wygodnie, by poczuć na twarzy delikatną pieśczętę wiatru.